

JULIAN WOŁOSZYNOWSKI

BYŁO TAK

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1978

1980 W 389 24

1980 W 389 9

326/87/85

BYŁO TAK

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 297

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JULIAN WOŁOSZYNOWSKI

BYŁO TAK

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1978

Julian WOŁOSZYNOWSKI, ur. w roku 1898 na Podolu.
Poeta, powieściopisarz, krytyk teatralny. Zmarł w Warszawie
w grudniu 1977.

Pierwsze wydanie *BYŁO TAK* ukazało się w roku 1935,
we Lwowie, w wydawnictwie „Książnica Atlas”.

Było tak...

Sen Słowianina:

— Wyszedłem na próg księżycą, aż tu drewniane wiadro, pełne suchych liści, zawieszone na wierzchołku wysokiego drzewa, kiwa się i mówi: A cóż to ja będę sługą tego konia, który skaleczył nogę? Wiadro nadstawia rogi, patrzę, a to nie wiadro, tylko moja krowa, ta sama którą zagryzły wilki. Wiatr wtedy świstał — poświstał, a ten drewniany bóg, co stoi na górze, na słupku, na rozstajnych drogach i ma cztery twarze, i patrzy na cztery strony świata, i widzi wszystko, zmienił się w błyskawicę i zaturkotał kołami wozu, i odjechał. Potem zaczął padać śnieg, a ja myślę, jak z tego lasu trafię do domu, kiedy zadymka i nie mam już siły ciągnąć za tylne nogi tego czarnego niedźwiedzia, któremu długo kręciłem w kiszkać wbity oszczep, zanim do końca zdechł. I wracam na próg, ubrawszy się w kozuch tego niedźwiedzia, jak chodzę teraz w zimie, i widzę, że dusze pojadyły ostatki jedzenia w garnkach, a mnie się zechciało jeść. Powiadam, zjadłbym coś, a nikt mnie nie słyszy, nie mam głosu. A chata to nie chata, tylko siny moczar bez końca, i z tej topieli odzywają się nawoływania — chodź, chodź, chodź; idę ja, idę, aż tu woda rozstąpi się pode mną, zabulgotało coś, zatoneło, niby ja a nie ja, bo widziałem to sam z daleka, że to byłem ja, a nie kto inny; i z tego żalu po sobie przebudziło mnie w chacie, i taki byłem rad, że to jeszcze nie mój koniec...

Przygody księcia Popiela.

Przygody księcia Popiela.

Nocą w Kruszwicy, w drewnianym zamku księcia Popiela, za wysokim drewnianym ostrokołem, za rowami i przekopami, płonęły smolne łuczywa, straż uzbrojona w halabardy, ubrana po normańsku, chodziła cicho na palcach po sieniach — w drewnianych izbach zamku było jasno i migotliwie, po ścianach ruszały się cienie — książę nie spał. Zamek stał nad jeziorem Goptem, w wodzie odbijał się księżyc, fala ciemna była burzliwa, szła wiosna zapachem przez powietrze nocy — książę stanął przy okrągłej strzelnicy wieży i wdychał powietrze świeże wiosny. W dole leżała wieś Kruszwica, plac jarmarczny pod zamkiem oblewał księżyc, było pusto i cicho wkoło, wszystko zdawało się uśpione.

Nazajutrz rozkwitły w Kruszwicy grusze, stało się białe od ich kwiatów, dzień był koło południa prawie gorący, na targowisku przed zamkiem zaroily się ludzkie tłumy, rozkrzyczało się ludzkie mrowie, ciemne, z babami w kolorowych chustkach, z chłopami w futrzanych czapkach z nausznikami. Gromadziły się gromadami wilcze kozuchy, ryczało bydło, gdakały kury, gęgały gęsi, odzywa się monotonna gęśla zbierając do worka to kawałek chleba, to skórkę słoniny. W tłum wjechała konnica księcia, torując drogę książęcemu koniowi, ludzie rozstępowali się na strony, w milczeniu, oczy ich świeciły złym światłem, zdejmowali z głowy czapki i czekali, zgięci w pół, zanim książę z orszakiem przejechał, zanim znikł na gościńcu, w wiosennych mgłach, w rozbulgotanych kałużach powodzi, deszczu i błot — potem podnieśli oczy:

Odeszła mara niewiadoma.

Za jeziorem stała chata.

Przy drodze, kryta słomą, duża chata, za chatą ciągnęła się

pasieka, z ulami pod sznur, pszczoły już pracowały, pachniało kwiatami białymi grusz, Piast chodził po słońcu, bez czapki, przemawiał do siebie samego czy do pszczół — jezioro rozlało i zatapiało nadbrzeżne chaty. Noteć środkiem Gopła płynęła burzliwa, pokazywały się na wodzie łódki i szerokie tratwy, napelnione towaram i płynęły z prądem na północ, — Piast poszedł nad jezioro, tam czekali go ludzie, oczeret zeszłoroczny był wysoki, podnosił się z zimowego pochylenia, w oczeretach spotkał się Piast z młodymi ludźmi, którzy mieli oczy złe i gorące, mówili zdyszczanym głosem, oglądając się dokoła siebie. To tylko szumiała fala. Wiatr tylko kołysał oczeretem. Było pusto tu i bezludnie. Ludzie ci z Piastem cicho rozmawiali.

W kraju były pożary i bunty — w całym kraju od Odry do Wisły. To wszystko — przeciw księciu: mówili ludzie, nad Gopłem, w oczeretach, mówili pośpiesznie w uszy Piastowi. To idzie już do końca — mówili — nie dziś, to jutro, będzie temu koniec.

Przygody księcia Popiela.

Wieczór był, wiosna, w Kruszwicy.

Ludzie w tłumach cisnęli się do zamku, bili toporami w parokany — rzucali kamieniami — do nich strzelała straż książęca gęsto z łuków, deszcz padał, wieczór był świeży. Już nie można było obronić zamku, otaczały go nieprzebrane tłumy, krzyk ich mieszał się z świszczącym wiatrem. Książę znikł z zamku, nad jeziorem stały łódki — książę wskoczył do jednej z nich, z żoną i synem, z jednym wiernym niewolnikiem, który wiosłował wiosłami silnie. Książę się schował za chmury. Zamek zostawał za nimi, pożar go obejmował, za Popielem płynęły łodzie, leciały ścigające strzały. Na wysepce stała stara wieża obronna drewniana, razem latarnia żeglarska na jeziorze — tam się ukryli. Dokoła woda obojętna Gopła. Pod wieżą znaleźli się ludzie, dzikimi oczami patrzący do góry.

Schowanego w wieży Popiela umorzono głodem, w zamku księcia rozgościli się nowi ludzie, nazywali się Piastowicze, na ich czele stał stary Piast z chaty.

— Nasz to kraj?

— Nasz, nasz!

— Nasze wieczna słowiańskie?

— Nasze, nasze! — krzyczała ciżba w kozuchach, w pachnące wiosenne wieczory, zbierając się nad wodą jeziora i na mostach, na wiece z bójką na kułaki.

— Swój naród! Nie czyj — tam! Nie pański, nie popielski! — wołali starzy i młodzi, a słowik już śpiewał po nocach w Kruszwicy.

wicy i miłość w ogrodach chichotała, w trawach tarzała się, jęczała gołębiim jękiem.

Minęło sto lat.

Z Kruszwicy chodziła stolica na wyspę jeziora Lednickiego; potem, teraz przeniosła się do Gniezna. Gniezno stało na miejscu skały Orłów (miasto Lecha) — życie było w nim starsze o sto lat w porównaniu z Kruszwicą Popiela i Piasta — życie płynęło, jak zwykle. Po Piaście przychodził Piast, z ojca na syna, z chłopaka król — nowa dynastia. Gniezno było najważniejszym miastem — od niego zależał cały kraj, od tych ludzi, co z tego gniazda wylatywali zbrojni — na panowanie.

Gniezno było pogańskie, teraz chrześcijańskie.

Gnieszno było pogańskie, teraz chrześcijańskie.

Nie ma już starożytnej świątyni bogini śmierci, Nui. Przemieniono ją w kościół.

Nie zmieniła się wiele, krzyż tylko nad nią wysoki.

W środku gontyny-kościół stał nowy ołtarz, jak stół, nakryty białym obrusem, na nim złote i srebrne naczynia, kadziła z ziół — jak dawniej — napełniając drewnianą świątynię zapachem czarodziejskim, bożym, — ludzie od tego zawsze pijanięją, płaczą. Nowy kapłan w niezrozumiałym języku śpiewa przed ołtarzem; jest ubrany w białą koszulę, a po wierzchu w złocisty długi płaszcz — nachyla się nad ołtarzem, coś szepcze, potem obraca się do ludzi, rozkłada i składa ręce, zamyka oczy, podnosi do góry oczy, czyni znaki krzyżowe nad ludem, grzmi, woła i nawołuje. Nabożeństwo nowego — groźnego boga.

Książę nazywa się Mieszko: podobny do niedźwiedzia, taki silny i ciemny, i groźny i dobroduszny, i ciężką ma łapę i cichy chód, i nigdy nikt nie wie, co on myśli.

Książę — dziw, dziw — dziwny — jak śpiewają wróble. dziwiąc się bożemu światu.

Książę ma silne wojsko. Wojsko — gdy modlą się w nowym kościele nowi kapłani, stoi na placu przed dawną świątynią Nui, dziś kościołem, który przylega do zamku książęcego. Wojsko trzyma w rękach gołe miecze, a czapki pod pachą, gdy śpiewają nowi kapłani dziwne pieśni, monotonne, obce, — wojsko kłeka na ziemi na oba kolana, kiedy słychać dzwonicie nagle z kościoła. Potem wojsko wraca do zamku i na podzamcze, do kwater swych zasobnych, do swoich białych chat, zaopatrzonych we wszystko, w jedzenie, w sprzęt i w broń — dobrze być wojskiem książęcym. Świat wygląda dziś na średniowieczno. Wojsko i panowie nauczyli się chodzić po niemiecku, przy broni

dzień i noc, w rzymskich ubraniach — już tylko czarny naród chodzi w swych zwierzęcych kozuchach, w czapach futrzanych, w słomianych kapeluszach — i wspomina po cichu starych bogów. Puszcze głuche porusza coraz gęściej topór, wstają jak z powietrza, jak z wody, jak z bajki nowe zamki książęce i książęcych ludzi wojskowych. Jeszcze w puszczach, wśród błot zostali starzy bogowie. Coraz ich mniej, a może tylko milczą do czasu? Książę ich powyganiał, porąbał i potopił: lękaj się książę zemsty starych bogów, którzy nie śpią, chociaż udają, że już posnęli na wieki.

Stało się to tak, nie wiadomo z czego i jak. Było stare życie — i nagle nie stało go, — pewno dlatego, że przyszli młodzi, — oni mają zawsze w głowie wiatr, burzę, — zginął kraj stary, stał się nowy. Gdzież w puszczach święte gaje? — gaje są, ale nie święte już; wiatr szumi, ale już wiatr, nie bóg — rzeki płyną, pomarłyż rusałki? — na rozstajach posążki drewniane bogów gdzie są? — tam teraz krzyże, dwa drewnienka, jedno przeciw drugiemu — a ludzie zdejmują czapki i piszą na piersiach taki sam znak, jak ten co stoi przy drodze, drewniany, — oczy ludzkie ze wszystkiego teraz przerażone — wszystko „nie wolno”, a co wolno — nie wiedzieć jeszcze, — zabijają, gdy czego nie wolno — a skąd wiedzieć, gdy człowiek dotąd żył inaczej niż teraz, — dawniej to było dobre, co dziś złe; dziś to złe, co dawniej było święte; — nie wiadomo. A stało się to wiosną którąś — marzec był — dobrze zapamiętany rok — 966: teraz go tak liczą, — marzec był, ciepły dziwnie, zima skończyła się w tym roku wcześniej; właśnie na święto wiosenne topienia Marzanny w rzekach, na powitanie wiosnianej, rozświeconej Żywii, zaczęło się to, co jest teraz. Książę był biało ubrany, zgoniono lud do jezior w Gnieźnie, ludu były masy wielkie, dookoła stało wojsko, nie można było ruszyć się w żadną stronę, — księcia poleli wodą, zaśpiewali nad nim, jak nad umarłym, tak smutno, nie tak jak się śpiewało dawniej na wiosnę bogom. Książę wstał z kolan, podniósł miecz, krzyżem żegnał ludzi zebranych — potem wojsko ruszyło rąbać bogów w świątyni Nui i wynosić ich i topić w wodzie. I tak samo, tej wiosny, działo się po innych miastach kraju i wsiach i rozdrożach bożych — jak opowiadali ludzie przyjezdni i bywali świata. Wojny od tego nie ustały, pożary tak samo palą chaty, pioruny boże tak samo uderzają z gniewem w drzewa i domy ludzkie, słońce się gniewa, deszcze się gniewają, zima sroży się, głodu nie mniej, niewola tylko większa, — książę jest wielki, potężny, on wie co robi; może tak tylko udaje.

Księżna jest dobra, księżna była dobra — umarła już. Jest

nowa księżna w zamku — Niemka, monachinia. Książę zawo-
jował dalekie morze. Ruski książę odebrał naszemu księciu ziemię,
gdzie rosły winograpy. Syn księcia starego, młody książę, ma
wielką siłę. Jest mocny taki jak byk dziki. W kraju leżą puszcze
nieprzejrane — świat zmienia się, a w puszczach zawsze puszcza,
cień mroczny, bóg dziwo!

A z czego się to wszystko wzięło — że dzwony dzwonią,
że Niemcy wszędzie chodzą, że bogów nie ma, tylko mówi się
do ludzi strachem, karą i rozumem — nie ma bogów, jest tylko
siła, jest jeden silny Bóg, który ma miecze, takie same silne
jak niemieckie, jest siła i jest lepsze życie, żeby było co jeść,
gdzie spać w ciepocie, żeby izba nie przeciekała, żeby mieć
co na siebie wdziać, żeby lepiej ziemia obrodziła, — a z tego
to się wzięło — pamiętać można jeszcze: była wojna, była
zima, nad Odrą rzeką; Niemcy palili kraj, książę bił się z nimi,
potem im dał dary duże, potem oni poszli, potem książę z zamku
wyjechał, potem wrócił do zamku — odmieniony .

Wojsko księcia jest silne, książę jest silny, nowy ład ma
ich siły za sobą — a przeciw tylko tęsknotę i pieśń i łby nie-
męskie — żeńskie. Książę starzeje się, już wszędzie widać mło-
dego księcia Bolesława. Stary Mieszko zamyka się w zamku i
widać, jak w nocy pali się na zamku do późna światło pochodni.
Książę Bolesław powrócił teraz znad morza, jest lato, on cały
opalony na czarne słońce — przywiózł soli gorzkiej z morza,
jego wojsko przywiozło kobietom bursztynowe naszyjniki.

Opowiadało wojsko o morzu: wielkie, wielkie jezioro, któ-
remu nie ma końca — jest sine, fale na nim jak góry, szum
jego większy w spokoju niż szum puszczy w zimowe zamiecie.
To jezioro nazywa się morze polskie, białe, Bałtyckie, Słowiańskie
— a jeszcze żeby mniej mówić i więcej powiedzieć: — nasze.

Stary książę umierał, młody siedział przy nim, jego syn. Nie
chciał mówić o starych bogach, choć we śnie wciąż majaczył ich
imiona i twarze, i ich gniew; powiedział Mieszko, stary książę:

— Synu, trzymaj mocno, nie popuść. — Bolesław trzyma
rękę umierającego ojca, po jego zdrowej młodej twarzy, opalonej
czerstwem, ciekną łzy.

— Dobrze, tato — powiada.

— Wszystko zrozumieć, niczego nie przebaczyć — mówi
Mieszko.

Na piersi umarłego położono krzyż złoty — książę chrześci-
jański. Już nie zapala mu ogniska słowiańskiego, w urnę nie

zsypią jego popiołu, tylko w skrzynię go zamknęli modrzewiową, w jedną, potem w drugą, potem postawili na wielkim czerwonym wozie i zawieźli — i powieźli do katedry.

Przyjechał do Gniezna młody biskup Wojciech. Z Pragi czeskiej. Do Pragi czeskiej chodziły polskie wojska Bolesława. Z Pragi wygnano biskupa Wojciecha. W Gnieźnie — chodził po ulicach św. Wojciech, chociaż wtedy nie był jeszcze świętym. Chodził sam, bez żadnego orszaku, pod kapturem — ascetyczna twarz. Potem pojechał Wisłą, łodziami do morza. W przystani go zegnał młody książę Bolesław Mieszkowicz z wielkim wojskiem.

W puszczy pruskiej: zabili, zabili biskupa młodego — ludzie pogańscy, wiosem po głowie, kiedy nad rzeką w Sambii, puszczańską, pruską, odprawiał nabożeństwo.

A potem przywieziono do Gniezna już Świętego Wojciecha, nieżywego. Wykupił go u Prusów Bolesław polski.

Chodziły pielgrzymki do zabitego, świętego ciała. Były cuda u tych, kto dotknął trumny.

Przyszedł rok 1000, w którym oczekiwano końca świata.

Przyszedł rok 1000, w którym oczekiwano końca świata.

Z klasztorów płynęły sprawy biczowań się, kajań, bogatych odpustów i pielgrzymek. Papiestwo po społu z cesarstwem patrzyło w ten rok oczami otwartymi: Koniec świata starego, a świata nowego początek. Czytano apokalipsę świętojańską:

I przyjdzie smok, i będzie miał siedem głów, i pożre ten świat — a trąby archanielskie obwieszczą Ostateczny Sąd...

W klasztorach szły długie nabożeństwa, po całej Europie średniowiecznej — leżały krzyżem ludzkie ciała po kościołach i po drogach, poczynając od władców tego świata a kończąc na jego wiecznych niewolnikach. Sąd Ostateczny nie rozpoznawał przecież spraw tylko najwyższych — zajmuje się wszystkim, co dotychczas żyło i grzeszyło. Miecz Sądu Ostatecznego i głosy trąb archanielskich są straszne całemu światu, ziemi i niebu, gwiazdom, rzekom, złym ludziom i wszystkim nieochrzczonym z wody w chrzcielnicy rozdzwonionych kościołów.

W księciu polskim Bolesławie, w jego duszy młodzieńczej a twardej, przemieniały się pojęcia z każdym dniem, umacniały się (dojrzywał młody) siły nowe — zdawało mu się czasami, że już chwycił prawdziwy sens życia. Wszystko co boskie tchnęło wielką siłą, młodość i siła — dwie potęgi świata — czymże boskość jeśli nie potęgą, która wszystko pod sobą gnie. Jedno jest prawo światowe — nie ma innego oprócz niego; ono dobre tak ludziom jak krajom, tak niebu jak całej ziemi. Trzeba silnym być, odpierać napad, napad umieć uprzedzić, zanim spadnie, obwarować się i nie dopuszczać słabości, która jest innym widoczną. Na tym i prawo moralne, — święty gdy słaby, ginie; święty, gdyby silny był w potęgę ziemską, czym by był! Świat by przemienić potrafił! Zbawiciel — to słowo wiele mówi.

Świat zbawiać — to uczyć go żyć. Świat zmuszać potrzeba, bo jest ślepy. Na wojnie być muszą wodzowie. Życie jest wojną bez końca. Wodzowie się rodzą — lecz i tworzą. Kto ja jestem? — wódz tu mego świata!

Bolesław Mieszkowicz — budowy atletycznej — goły, parzył się w łaźni — skórę miał ciemną, grecką — mówili, kruczę włosy i wąsy, zarost czarny, niedźwiedzi młodego pięknego ciała — z kamieni rozpalonych w łaźni buchała piekielna para — takie chmury, tylko siarczane, mogłyby wybuchnąć przy końcu świata — myślał — i myślał jeszcze o sprawach, które go wciąż zajmowały; nie miał zawsze czasu; chłostały go wiennikami łaźnie młode dziewczyny, potem on je chłostał, każąc im się rozbierać do naga; oblewały go zimną z lodu wodą, ubierały go — już zapominał o nich — powietrze na dworze było mroźne, czekał koń. W zamku czekali go długo posłowie czescy i ruscy, musieli mieć dużo cierpliwości, palili sobie w kominie ogień i popijali gościnny miód. Bolesław rozmawiał z nimi urywanymi słowami, które brzmiały jak rozkaz — taka siła biła z ciała młodego polskiego księcia samowładnego.

Przy zamku pracowały głowy uczonych księży niemieckich i czeskich, na pulpitych wysokich stały księgi z osłej skóry, zamalowywane znakami kolorowymi, które księża kaligrafovali. W grodach książęcych, przy kościołach i po klasztorach w puszczach śpiewały szkoły nowe pieśni i uczyły się nowej nauki na pamięć, w niewiadomym łacińskim języku, do niczego na świecie niepodobnym. Uczniów bito różgami i wołowym batogiem, na chwałę Boga i na pożytek ich własny i ich potomków. W katedrze gnieźnieńskiej, koło trumny św. Wojciecha, zbierały się coraz gęściej tłumy ludzi, z całego kraju, z zagranicznych stron, i modliły się o cuda sobie: o wyzdrowienie z choroby, o wyleczenie z kalectwa, o pomyślne zbiory, o życie, o chleb, o deszcz, o słońce, o łaskę książęcą. Przy trumnie codziennie świeże kwiaty — niewysłowiona niebiańska woń kadzideł — to (mówili) tak święty pachnie. I śpiewano w kościele coraz piękniejsze pieśni — gregoriańskie. I cuda, cuda powiadają o cudach cudownych u grobu uśpionego, nie umarłego świętego.

Cesarz niemiecki, Otton III, rudy — w 1000 roku wybrał się z pielgrzymką do grobu świętego w Gnieźnie.

Gdy dojechał do granic polskich Otton III, rudy, młody, cesarz niemiecki, w Rzymie koronowany, — na granicach spotkały go ogromne wojska polskie, na czele jechał Bolesław (wszyscy poziadali z koni, prowadzili konie w cuglach przy

pysku). Spotkali się Otto z Bolesławem i uściskali się — na trawie, gdzie stali, leżał czerwony dywan — wsiadły wojska na konie, a młody (dwadzieścia miał lat) rudy Otton chciał iść do grobu pieszko — gdy dojechali razem do miasta Gniezna, jadąc kolasą książęcą.

Chóry dziewic biało ubranych z liliami białymi w rękach, z welonami jak mgły, na twarzach rumianych, stały po obu stronach czerwonego chodnika — kobierca wschodniego, po którym młodzieńcy cesarz, bosy, zzuwszy trzewiki śpiczaste — szedł.

W Gnieźnie płynęła wczesna upojna wiosna. Wieczorami zamek drżał od muzyki i śpiewu, i tańca tupanego. Nocami gały światła, zostawały tajemnice nocy, i miłość i pustota, i pijaństwo. Nocami także paliło się światło na kominie czerwonymi blaskami i dwie głowy panujące ludziom i ziemiom wielkim pochylały się ku sobie, rozmawiając. Obie głowy były bardzo młode: ruda i czarna. Ruda należała do węża, chorowitej, bladej postaci cesarza Ottona, marzyciela, a czarna, krusza — do szerokich jak stół dębowy ramion i wysokiego jak dąb wzrostu Bolesława, pana wielkiej Polski. Świat był pokryty puszcza, cała Europa — w puszczach mieszkaly dzikie zwierzęta i dzikie ludy, — twarze ludów przypominały często odmiany ptaków i ssaków — ci dwaj panowie życia i śmierci, nie swojej a cudzej — schylali się ku sobie, ich usta poruszały się, reformując w planach twarz Europy.

Żegnając się już do snu, mówił Bolesław do Ottona o sile, która decyduje w dobrem. Przez okno patrzył księżyc, a rudy Otto poniósł swe młode marzycielskie oczy w niebo i wspomniął o niebie włoskim, które ukochał najwięcej, gdyż tam jest najbliżej do zbawienia duszy i świata, w Rzymie, stolicy stolic ziemi.

Podczas ostatniej pożegnalnej uczty (kielichy złote, wypite, zabierali dostojni goście za pazuchę swych jedwabnych szat) wypowiedział toast Otton III. Zagrała fanfara, zagrzmiął róg, gdy słabowity młodzieniec, suchotnik, podniósł się z wysokiego złotego stołka. Wstali wszyscy przy stołach. Wstał Bolesław.

Otto mówi:

— Królestwo moje nie jest z tego świata, ale świat ten urządzaście podług mego świata. Tak rozumiemy słowo Zbawiciela naszego, ja i mój przyjaciel serdeczny, polski król.

Otto podszedł do Bolesława, wspiął się na palce i ucałował swymi bladymi anemicznymi ustami — jego czerwone mięsiste, pod czarnym wąsem, usta. Potem zdjął z głowy złoty krążek swej rzymskiej korony i włożył go, znów wspiawszy się na

palce — Bolesław tu się pochylił — na głowę, na czarne podcięte włosy Bolesława.

Bolesław powiedział:

— To te noce... — i urwał.

Odpowiadał spokojnym już, silnym głosem, tak żeby wszyscy słyszeli — zachowując prawdziwą odpowiedź na później.

Księżyc jeszcze świecił na niebie w ostatnie noce, jakie spędził cesarz Otto w Gnieźnie.

— To tak... — powiedział Bolesław, gdy zostali z cesarzem razem.

— To dla nich — odpowiedział cesarz.

Usiedli przy kominie, przy czerwonych ogniach, przy księżycu. Z sal zamkowych dochodził śpiew pijany, roztupany polski dziki taniec, powikłane krążenie taneczne Niemców, flety, piszczałki i trąby, żeńskie hałasy i śmiech.

— Trzy cesarstwa — powiedział Bolesław — twoje rzymsko-niemieckie zachodnie, bizancko-greckie wschodnie, moje polsko-słowiańskie środkowe.

Cesarz wiódł Bolesława do okna i kazał mu patrzeć w niebo. Na stole dębowym przed kominem leżały pisane opisy łacińskie ziem, o których była mowa — podsygnowane, z podziałem, czerwoną poznaczone farbą, — na pergaminach widniały mokre znaki od piórek, którymi poznaczyli monarchowie swoją umowę o Europie przyszłych gwiazd i prognostyków.

— Byle mi życia starczyło — powiedział młody cesarz, patrząc w gwiazdy.

— Tak, trzeba żyć, żeby zmieniać światy. Ale trzeba zawsze chcieć dać przynajmniej początek zmianie światów — odrzekł Bolesław.

— W tym znaku zwyciężajmy — powiedział Otto.

— W tym znaku zwyciężymy, choć czasy idą nad nami — odrzekł Bolesław, trzymając oburącz wątlą dłoń kościstą młodego cesarza niemieckiego.

Minęło dwa lata — młody cesarz otruty był i umarł.

Trwają wojny z cesarstwem niemieckim, — w lasach idzie polska partyzantka.

Cesarzem — Henryk. (Otto był Sas — ten z Bawarii).

Wielka ziemia polska — stolica w Pradze: polskie Czechy, Morawy, Łużyce, obydwie Pomorza i morze.

— Losy wojny są zmienne (mówią ludzie, patrząc na walkę, której końca nie widać).

W obozie Chrobrego palą się ognie, śnieg, w lasach zamieć, wilki wyją, słońce wschodzi i zachodzi. Ludzie z mrozu płaczą soplami.

Krew jest zawsze gorąca. Rozgrzewa, roztopia nawet śnieg. Białe i czerwono w lasach.

Wojna to i nie wojna. Rok, dwa, trzy — lat czternaście. I znów graniczne jakieś miasto. Rozmawianie o wojnie i pokoju. Miasto nazywa się Budziszyn — a rozmowy walczących tak idą, jakby nigdy, przez całe czternaście lat, żadnej wojny nie było między nimi. Jest przyjaźń przy ogniskach obozowych — grają bębny, grzmia rogi na pokój.

Na wschód drogi prowadzą inne. Puszcza coraz mniej, coraz częściej łysiny stepu. Wzgórz się Wołyń falisty, wyrównuje się stepowa Ukraina, usiana zielonymi gajami. Lato dojrzałe w polach — w brzęczeniu, w kurzu, idą wojska bitwami szarpanymi. Wojska ruskie uchodzą przed polskimi. Bolesława ogromny koń — ciężar pana polskiego nie na siły żadnemu koniowi. Oczy Chrobrego palą się w dzień i w nocy, podobne węglom. Oczy zapadłe z trudu, twarz ciemna i czerwona od słońca ukraińskiego.

— Widać już... — powiadają wojska, pokazując wyciągniętymi rękoma wielki Kijów o złożonych kopułach cerkiewnych.

Jeden z żołnierzy mówi, przykładając rękę do oczu, pod słońce:

— Bogate, mówią, miasto, wszystkiego ma dosyć.

Drugi mówi:

— Dziewczyny rusińskie ładne, wszystkie czarnobrewy, czar-nookie, bujne a bojaźliwe, lubieżne a niby święte. Pohulamy!

Trzeci powiada:

— Krew piją tam, ludzi jedzą, słyszało się...

Bolesław Chrobry zatrzymał konia.

Bitwa o Kijów była krótka. Miasto poddało się i otworzyło bramy. Bolesław wjeżdżał koniem w złotą bramę, uderzył w blachę złotą mieczem. Książęta, księżne, duchowieństwo, kupcy leżeli w pokłonie na ulicy — koń Bolesława biały szedł spokojnie.

Posłowie Bolesława jechali na drugi dzień — w dwie strony świata: do Carogrodu jeden, do cesarza bizantyńskiego, i drugi na zachód, do cesarza niemiecko-rzymskiego. Bolesław słał im swoje cesarsko-słowiańskie pozdrowienie, siedząc na zamku kijowskim Włodzimierza Wielkiego, Słoneczka Jasnego.

Wracającego z Kijowa witano po Polsce — szła jesień polska.

Niezmierne ziemie słowiańskie tworzyły już to, co rozmowa księżycowa w Gnieźnie, w roku końca świata, spodziewanego — 1000 — zawarła. — Śmierć chodzi dziwnymi drogami — myślał koronowany Chrobry umierając. — Wszystko niszczy... Trzeba ciągle zaczynać od początku. Gdzież może powstawać ciągłość, gdy człowiek jest wszystkim, a nic nad niego nie trwalsze? Czyż są silniejsze siły nad człowieka, które by przetrwały jego życie. Nie ma ich — nie znam ich. Gdzież są one? W kim, w czym, gdy wszystko się kończy z jednym człowiekiem? Czy można przekazać swoje życie innym, swoje myśli innym, swoje siły innym. Sami muszą zaczynać na nowo. Nie widzę, nic, co by mnie prowadziło do tego. Gdzież jest eliksir wiecznego życia? Czemu nie wynaleziony? Czyż tak samo nie dzieje się z innymi, jak teraz ze mną? Kto ich poprowadzi do tego, co ja im ukazałem? Jestem sam, sam jeden na cały kraj — jak źle, jak ciężko, jak to wszystko na mnie zapatrzone, mnie zgađujące z oka, z poruszenia warg — jak to wszystko ślepe i jeszcze szczeniowate, — bydło, które trzeba pędzić batem na pastwisko. Paść się umieją — to ich całe życie. Byłem pastuch bydła — co mi zostało: matka ziemia moja, ona dla mnie była wszystko.

Odżyła siła w puszczach ukryta.

Odżyła siła w puszczech ukryta.

Był Chrobry, nie stało go. Cisza lasów odezwała się groźnym szumem. W Gnieźnie słyszano te odgłosy groźne. Młody król, następca Chrobrego, Mieszko II (dzielny wojownik i rycerz) czuł, jak rozprzegają się w jego rękach konie — wielkie ziemie jego ojca. Oto tak było:

Mówią, że z kraju wielkiego nic już nie będzie, bo nie ma tego człowieka, który był wszystkim. Ziemia jest tego, kto ją trzyma, a kto jej nie umie utrzymać, straci ją. Wiara jest tego, kto ma siłę nakazać ją — bogowie są straszni w zemście, wołają, łakną krwi. Ustały ofiary bogom, to zła godzina. Przywrócić ofiary bogom — źle jest. Gdy trwogi — niech ratują bogi! Młody król nie nadąży wojować. Już tam jest, już indziej go szarpia; młody król odchodzi od zmysłów, włosy na młodej bujnej głowie rwie. Poszedł na zachód, na południu podarli go; szedł na południe, szarpnęli go ze wschodu: rozbili na północy. Źle się dzieje w państwie polskim. A wszystko to z zemsty poniewieranych bogów — tyle lat — tak strasznym sposobem. Czarny lud — za starymi bogami. Już powstają na nowo ich chramy leśne, kwiaty idą na ich ołtarze, — zmieszane z gorącą krwią odszczepieńców od wiary nieskończonych przodków. Precz z kościołami, które żyły żelazną bronią. Precz z panami obcymi, którzy przyszli ze swoim światem do starego świętego świata Słowian. Precz, precz, precz!

Kosy, topory leśne, kije z drzew puszczańskich przewracają nowe porządki, cofają się w święte zacisze — z pomocą burzy i gniewu. Niech zginie śmiercią to, co oparło się o śmierć straszliwą.

Wojna skończyła się, czy jeszcze trwa na granicach? Kto to wie? W kraju najważniejsze — to, co dzieje się w jakiejś wsi, w jakimś mieście, na jakimś zamku. A tu dzieją się sprawy, hałasem, pożogą, hulaniem odurzające; lud cały odurmaniony, jak zaczarowany śmiercią tych, których — myśleli — nikt już nie powali. O niezwyceńzeni, których tak łatwo zwyciężyć, — którzy tak samo jak prosty naród umierają, tak samo płaczą i modlą się o litość i wszystkiego się wyrzekają, mając noże ostrzone na gardłach.

Co się stało z młodym królem, Mieszkim II Bolesławowiczem. Jest u Niemców — uciekł, czy w niewoli. Już go nie ma — powiadają — już zabity. Jedni mówią, że go zatruli — drudzy mówią, że zginął z obłąkania — że sam sobie przeciął żyły krtani. Kto to wie, gdy tyle co dzień, co noc — umiera ludzi — gdy triumfuje żywioł puszcz i instynkt żywego mięsa i krwi, i wracania do świętych prawd, i widoku krwawej sprawiedliwości okrutnych najwyższych bogów, którzy wreszcie doczekali się swej zemsty strasznej, wymodlonej przez białych kapłanów, tak długo kryjących się z pokolenia w pokolenie — czarodziejami — w gajach świętych, nie tkniętych bluźnierczym toporem.

Lecz burza powoli zacicha — jeszcze nie zgasły pożary; lecz nie ma na świecie wiecznych burz. Skąd idzie tęcza? Tęcza to idzie przekłeta. Niesie pogodę czy miecz? Na zachodzie pokazała się — już rośnie, coraz większa. Idą z nią silne niemieckie wojska. Wraca co było? Gdzież się podzieli znów bogowie? Czyż oni pierzchają przed znakiem tego przekłętego krzyża, który ma kształt miecza? Czyż oni przed nim jednym zawsze będą mieli trwogę? Czymże on taki silny, gdy nie mieczem. Lud go tak nie chce — obcego — a on znów idzie — znów groźny...

To już nie król Mieszko Bolesławowicz wraca — bo skądby wracał — spod ziemi — z swojego grobu? — to idzie jego nasienie — młody, jeszcze młody książę, Kazimierz Mieszkowicz, jego syn, mnich niemieckiego klasztoru. Idzie z mieczami i z krzyżami znowu. Siły wielkie prowadzi, niemieckie wojska do pomocy, z bogactwem idzie, kupuje znowu panów — wycina nieposłusznych — znów odezwały się dzwony — potłuczone — w powalonych, odbudowanych kościołach łacińskich. — Nazywają go odnowicielem — na kolanach witają, z kwiatami, z chlebem i solą — nowy pan życia i śmierci — zwłaszcza śmierci. Wracają czarni księżdzowie, z ostrymi u boku mieczami, rozśpiewały się nowe nabożeństwa — na drzewach wiszą biali kapłani z puszcz — coraz ich więcej; lud idzie na ciężkie roboty budowy twierdz kościelnych i książęcych — mówią o nowym prawie

— o tym, że już nigdy nie wróci ta wichura, zamieć, burza dzika, jaka była przez te cztery lata — już spokojnie, już usadziło się ludzkie mrowisko — już jest coraz do mrowiska podobniejsze, już znowu odnawia się kraj, Kazimierzowy teraz.

Pytają ludzie:

Spokojni — czemu to wszystko było — jak to dobrze, że się skończyło, że znowu nastał ład.

Niespokojni (pytają) — dlaczego tak prędko minął ten czas wolnoty — czemu tak krótko trwał — czemu z niego nie wyszło nowe, bujne życie?

Nie pytać już o to. Siły nowe. Starzy umierają. Młodzi się rodzą. To wszystko są fale zmienne. Jak przypyły, odpływy morz. Jak przybory wiosenne rzek, a potem susze letnie — lody zim, złoto i czerwień jesieni. — Nie pytać o to. — Wszystko mija, minie. Ludzie proszą tylko się kładą w ziemię i zasypiają snem prochów — inni, wielcy udają tylko śmierć, nie umierają nigdy — pamięta się ich jak baśń, jak straszną, czarowną baśń wspomnienia — z imionami ich wiąże się świat? — Oni jeżdżą gdzie chcą, zmieniają ziemię jak chcą, zmieniają ludzi jak wolą. Są baśnią o wszystkich możliwościach.

Stolica polska była już teraz z ziemi Polan przeniesiona do ziemi Wiślan. Z Poznania i Gniezna — do Krakowa, — przyłączyła się do ziemi polskiej, dawnej — oderwana jej stara ziemia śląska; przyłączona została — z puszcza (i węglem razem) — ziemia sąsiedzka Wiślanom.

Na zamku krakowskim, wawelskim — nowy był już książę, pan całej ogromnej, odnowionej jeszcze raz ziemi. Młody — podobny do pradziada swego, do Chrobrego Bolesława Mieszko-wicza, młody, miał lat siedemnaście, gdy wstąpił na tron pyszny Krakowa. Imię jego Bolesław Kazimierzowicz.

— Miecz mam — powiedział — mieczem jestem władny nad całym krajem, który jest mój, i nad tym, który moim się jeszcze stanie! Bójcie się mego miecza — ja straszny, gdy będę w gniewie! Ze mną lub przeciw mnie — a wtedy wy i przeciw sobie, popamiętajcie to!

Piękny jest las czeski, piękna równina, step węgierski. Wojsko polskie chodzi po tych ziemiach. Książę polski ma tam swoje sprawy. Na tronach czeskim i węgierskim siedzą księcia polskiego zaufani, on ich posadził tam, podparł i podpira. Nawojował się o to swoim wojskiem, i słowo jego tam jest teraz święte. Gdy cofnie je — gdy cofnie swoją siłę — nie

zostanie tam kamień na kamieniu. W czasie, gdy książę Śmiały ma lat dwadzieścia — dwadzieścia trzy, rozkazuje nie tylko ziemiom polskim swoim, lecz i tamtym dwom — nieswoim, a jak swoim.

Droga prowadzi na wschód. Książę ma lat dwadzieścia osiem. Kijów jest stary i wielki. Bywał tam książę młodzieńcem. Jego żona czarnobrewa jest Rusinka. Jego matka czarnowłosa — była Rusinka, księżniczka. Gaje, bukiety gajów zielonych. Step. Leniwe rzeki Ukrainy — Dniepr szeroki, z którego widać w nieskończone kraje — ziemie. Nad stepem unosi się pieśń, zaciągłiwa, rzewna, rozkochana i dzika i senna. Długie wieczory kijowskie, noce upojne — w zieleni — w płonących smolnych łączywach na zamku kijowskich książąt. Bolesław Kazimierzowicz Śmiały, pan Kijowa, chodzi w wieczór na górkę Włodzimierską, gdzie stoi drewniany krzyż na pamiątkę chrztu świętej Rusi, na pamiątkę Jasnego Słoneczka, okrutnego św. Włodzimierza, księcia wielkiego kijowskiego, Normana jasnowłosego, który trzymał na dworze swym uczonych greckich i haremy sułtańskie najpiękniejszych swego czasu kobiet. Patrzy Śmiały Bolesław na Dniepr, z urwistego urwiska na rzekę szeroką. Idą z nim ukraińscy bandurzyści — i grają mu ruskie pieśni. Książę siedzi na górze i marzy, podparłszy kułakiem brodę, oczy tęsknotą mu zachodzą, to znowu dzikim zalewem.

W złożonych teremach kijowskich, w których mieszka, żyje życie rozkoszne, pijane — step tańczy dzikiego kozaka, a dziewczęta skaczą w tańcu wysoko, jak pręty sprężyste strzał, wystrzelanych z muzyką pod niebo.

Wschody słońca — blade — wschód ruski — szeroko, daleko widać świat, gdy tylko zamknąć oczy, bajka się śni, bylina ruska, ciężka i słodka jak to powietrze kijowskiego lata — upojne. Książę się ruszczy — duszą i tęsknotą. — Za czym to tęskni ta ziemia, bo że tęskni, to czuć w jej powietrzu, w szerokich, bezgranicznych stepach, w leniwości jej rzek, w szumie Dnieprowych porohów nienasytnych, w rozbójniczych zaporoskich oczeretach. — Pana chce, pana woła — ta wolność, natura szeroka; książę pije na cześć tej tęsknoty (która objęła i jego) — rad by może nie wracać już, tak mu tu w duszy ułożył się, dojrzał świat i jego widzenie nowe — widmo księcia, który się staje bogiem przyrody ślepej, jej okiem, myślą i wolą; ale sen to i krótkie są chwile snu, miecz nigdy zasnąć nie może, bezsenne narzędzie ludzkiej duszy, jej stróż-aniół (aniół tutaj w postaci bizantyńskiej, w greckim chitonie, czarnoooki, w fiole-

tach nocy cały, straszny i wielki, i piękny, i jak demon — anioł); — było to w letnią burzę z piorunami.

Niebo zakryte chmurami, pioruny złote na czarnym niebie, kwiaty w ogrodach kijowskich, książęcych, kwiaty wschodu odorzająco pachną (od deszczu pootwierają się i oszałamiają swą wonią, jakby trucizną — w ich kielichach trucizna miodna — choć podobna do łez rosy deszczowej) — Ruś powstała, rznąła panów — wojsko polskiego księcia po grodach rusińskich w kraju — uciekali panowie: — książę błądy poczerwieniał gniewem — polała się krew w Kijowie z pomocą polskich, ostrych, stalowych mieczów — opuszczali księcia — w strachu polscy rycerze — rozhułani na paszy ziemi ruskiej. (Książę miał oddziały dzikich wojsk, które zawsze mu wierne zostawały, z nimi wychodzi z Kijowa — z nimi powraca do Krakowa). Już Kijów został za księciem. Przed nim stał stary Kraków, dawno nie widziany, polski.

Kraj polski. Inny świat. Inni ludzie. W kraju bunt. Spiski. Pożary. Gwałty i krew. — Wojska wróciły — do domów.

Ruski wygląd mają wojska polskie Bolesława Kazimierzowicza Śmiałego. Dzika — krew. W oczach żądza, gniew, oczy tęskne i okrutne. Owłosione szerokie piersi, brody piękne faliste, zarośnięte potężne pięście. Ruś przenosi się do kraju Wiślan, a stamtąd po całej Polsce. Władza księcia Śmiałego, tłumiąca bunt, wyrosła pod niebo. Już książę chodzi w koronie (korona złota — królewska — smukła, strzelista, wysadzana wschodnimi drogimi kamykami). — Na zamku krakowskim — królestwo!

Książę powrócił i żyje teraz dziwnie. Zruszczył się — mówią. Panowie polscy są dziś przeciw niemu. Zwłaszcza ci, którzy chodzą w duchownych ubraniach, noszą krzyże na piersiach, a przy boku proste niemieckiego, rzymskiego kroju miecze. Książę-król nosi arabską krzywą szablę płaską, szeroką, w półksiężyc. Ubiera się z ruska, i dziewczęta poprzywoził z Rusi. Zapija się po nocach, a potem urządza kaźnie, sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Chłostają na zamku tych, co królewskiej woli nie słyszeli. I te, które są piękne i młode, a podpadły łapczywym wdzięku oczom króla — kobiety i dziewczyny, wzbraniające się, czy wierne czy niewierne. A król jeszcze jest dziwny — naród się w niego zapatrzył czy on w naród — chodzi za królem oswojona biała klacz pod czerwonym czaprakiem bogatym — klacz wrózebna boga Światowida — klacz ta biała boża wróży, chodząc po dziedzińcu drewnianego wawelskiego zamku i przestępując swoi-

mi różowymi kopytami błyszczące wojenne włócznie, pokrzyżowane na ziemi. Król kocha tę klacz, i kocha jeszcze drugą jakby klacz — kobietę nową, nową swoją żonkę, wysmukłą rasową jak arabska klacz Rusinkę. Dawna żona w opuszczeniu siedzi, zapłakuje swoje kare oczy. A ta nowa — to z mlekiem krew.

Jest podobna ta nowa młoda żonka, do rusałki — złoty oczeret jej włosów ścieli się po ziemi, ciało mleczne, gną się jak trzcina członki smukłe, nogi jej długie; jej ramiona obejmują króla na zamku w puchach łożnicy — a usta jej wiśniom podobne, słodkim wiśniom otwartym przez ptaka; a jej oczy mają zalewność i gwałt Dnieprowej ciemnej wody; jej policzki owalne, rumiane z bielą śnieżną podobne róży arabskiej z Damaszku; w muszlach jej uszu różowych dźwięczą złote obręcze, rasowe namiętne nozdrza oddychają jak chrapki zwierzęcia; i cała jest jak zwierzę dzikie i leniwe, samowładne a upokorzone, lubieżne a jakby już astralne — z krwi i ciała ożywionej słowiańskiej boginki.

Królowa-żona płacze, zapłakuje kare oczy. Brat króla — w niełasce królewskiej: Brat myśli, jak brata, co jest królem, carem wschodnim, odkrólewić, odcarzyć, odczarować. Do komnat królowej przyszedł raz z biskupem młodym krakowskim, Stanisławem. Biskup Stanisław — piękny jasnowłosy rycerz — usiadł za stołem w pokojach królowej Bolesławowej, razem z bratem królewskim, Władysławem.

Biskup Stanisław — wszedł do kościoła. I już nie wyszedł z niego. Leżał — zabity, u stóp ołtarza, w kałuży krwi. — Zabił go król Śmiały, Bolesław Kazimierzowicz.

— No i cóż? Leżysz? wstań teraz! Mówiłeś, że umarłych potrafisz wskrzeszać, siebie najprzód wskrześ! Wstawaj! — krzyczał król w kościele na Skałce, w drewnianym wysokim kościele, potracając trupa swym czerwonym, palonym butem.

Król krzyczał sam do siebie. Kościół był już pusty. Pouciekali wszyscy. Zaczynał się świt dnia. Msza ranna nie została dokończona. Świt za drewnianymi otworami okien kościoła, zasłoniętymi pęcherzem przezroczystym — wpelzał do wnętrza, rzucając jasne smugi na postać króla stojącą nad trupem biskupa. Król obejrzał się — było pusto wkoło. Za kościołem huczała ciżba ludu, rozganianego przez wojsko. Król zarzucił płaszcz na ramiona, który mu spadł na drewnianą wilgotną podłogę kościelną, i wyszedł zza ołtarza. Szedł przez kościół. Podłoga skrzypiała. Buty króla czerwone skrzypiały. Na podwórzu przed kościołem stała sadzawka z wodą. Król zanurzył w niej miecz i obmył go

Potem wytarł go o mokrą ziemię, potem o płaszcz swój. Była wiosna. Liście zielone szumiały na drzewach, szumiała trawa pod nogami. Za bramą podwórza stał koń króla i oddział konnego wojska. W milczeniu. Król wszedł na konia, jakoś ciężko mu było — pierwszy raz — podnosić się na strzemieniu siłą lewej nogi i usadawiać się w siodle arabskim, wysokim. Spiał ostrogami konia, zawrócił go uzdą na miejscu — i z rozwianym płaszczem, nacinawszy futrzany kołpak na oczy i na lewe ucho, pogalopował do zamku, na Wawel. Za nim oddział jego konny, galopem pędził za nim — jakby uciekali przed kimś.

Biskup nieżywy — leżał w kościele, przed ołtarzem, opuszczony. Bano się podejść do jego zakrwawionego ciała — może straszy? — kiedy przyszli pierwsi ludzie — tam — prowadził ich brat króla, Władysław — szli na palcach, po cichu, żegnając się od uroków — zastali ciało nieruszone — i nie było w nim smrodu umarłych.

— Cud — powiedział jakiś mnich, mizerny, młody, kuląc się w czarnym swym płaszczyku, podbitym wiatrem.

Omyli ciało zabitego w sadzawce. Pochowali.

Potem dopiero przyszły orły, co strzegły ciała świętego — potem kruki nad nim krakały, a z ciała trupiego dobywały się zapachy rajszych ogrodów i zakwitały lilie.

Tajemnica...

Była zdrada, był spisek na króla, spisek brata Władysława na życie królewskie — w spisku był pierwszym młody biskup.

Powiedział:

— Świat składa się z dwóch światów, z ziemi i z nieba. Czyż ziemia nad niebem — czy niebo nad ziemią włada? On jest z ziemi, ja tu sługa Tego co z niebios. Ja sługa słońca, on — księżyca. Co wyższe? co jaśniejsze? co życie dające więcej, i chleb, i ziarno, i światło...

Mówił (wtedy, na radach nocnych) Władysław, brat króla, zwany później Herman:

— W nim siła wielka. Jak go przełamać.

Odpowiedział Stanisław:

— Sam się już przełamał. Będzie teraz pękał w sobie, aż rozpęknie się — rozniesie go pycha straszliwa. Już jest bogiem sobie. Już i jemu znajdzie się zamek Kanossa. Bosemu trzeba będzie modlić się o zdjęcie kościelnych kłąt.

Mówił brat króla:

— A jeśli dowiedzą się, że to sprawy wasze — nie tylko nasze książęce — lecz i wasza, kościelne sprawy, zatargi władz między Krakowem biskupim a Gnieznem arcybiskupim...

Stanisław biskup rzekł:

— Nie ma ważniejszych spraw nad Kościoła sprawy, matki naszej, stolicy ziemskiej Pana przedwiecznego — im wszystko poświęcę, jak on gotów poświęcić wszystko swojej myśli najwyższego na tej ziemi pana, jakby on był tą ziemią samą, on i nikt oprócz niego. Siły nasze w boju są równe. Zwycięstwo w bożych rękach...

Władysław, pochowawszy w tajemnicy ciało biskupa, wyjechał z Krakowa tajnie. Towarzyszył mu młodzian rycerz Sieciech. Wąs mu już puszył się pod nosem — a dłonie były mocne, żelazne, twarz piękna, jak malowana.

W zamku krakowskim — cóż mogło się zmienić, dopóki był król Śmiały. Tylko w zamku pokazały się czary. Śpiewały po nocach żałobne pieśni. Król nikogo do siebie nie przypuszczał. Opuszczał wszystkich i wszyscy go powoli opuszczali. Ręka go bolała, prawa ręka, pocierał ją teraz ciągle, zapominając nawet o tym.

Były bunt — trwały kilka tygodni, opłacane przez brata królewskiego. Była szerzona panika przez duchowieństwo — o karze niebios na króla.

Król był sam:

— Rozmawiaj ze mną — mówił do siebie. — Tylu zabiłem, ani mi ręka drgnęła. Ale o co tu idzie. Ci, których zabijałem, myśleli tak jak ja, a ty myślałeś inaczej — i to mnie niepokoi po nocach. Cóż innego jest oprócz tego — co wiemy o świecie, o ludziach, o zdradach, o skutku miecza, który przerywa życie.

Wygnany? Poszedł na wygnanie. Wygnano go, czy sam poszedł. Mówią, że zasnął, że dotąd śpi — że jest w górach — że to on leży w Tatrach — że to on — to Giewont — to jego z kamienia ciało, a przy nim ciała jego rycerzy wiernych kilku, którzy z nim wyszli z państwa precz. Że to oni są tatrzańscy rycerze śpiący. Tak mówi lud — i czeka, aż oni wstaną. Bo ten król był bogiem ludu — słowiańskiego i pogańskiego, bogiem Wschodu samowładnego, Jasnym Słoneczkiem krakowskim — straszne król słońce — słowiańskie, piękny i dziki, i smutny smutkiem wiecznych prawd żywota, siły i władzy, z tego świata, z tej ziemi, z tej krwi — przez krew.

Zaczął się w zamku wawelskim monolog króla — i trwał po wszystkich szlakach jego tułaczki — po Węgrzech — potem zabłądził monolog ten do Osjaku. Do klasztoru przyjechał król na koniu białym. I tam umarł — w ostatnim monologu. Kwitły pod murem — czerwonym kwiatem południowe granaty i biała akacja, dojrzewały grona winogrodu złotego — i zimne były kamienie śmierci — jeszcze za życia, i zimne zostały, i leżą.

Na północ przeniosła się Polska, na północ i wschód, w Mazowsze. W Płocku był brat królewski, Władysław Herman — księciem Polski. Wytrawił brata — króla, sam już władał. Za niego myślał piękny młodzian Sieciech. Syn nieprawy Hermana, Zbigniew, wojował z ojcem o władzę. Herman chodził wojować Pomorze. Żona jego kochała Sieciecha.

Nie stało Rusi Czerwonej, oderwała się. Nieprawy syn Władysława pogodził się z ojcem — Zbigniew.

Napędzono wojewodę Sieciecha.

Był młodzieniec, syn drugi księcia. Miał usta krzywe. Na imię miał Bolesław. — Nazywano go chłopcem o krzywych ustach. Był bardzo silny znów i znów się nazywał Bolesław.

Bolesław — to znaczy więcej sławy — a może — że sława go boli.

Były to czasy wypraw krzyżowych...

Były to czasy wypraw krzyżowych; były to czasy soborów, założony był zakon cystersów; Jerozolima została zdobyta przez krzyżowców. Umarł Rodrygo Cyd w Walencji. We Francji rodziła się filozofia (w początkach swych dopiero) scholastyczna.

Krzywousty, księżę polski, wielki księżę całej ziemi polskiej — szedł na północ, szedł zawsze do morza — nad Bałtykiem morzem spędzał świąty zamglone. Opowiadano — że gdy nad wieczorem przesilała się pierwsza wojna młodego księcia (o krzywych ustach), nad jeziorem Nakłem — wieczór był cały w czerwieni słonecznej — od jeziora, na białym koniu przyjechał na pomoc wojskom polskim sam bóg słowiański Światowid, i w płaszczu czerwonym, pociętym błyskawicami, prowadził konnicę polską do szarży — tak mówili. Bolesław nazwany Krzywoustym — zwycięski jechał znad jeziora Nakła, jechał końmi, wojskami na południe, z ziemi jezior pomorskich, z jeziornego Pomorza, z szerokiego morza — na front niemiecki, na Śląsk.

Był świt blady — po bitwie na „Psim polu” — tak nazwano to pole od psów — psy jadły trupa na poboju pod Wrocławiem — dzień i noc; psy to były z wsi okolicznych, może i wilki — to jedna rodzina, pies i wilk — pies dziczeje na wilka — jak człowiek dziczeje w wojnie. W kałużach brudnych były ludzkie ostatki, z których potem był nawóz dla zbóż. Morze szumiło — nieskończoną falą — o pomorskie, polskie, sosnowo-bursztynowe, piaszczyste bijąc brzegi.

Północ to była — morzem szumiąca — otwierająca horyzont — dale, których tak potrzeba oczom i duszy, żeby żyły.

Już założony był pierwszy uniwersytet prawa w Bolonii. Powstawały w Ziemi świętej pierwsze zakony krzyżowe — templariuszów i joannitów — pierwszych zwanych od świątyni Salomona (obronców i stróżów tej świątyni — w Palestynie, w

Jerozolimie) drugi zakon — świętojański, imienia św. Jana, szpitalniczy, nazwany potem maltańskim.

Mijały lata.

Znów był świt na bursztynowym brzegu bałtyckim. Wojska polskie Krzywoustego wojowały z pogańskim słowianstwem, wzdłuż rzeki Odry, potem w jej ujściu — zajmowały powoli ziemie morskie. W namiocie, bitym przez deszcz i wiatr z morza, na wyspie Rugii, grzał się przy ogniu Bolesław Władysławowicz, wielki książę, nie mogąc rozkrzywić grymasu swoich ust — i chuchał w stwardniałe od miecza i zimna dłonie. Wojna już tliła się tylko — była w głównych działaniach ukończona — cel wielki był osiągnięty. Morze całe w pomorskich brzegach odrzańskich i wiślanych znajdowało się w rękach polskich. Podbite było, oprócz wiślańskiego (dawnego, najstarszego), również Pomorze zachodnie, wraz z ziemiami zaodrzańskimi. Sąsiadowało państwo polskie z duńskim. Morze szumiało — jego szum dochodził grzmotami do namiotu. W słonym powietrzu jesiennego dnia unosiły się echa lasów iglastych rugiańskich. W namiocie leżała na ziemi skóra białego niedźwiedzia, na skórze tej położył się Bolesław — słońce płynęło za chmurami po ciemnym niebie jesiennym — Bolesław III Krzywousty zasnął (nazywali go Niemcy „bezsenным”)...

Śniło się mu:

Morze... takie jakie widział we snach dzieciństwa — nie takie jak teraz było, jakie widział teraz, jakiego teraz był panem — że mógłby je kazać chłostać, jak Kserkses batami, za burzę, do uciszenia się fal, — śniło mu się morze takie, jakie było we snach dzieciństwa. Szedł... szedł... brzegiem takiego dziecinnego morza — wzbławianego daleko. Kolor morza był jasno, jasnozielony, jak najpierwsze liście młodego dębu na wiosnę — szedł brzegiem — a morze wyglądało, ruchome, rozkołysane, tam daleko, na pełnych falach — jak rozkołysany gęsty step jasnozielonego tataraku, wysokiego, wzrostu dużych koni, zrobionych z tataraku, a przy brzegu — jak cicha, puszysta, niby dywan o długim włosiu murawa, taka sama jasnozielona. Przybój morza u brzegu był jak ten kobierzec młodej trawy, i jak wełna z jasnozielonych owiec, obstrzyżona i posypana po ziemi. Bolesław szedł przybrzeżną tą murawą i doskakiwały go wysokie tataraki pełnego morza, — szedł skrajem leśnego brzegu, a jakby po pełnym morzu... i więcej nic mu się nie śniło bohaterskiego, tylko ta jasna, jasna zieleń morza — które zawojował ciemnym i burzliwym, i nie takim, jak było we śnie. Tak różniło się ono

prawdziwe od tego ze snu — jak życie od snu się różniło...

Nadmorskie pogaństwo było chrzczone. Wielkie nadmorskie miasto słowiańskie, Wolin, portowy drewniany ogrom, w którym handel szedł morzami i lądem z całym światem — chrzcili niemieccy księza, pod osłoną polskiego twardego wojska. Stawało w tym mieście biskupstwo, i biskup Otto z Bambergu — naturalnie, że potem święty — chrzczył całe Pomorze zachodnie i ziemie zaodrzańskie. W Palestynie szły krzyżowe wojny i w tym czasie szły polskie krzyżowe wojny na bałtyckim zachodnim Pomorzu... w pustyniach gorących i nad morzem zimnym — jednakowo gorące były one od krwi i jednakowo zimne od żelaza mieczów.

W Merseburgu — u cesarza niemieckiego Lotara III, był Bolesław Władysławowicz Krzywousty — i tam była rozmowa o Pomorzu zaodrzańskim, i o wyspie Rugii.

— Miecz polski to zrobił — rzekł cesarz niemiecki Lotar.

— Krzyż niemiecki dopełnił miecza — odpowiedział książę polski Krzywousty.

A że miecz przed krzyżem zwykł był klękać, chociaż krzyż dopiero za mieczem przychodził — wziął miecz z rąk krzyża to Pomorze, jak lenno — mówili duchowni dyplomaci, od których aż czarno było w Merseburgu.

Pewnego świtu, w Płocku, który stoi na górze wysokiej nad Wisłą — umarł Bolesław III Krzywousty. I po śmierci miał usta krzywe, chociaż mu je śmierć nieco wygładziła. Twarz trupia długo nie bladła, spalona wiatrami morskimi. Pod zamkiem płynęła Wisła — z ogrodów zamkowych słysząc było szum jej słodkiej fali — patrzyło się na nią w dół, z wysokiego płaskiego urwiska, zarośniętego wysoką, po szyję ludzką — trawą.

Kraj podzielony był pomiędzy synów zmarłego księcia. Stary książę, płodny, w synów rozrodzony, dzielił kraj pomiędzy nich — testamentowo — jak wielkie majątki ziemi. Najstarszy syn miał nad innymi starszeństwo — razem z tronem wielkoksiążęcym w Krakowie. I tak śmierć ich miała regulować władzę wielkoksiążęcą w księstwach licznych Polski.

Śląsk był, i Wielkopolska, i Mazowsze, i Sandomierskie, i inne pomniejsze ziemie — a nad nimi — najwyższy tron krakowski.

Krzywousty umarł nad świtem, o południu już zaczynała się najcięższa z wojen — potestamentowych. Przychodzili panowie,

inni dopiero przyjeżdżali pokłonić się zwłokom starego księcia, i odchodzili każdy z swoją myślą, ukrytą, skłóconą, gotującą się jak woda w garnku na ogniu. Nieśli trumnę ciężką dębową swego władcy wszyscy wielcy panowie, szli z nią pod górę do kościoła, trumna była bardzo ciężka, ciężar wydawał się nad siły politykom, jak dęby mocnym szlachcicom, i szli z nią zadyuszani, oblani potem, mimo chłodnego jesiennego dnia. Z drzew leciała jesienna rosa.

— Była śmierć, lecz znowu zaczyna się życie. To tak zawsze... — myśleli wszyscy, i każdy z osobna, wracając po tryźnie w Płocku do swych księstw. Syn najstarszy zmarłego, Władysław, wybierał się z swojego Śląska do Krakowa. On był teraz wielkim księciem Polski.

Śpiewano wtedy w Europie powieść, nową, dopiero napisaną przez księdza niemieckiego Konrada — „Pieśń o Rolandzie”, który zginął w dolinie ronsewalskiej, walcząc przy boku cesarza Karola Wielkiego — Orlanda szalony, Orlando furioso — pieśń wszelkiego cnotliwego w boju rycerstwa średniowiecznego. — Poezja tych lat.

Wtedy też pokazała się po raz pierwszy osada Moskwa.

Była druga wyprawa krzyżowa.

W Polsce zmienił się Władysław II śląski na księcia Kędzierzawego Bolesława (mazowieckiego); wtedy przyszła na Polskę wyprawa niemieckiego cesarza, Fryderyka Barbarossy, rudobrodęgo. Polska stała w pożarach i w wojnie. — Na świecie powstawał wtedy gotycki kościół Notre Dame w Paryżu; założony był pierwszy bank w Wenecji; stanęła pochyła wieża w Pizie... rozśpiewały się sprawy świętego rycerstwa średniowiecznego w utworze Chretien'a o Parsyfału i o świętym Graalu — kielichu, w którym była krew, utoczona Zbawicielowi... — Na wschodzie, na Rusi wtedy Andrzej Bogolubski, książę suzdalski, zdobywa i łupi Kijów: tutaj kończy się stary Kijów, jego sława wielka i bogactwo — zakończony, zniszczony, już podnieść się północnej teraz Rusi, zakończyła się Ruś wielka południowa — rozpadała się wtedy Ruś na siedemdziesiąt dwa księstwa udzielne — i Polska w drobnych, coraz drobniejszych księstwach żyła — dzieląca się grudkami czarnej ziemi, lasem i wojskiem.

Kraków widział coraz nowych książąt, Krzywoustowiczów, — Mieszko III Stary (twarz miał starą już od młodości); Kazimierz II Sprawiedliwy (lubił grać w kości — a grał zawsze po dzentelmeńsku i sprawiedliwie); Leszek Kazimierzowicz Biały (od tak jasnych, aż białych włosów); Władysław Mieszkowicz Laskonogi (bo miał nogi cienkie niby laski i długie); Henryk I

Brodaty (ze Śląska — nazwany od brody długiej, gdy inni bród nie nosili, tylko wąsy — lub gołowąsi) i Henryk II Pobożny, jego syn — który zginął w bitwie pod Lignicą...

Na ziemi polskiej, leśnej i polnej, podzielonej granicami księstw — pojawiały się sprawy jakieś, o których mało kto co wiedział. — W Inflantach, pod bokiem, umieścił się zakon niemiecki kawalerów mieczowych, w białych płaszczach z czerwonymi krzyżami. Na ziemię dokoła Chełma pomorskiego i Nieszawy sprowadził się drugi zakon niemiecki, w białych płaszczach z czarnymi krzyżami; nazwano ich od krzyży — krzyżakami (po wsiach). Potem te oba zakony niemieckie połączyły się z sobą w jedno, w wielką niemiecką w Polsce siłę wojenną. A już ze wschodu szedł daleki Wschód — niezliczone rody tatarskie Batuchana, palące Ruś i niszczące, niewolące wielkie ruskie ziemie.

A przez ten czas na świecie, gdy Polska była podzielona na księstwa między synów i wnuków, Krzywoustowiczów, coraz nowych linii Piastowiczów, — wtedy na świecie, w tym wieku — była i schizma papieska, i uniwersytet w Paryżu założony, i coraz nowe wyprawy krzyżowe, ruszające do Ziemi świętej i tam czyniące wojnę religijną, borykając się z saracenami, i Jan Bez Ziemi angielski, i inkwizycja we Francji, i inkwizycja w cesarstwie rzymsko-niemieckim, i dziecięca wyprawa krzyżowa, i Ruś była pod tatarskim jarzmem; — w czasach drobnych ksiąstewek polskich.

W tych to czasach, gdy żył św. Franciszek z Assyżu i zakładał swój zakon franciszkański, gdy powstał biały zakon dominikanów, gdy śpiewano o Tristanie i Izoldzie złotowłosej, o złocie Renu w pieśni Nibelungów germańskich, gdy w roku klęski książąt ruskich nad Kałką, rozbitych przez mongołów Temudżyna, urodził się św. Tomasz z Akwinu, na dwa lata przed śmiercią św. Franciszka z Assyżu — wtedy gdy odzyskano w szóstej wyprawie krzyżowej Jerozolimę, Nazaret i Sydon... zaczynały się najazdy tatarskie Batuchana na Ruś Halicką — Mendog był księciem litewskim — Moskwa weszła pod jarzmo Tatarów; w rok potem Tatarzy byli w Polsce — palili Kraków (po nich został konik zwierzyniecki i hejnał grany i urwany, i niedokończony krakowski...) — weszli wtedy na Śląsk.

Lignica.

Lignica w wiosennych stała lasach i borach. — Książę Henryk II Pobożny uszedł z Krakowa (on był wielkim księciem

krakowskim i polskim); Henryk — w zamku lignickim — otoczony polskimi wojskami i wojskami niemieckich zakonów — oczekiwał rozpaczliwej bitwy. Nieruchomo siedział w kaplicy, w ławkach — zimno było w kaplicy zamkowej — paliły się lampy wotywny w oliwie, czerwonym światłem — migotały cienie. Obok niego klęczały jego matka — św. Jadwiga, bardzo wysoka w czarnej sukni, i żona w czarnej sukni — padało na nie światło wieczornego słońca, czerwone.

Tatarzy szli zagonami, kawalerią, półkolami, na małych, kudłatych, zwinnych koniach — obóz leżał opodal w namiotach, w związanych wozach — z murów zamku lignickiego wyraźnie było widać mrowisko to — a nad nim buńczuki z końskich ogonów, zatknięte drzewcami w ziemię.

— Wielkie siły — mówili Pobożnemu.

— Bóg najsilniejszy — odrzekł, wstając przyjąwszy komunię i przypasując długi niemiecki miecz. Odbył spowiedź swą po niemiecku (tak tylko mówił), wysłuchał nauki księżej po łacinie (tak tylko wierzył) — i wyszedł z kościoła; podano mu konia — stał na czele polskiego wojska, ten polski książę Piastowicz ziemczony, bohaterski. Tatarów ilość była nieprzeliczona — obrona Lignicy była marszem na śmierć i na przepaść.

Na pobojuwisku — matka i żona szukały syna i męża, księcia Henryka Pobożnego — nie można go było odnaleźć — trupy miały poucinane głowy — nareszcie znalazły matka i żona — Henryka — rozpoznały go po nogach (rozzuwać kazały trupów) — poznały go — Pobożny miał szósty palec u nogi — leżał na ziemi bez głowy, z szóstym palcem u nogi nienaruszonym — w kałuży błota i krwi i końskiego łajna, świeżego jeszcze.

To było po bitwie. — A przed końcem bitwy, kiedy wojska za murami padały a reszta cofała się w mury zamku Lignicy — kiedy już nie wracał książę Henryk — i kiedy duszę jego Bogu polecano — objęła dowództwo zamku św. Jadwiga, jego matka. Zamku nie mogli zdobyć Tatarzy, na mury nie mieli dość silnej broni taranów — kamienny zamek Lignica powstrzymał ich marsz i obrócił ich w granice węgierskie. — Wojska Batuchana, spaliwszy, zgwałciwszy cały kraj południowy i zachodni Polski — wycofały się do Węgier — a stamtąd, po śmierci swego wodza, spieszyły z powrotem na Wołgę, do swej ordy.

Szły lata za dziesiątkami lat, przewalał się tajemniczy wiek

XIII-ty. Średniowiecze, w zakonnych habitach, konno po rycersku, w głodzie, chłodzie, w zarazach i śmierci, w rozbojach i gwałtach po drogach — w chowaniu się do puszczy — w zdziżeniu świata — w modlitwie.

Ludzie przenieśli się do puszczy, mieszkali na drzewach, udawali ptaków głodnych i chłodnych — uciekali przed Tata-rami, przed rozbojem, przed wojuną i ogniem.

Szumiała nad nimi znów puszcza, jak było dawniej, jak dawniej.

— Co jeść? — korzonki, liście... Co gryźć — kość smoktać — siebie samego jeść — jeść jeden drugiego — zreć dzieci młode, smaczne mięsko...

Bydło zabrane, wyprowadzone przez Tatarów, wyjedzone przez swoje i sprzymierzone wojska Niemców. — Studnie zatrute — skąd złapać wodę — ze źródła leśnego, z górskiego potoku. — Na świecie jest źle i dużo dzieje się cudów.

Chodzą po ziemi święci i rozbójnicy.

Św. Kinga nie jadła, nie piła, w zamku krakowskim żyła — nie myła się, nie umywała, tylko biednym brudne nogi umywała — nosiła pod suknią gryzące włosienice — jej ciało było we wrzodach i w ranach — zrywała bandażę, żeby ciekła krew — mężowi — księciu krakowskiemu Bolesławowi Podykowi (Wstydliwemu) ani razu nie pofolgowała — panną żyła — panną zaliczona do świętych.

Cuda były przy podniesieniu — za jej czasów i Wstydliwego — przy podniesieniu kości biskupa Stanisława, św. Stanisława — w srebrnej trumnie na Skałce. Cuda się działy — orły latały — kruki krakały — kości się zrastały — ręce święte z trumny błogosławiły nieszczęśliwy kraj.

Rzuciła św. Kinga pierścień do kopalni soli na Węgrzech, skąd była rodem księżniczka — a znaleźli ten pierścień w Polsce — w Wieliczce i odkryła się Polsce sól.

I innych cudów świętych wiele.

To wszystko było za czasów, kiedy żył we Włoszech Dante Alighieri, poeta — który o tym XIII-tym wieku pisał swoją „Boską Komedję”. To się działo — gdy Marco Polo pojechał pierwszy raz wołami do Azji — pierwszy podróżnik Europy. Nauczał wtedy też św. Tomasz z Akwinu, chodził po świecie mnichem i pisał swoje książki.

(To wszystko było wtedy — kiedy Krzywousty, podzieliwszy kraj polski między swe potomstwo — stworzył w historii Polski

dział — Polska w podziałach książęcych, piastowskich, nie Polska — a Polsk wiele, wiele).

Przychodził w tym wieku czas zbierania ziemi polskiej. Był taki jeden uparty, co ją już w myślach całą zbierał — jeszcze nie mogąc jej zbierać inaczej. Był on małego wzrostu — zwano go karłem. Na Kujawach miał swoje księstwo — na Kujawach zaczęła się Polska. To piorunowy, błyskawicowy kraj — jak kujawiak, jak taniec kujawski z iskrami podków u butów.

Byli nad Polską różni panowie tego czasu — po Wstydlwym był Leszek Czarny (od czarnych włosów — ten wyciął w pień plemię Jadźwingów, którzy zamieszkivali Podlasie — podlaskie piaski), był Henryk Probus (jeden rok), przyszedł król czeski Wacław II i stał się księciem krakowskim. Zwyciężył króla polskiego (który żył królem kilka zaledwie miesięcy) — Przemysława — zamordowali go na Pomorzu pomorscy książęta wraz z Niemcami — zwycięstwo miał czeski Wacław.

Zorze wschodziły w grotach ojcowskich — w górach, w pieczarach Łokietka, księcia kujawskiego, zwanego karłem. Mały książę miał silne rysy twarzy, chodził w góralskim szerokim pasie i w guni wyszywanej. Schłopiał, a chłopci przy nim królewili. Pędzili swoje stada owiec obok jego pieczary i stawali oglądać poniewierkę swojego księcia. — Potem znikł.

Potem wędrował po świecie. Był w Rzymie u samego papieża — pocałował papieża w pantofel — i rozmawiał z nim ojciec święty, który rozdawał korony, jak św. Mikołaj prezenty. — Rzym był późnośredniowieczny — po mostach jego chodziły sztylety — po Florencji chodził wtedy Dante, zatrzymywał się na mostach westchnień... Co robił Dante — co robił Władysław Łokietek.

Wracał Łokietek do kraju. Przebrany. W tajemnicach cały. Kto on był? — nikt jeszcze — niezłomny...

W pieczarach ojcowskich zatrzymał się. Siadł na kamieniu. Odpoczął. Jego ludzie dla niego przez ten czas już pracowali. Robotą podziemną, spiskową. Wyrastały mu spod ziemi siły uzbrojone.

W pieczarach — jak dziki zwierz — myślał — jak człowiek z epoki kamiennej — pomyślimy.

Skrzesał ogień na hubkę. Zapalił suchy chróst w ojcowskiej grocie. Dym ścielił się po pieczarze. W dziwny, dziwaczny wzór.

Splunął w kułak i wytarł dłoń o kozuch. Na ziemię świętą nigdy nie śmiał pluć. — Ileż ta ziemia przeżyła, ile żyźniejsza

niż była. Tyle krwi, tyle łez, tyle niewoli i krwawej i łzawej, i zaplutej.

Wstał z kamienia — wyszedł przed grotę — noc nastawała — była jakoś wiosna, nie czuł jej, mroźna była — mroziła wczesnokwiaty i wczesnotrawy. Wyjął z kieszeni kawałek chleba i ostry góralski nożyk — uciął kromkę i jadł zdrowymi, silnymi, ostrymi zębami. Mróz zaczynał się pod wieczór.

Pod Kraków zbierały się wojska księcia, który teraz suchy chleb przeżuwał. Do północy miał czas jeszcze zdążyć. Tam czekali go. A jeśli nie przyjedzie?

Oblężenie Krakowa. Wzięcie Krakowa przez Łokietka, każć miasta krakowskiego pod mieczem — za opór przeciwko nowym panom. Zbyt dużo dni trwało to oblężenie — niemiecki, zniemczyły Kraków.

Łokietek już siedział na zamku wawelskim. Jego wojska i ludzie zaprowadzali wojenny porządek w ziemiach.

Wielki książę krakowski koronował się w katedrze na Wawelu. Już był królem. Król Władysław Łokietek, Piast.

Król wyszedł na ganek zamku krakowskiego — ganek i zamek były drewniane — chwiały się drzewa w wiosennym pachnącym podmuchu wiatru — wiosna zalatywała kwiatami z Krakowa wonna i słodka — i patrzył Łokietek na Wisłę u stóp — i przypomniał mu się czemuś Tybr — i zdawało się małorostemu królowi — już teraz w siłę wrosłemu, że jest jakby jaki cesarz rzymski — tak stojący nad rzeką u stóp.

I położył się na ławce w tę noc wiosenną, na ganku i sen mu nie przychodził. Czas płynął, płynęła noc. Twarz króla, leżącego na ganku bezsennie, z zamkniętymi oczami, z myślami w guzach sklepionego czoła, podobna była do rzeźby, jaką widać teraz na jego trumnie w katedrze wawelskiej — choć wtedy był żywy, nie z kamienia — i czuł życie w sobie płynące.

Piast przedostatni, będzie jeszcze ostatni.

Piast przedostatni, będzie jeszcze ostatni.

Jest to rozdział o dwóch ostatnich Piastach, królach. Od rewolucji piastowskiej za Popiela do tego czasu — ileż upływa w wiekach czasu.

Na Wawelu, nad Polską, był już jeden pan — przyłączał dawne ziemie, zbierał polską ziemię (Łokietek) — po salach drewnianego zamku chodził — mały — a ciężki miał krok okutych butów... już całkiem Polska przeszła od stylu romańskiego do gotyckiego, — choć wszystko jeszcze drewniane, w drewnianych zamkach lub w chałupach wsiowych — lecz styl ten już jest na ziemi wieku — przełom. — Niemiecki Kraków polszczyje, — skrzypią ciężkie bramy krakowskie, na domach drewniane posąжки chrześcijańskich patronów — po ulicach chodzą bezdomne psy, ciekną zlewy rówczakami, śmierdzą — a nad tym płynie słońce ożywiające. Po nocy chodzą stróże nocni z halabardami — krzyczeli: „*wer — da*” — krzyczą teraz: „*kto?*”. — Nad Wisłą wschodzi słońce nowe, widać z okien zamku, jak łamie się tęczę pod nim fala wiślana — fala Wandy?

Na placu głównym Krakowa — targ kolorowy. Stragany pod drewnianymi i płóciennymi budami. Dnie są tu hałaśliwe, noce ciche — w księżycu srebrne.

Jakże dziwne się czasem zdają dawnemu księciu kujawskiemu, potem bezdomnemu człowiekowi, jak ten krakowski pies bezdomny — te dnie i noce dzisiejsze, z tronu. Jakaż ta młodość była stargana — nie było jej właściwie — sama nagonka i robota spod ziemi, z nieczego. A najlepsze wspomnienia wiążą się jednak z nią, jak z młodością. Bo cóż jest tak radosne jak młodość, zwłaszcza gdy czule ją wspomnieć — a zawsze się nad

nią rozczuli ten, komu włosy już posrebrza choćby lekko czas.

W zamku wilgotno — na kominie czerwony ogień — siedzi mały Łokietek, już w dostałych latach i grzebie w popiele żelaznym prętem. Księżyc zagląda w okno.

Temu, kto zawziął się zwyciężyć i zwyciężył, najdroższe są wspomnienia tamtego zawzięcia się, a nie owego już zwycięstwa. Człowiek walczy ze światem, ale z sobą więcej — taki człowiek, co zwyciężać musi.

Skrzypią schody, jak duchy.

Łokietek sam, sam przesiaduje — chce takich godzin nocnych samotności — trudno dostępny bywa — choć we dnie wszyscy go widzą. Tylko nocą... Już niełatwo dostać się do zamku, jak dawniej do pieczar w Ojcowie. Pilnują wielkiego (choć wzrostem karłowatego) króla i dopuszczają do niego nowi możni jego ludzie. A on cały właśnie w tych wspomnieniach, do których mu życiem nie wrócić. Może rad by zobaczył jaką nieumytą twarz góralską — lecz nie zobaczy — taki los tych, co stoją na górze. I wytwarza się pasmo przepaści — nie ma złości — rośnie pogoda — z królewskiego konia lub z karety — tak łagodnie wygląda tłum ludzi — tak ukochana ta ziemia jak własność. Ale to nie to... To nie to wszystko...

Przychodzi czasem młody syn. Ten jest piękny. Ten ma postawę. W czymże się w ojca wdał — myśli wielki król Krakowa i Polski. — Syn nazywa się Kaźko, Kazimierz — ma czarne długie sploty włosów, zawsze oczy sino podkrążone, krew odpłynęła z twarzy — noce nieprzespane, wymiłowane. Rozsiewa swe bujne nasienie męskie po wszystkich, jakie mu trafia się i jakie mu podbiorą — kobietach, dziewczynach i dziewczkach. A piękny jest jak obraz bizantyński świętego jakiego, czy uczonego w piśmie apostoła.

— To nie to. To wszystko nie to — myśli ojciec król. — Gdzież zatrzymuje się myśl, a zaczyna się dzieć działanie? Czy kiedy pisałem na ścianach groty (ojcowskiej) w skale swoje litery królewskie — i układałem moje własne państwo — byłem już tym, czym jestem? Czy dopiero teraz? A są przecie na świecie poeci, którzy tylko tym żyją i tym nie umierają, że piszą swe światy duszy — i to jest ich jedno działanie. Czyż każdy jest najprzód poeta — a potem dopiero człowiek?

Do drzwi zastukał ktoś.

To syn.

I tak sobie mówili:

Mówił ojciec Piastowicz:

— To ty? Jeszcze nie śpisz?

Mówił syn Piastowicz, młodziutki, wąs czarny mu ledwo sypał się nad pięknymi czerwonymi zmysłowymi ustami:

— I ty, ojcze, jeszcze nie śpisz.

Mówił ojciec:

— Pracuję. Ja myślę.

Rzekł syn:

— Nie myślisz, a marzysz. Ty tak marzysz, a ja inaczej. Gdy byłeś taki jak ja młody, na pewno podobnie marzyłeś — nie sam — a po nocach...

Powiedział ojciec, z uśmiechem:

— A może nie miałem na to czasu. Gdzie bowiem? Jakaś dziewczka przygodna — coś tam, na tułaczce.

Syn uśmiechnął się:

— Marzenia są zawsze jednakie. Czy w łożnicy, czy pod gołym niebem, z księżniczką czy chłopianką, czy z dziewczką brudną — jeden sen i jedno przebudzenie.

Mówił ojciec:

— Ty masz, czego nie miałem, ale nie masz tego, co ja miałem. Nie wiesz, czym są w życiu porównania, czym jest próba, czym upadek wielki — żeby czuć uczucie podnoszenia się jakby nad ziemią. Jam to miał, i tym do śmierci pewno będę ożywiony. Mnie cieszy to co jest już — a tobie wydaje się to wszystko jeszcze niczym. I tak pewno powinno być.

Odrzekł syn:

— Pewno, że tak. Nie mogę zatrzymywać się na schodzie jednym, gdy chcę przestąpić drugi. Żeby nie było tego pierwszego, jakże by wejść na ten drugi?

I długo jeszcze ze sobą rozmawiali — o wszystkim i niczym.

Kobiety piękne, te panie, co były ozdobą zamków królewskich i książęcych w świecie — także i w Krakowie miały natchnione twarze podług obrazów współczesnego włoskiego malarza Giotto.

W Polsce zaczęła się wojna z zakonem niemieckim krzyżaków, rycerzy w białych płaszczach z czarnymi naszytymi suknam krzyżami. Kobiety płakały. Wojna ciągnęła się aż siedem lat. Za siedem lat jak będzie wyglądała twarzyczka natchniona à la Giotto?

Krzyżacy — już dawno rosła ich siła w Polsce — i wyrosła na wielką siłę. Już Pomorze zabrali całe — ujście rzek polskich,

oddech na morze, porty — w ich znajdowały się rękach. Żelazni rycerze, w zbrojach, które całego człowieka kryją — po wierzchu małe z czarnym krzyżem płaszczce... Oto gdzieś — kto widział — w muzeach albo w zamkach starych pod ścianami, na drewnianych manekinach zbroje żelazne średniowiecza — oto gdyby w ich środku byli żywi ludzie i poruszali się — i ożyło żelazo, niezwyciężone dla strzał, tylko gnące się pod mieczem z lekka — takie było wojsko krzyżackie.

Ciężki ponury piękny kamienny zamek Malborg (nad Noga tem) był ich stolicą — w ogrodach cały, w kwiatach — zimny, woda ciemna u jego stóp. Tam mieszkał wielki mistrz zakonu teutońskiego. Podlegał zakon rzymskiemu papieżowi — a papież tegoż jeszcze roku przenieśli się z Rzymu na wygnanie do Francji, do Awinionu; nad zakonem niemieckim czuwał cesarz niemiecki — choć o tym wciąż było głucho, a nawet powszechnie zaprzeczano temu.

Wojna z krzyżakami trwała.

W wysokich kamiennych salach Malborga — zakonna i zbrojna cisza. Po kamiennych posadzkach ślizgają się żelazne nogi uzbrojonych rycerzy. Chłód bije ze ścian i surowość gotycka, piękna, zimna. Naokoło litewska zielona przyroda pomorska — w środku kamień potężny zamku. Wielki mistrz ze skrzyżowanymi na piersi rękami idzie aleją ogrodową, w puszystej tonącej zieleni, w kapturze białym na głowie, nasuniętym na oczy. Patrzą na niego liczne ludzkie oczy z zamku i wiedzą, — teraz wielki mistrz odmawia ranne pacierze, po wysłuchaniu mszy.

— Boże! — modli się swoimi słowami i niemieckim duchem wielki mistrz. — W Ziemi świętej, przysięgaliśmy Tobie — spełniać Twoje prawo, Twój zakon, który się sprowadza do ulepszania życia na ziemi. W pogańskiej tu ziemi, którą wzięliśmy przez siebie dla Ciebie, znajdujemy wszystko, czego potrzeba do podnoszenia ciała na coraz wyższe szczeble. Tylko dusza się zagubia w tym egzotycznym bogactwie, nie mniejszym od Ziemi świętej...

Do wielkiego mistrza podszedł rosty brat zakonny, rycerz przy mieczu, i podał mu zapieczętowany list papieru.

Na wieczór wielki mistrz wyjechał pod wieś Płowce. Stał długo nieruchomo na koniu, na wzgórzu pod lasem, z ręką przyłożoną do czoła.

Wieś Płowce leżała w dole — cała w dymach wieśniaczych chat. Za Płowcami, z daleka, podchodziły siły polskie, dowodzone przez samego króla Władysława Łokietka Piastowicza.

Była bitwa na drugi dzień, polsko-krzyżacka. Wieś Płowce

— była już polem — nie w dymach a w popiele leżały wieśniacze chaty — a wielki mistrz, zwyciężony, musiał uchodzić z swoim wojskiem. Leżały pobojowiska — płonęły pożary — z daleka szumiało morze, o którego wodnisty żywioł rozbijały się życia ludzkie i kruszyła się żelazna broń. Morze szumiało — Bałtyckie.

Wojna o morze — urywała się i znowu odżywała — nie przerywała się wojna, tylko miesiącami odlegały od siebie krwawe potyczki i kładące pokotem ludzi, bitwy polne.

Król polski przebywał wciąż w obozie. Pogoda psuła się — nastawały zimne, wilgotne noce jesienne. Świat wyglądał nocami martwo — w niebieskim oświeceniu księżyca i gwiazd — lub w zamroczu chmur kamiennych, posągowych. Król polski już czuł swoje lata na szerokich plecach i nie mógł po nocach spać, choć zażywał na sen zioła, warzone przez miejscowe wiejskie zaklinaczkę ziół i wymawiaczkę zaklinań.

W bezsenności kazał sprowadzać do siebie te istoty, z obłądnymi oczami i w transach, i słuchał ich. Mówiły mu leśne czarownice pomorskie:

— Nie śpisz, najjaśniejszy?

— Nie śpię, moja babo...

Czarownica zapalała w namiocie, na trójnóżku żelaznym zioła, wyjęte z płóciennego woreczka. Siadała w kucki na ziemi — włosy jej siwe, stara pomarszczona, jak kora drzewna, twarz, oczy jak węgle żarzące się, — pochylała się nad ogniem i nad dymem. Czarownica poczyną mruczeć, księżyc bladej zajął do namiotu — król leży na polowym tapczanie, z siodłem pod głową, oparty na rękę.

Baba czarami mówiła:

— Bywało chodzisz po świecie, najjaśniejszy, bywało chodzisz i dumasz. Ludzie myślą — o czym on дума! A ty dumasz o świecie — zaświecie. Oto trawka zerwana o północy, kiedy oko księżyca nie widziało, w lesie, na górze gołej, na której rodzą się tylko kamienie. Patrz, najjaśniejszy, ta trawka...

Król patrzył na suche trawy źdźbło w pomarszczonych chudych rękach czarownicy. Baba mówiła, w szept:

— Trawinka mała. A siła wielka w niej. Żyła, umarła, zeszcła się — a sama leczy drugich. Pogryźć ją, a sen przychodzi luby. Na gołej górze, w lesie, koło morza, zrywałam ją, kiedy oko księżyca nie widziało. Pogryź ją, pozwij, sen przyjdzie...

Król żuł zaczarowaną trawkę nadmorską, jedno źdźbło. Z tego źdźbła, z jednego źdźbła, rodził się pierwszy sen po tylu

w obozie bezsennych nocach. A baba starucha mowę do niego kołysała:

— Trawka, trawinka mała rosła nad morzem sinym, z ziarenka się wzięła, które posiał wiatr, wiatr wziął się z drugiego wiatra, swego ojca, ten wiatr miał jeszcze wiatra — swego ojca, były dziady, pradziady wiatrów — i babki, prababki ziaren traw; i szło tak do góry, w czas, kiedy jeszcze nie było na świecie ani ziarna trawy ni wiatru tchnienia.

Króla starego męczyła gorączka. Już i zioła mu nie pomagały. Umarł — w pewną noc. I wojna się urwała na niczym. Poszła wojna z krzyżakami — w procesy kanoniczne, w sądy duchowne — w papiery. Następował na tron Łokietka jego syn, Kazimierz Władysławowicz, Piast ostatni.

Jego to kroki słyszać teraz w zamku wawelskim. Jego to piękna, młoda czarna broda odbija się w zwierciadle, zawieszonym w wielkiej sali przyjęć na zamku. Król młody, Kazimierz, ma zwyczaj stawać pod piecem napalonym, kiedy na świecie chłody poszły — i grzać swoje młode a już zzimniałe piękne ciało.

Są to czasy życia Boccaccia i jego „Decamerona” — pod niebem włoskim. Pod niebem polskim — zimy srogie.

Zaczynało się Kazimierzowe panowanie.

Załatwiano sprawy krzyżackie, czyniono targi, ustępstwa, wymieniano się grzecznościami, żeby tylko zaprzestać na razie bitw i wydatków wojennych — żeby móc trochę odetchnąć i набrać sił. Śląsk odchodził od Polski — Kazimierz płacił nim porę pokoju, zacisza.

Halicka Ruś — już była teraz z Polską. Na Litwie umarł Giedymin książę, ojciec Aldony, żony króla polskiego Kazimierza. Na Litwie zaczęli z sobą walczyć Olgierd i Kiejstut, książęta. Księciem Litwy zostaje Olgierd.

Kazimierz król — król rosnących w całej Polsce murów.

O drewnianej Polsce mówić — zawsze była drewniana — ziemia lasów, chociaż imię swe miała od pól.

Mury wstawały teraz w kraju. Murami pokrywała się ziemia polska, zamkowymi i kościelnymi, domami miejskich patrycjuszów, składami — śpichlerzami państwowej gospodarki zbożowej.

Budowanie się domowe kraju polskiego za Kazimierza, ostatniego Piastowicza — w tle epoki gotyckiej odbywa się, w historii świata późnośredniowiecznej, dochodzącej do szczytu — stanowiącej i cechowej.

Kazimierz Wielki stawia w Polsce dachy i mury — na tle historycznym Europy — gdy żyje Cola Rienzi w Rzymie, wielki patrycjusz, dyktator i mecenas sztuk pięknych. W Niemczech panuje czarna śmierć. Związek Hanzy — niemieckich portów morskich trzęsie handlem i wojnami Europy — a postacie „Decameronu” Boccaccia chodzą żywe w swoich jedwabiach, w swej jurności i weselu — żyjące jak na wulkanie — gdy szaleje zaraza morowa we Florencji — za blankami gościnnymi zamku księżny mecenaski, goszczącej towarzystwo urodziwych decameronistów.

Kazimierz (wtedy to) stawia cegły na ceglach w Polsce, dzień i noc narastają one w górę, nakrywają się od deszczu i śniegu — dachami ciszy, jedzenia i gospodarstwa... rosną mury.

Nad Polską płynie księżyc, widząc jak staje się ona „z drewnianej murowaną”. Widzi księżyc tych ludzi, którzy ją robią. Nad potęgą zbiorowisk ludzkich zastanawia się — choć obojętny — księżyc. Dziwne mrowisko na ziemi. Wyrastają na ziemi światy zbudowane przez człowieka, jakby coś od natury odrębnego. Jakby jedno drugiemu zaprzeczało.

Kościół strzelał wieżami gotyckimi, wydłużały się strzelistymi oknami, o kolorowych taflach szyb, ciemne tęcze tworzyły się w kościołach tych, po ścianach i po posadzkach i po twarzach, po postaciach zamodlonych, klęczących, śpiewających, płaczących ludzi.

Jęczą lasy pod siekierami, pod młotami kruszą się kamienie, wstaje nowa do życia Polska, gotycko-średniowieczna, kamieniejąca.

W zielonych lasach Wiślicy, gdzie stoi kamienny posąg psa i kobiety, bożka — pisany był statut wiślicki. Polska kazimierzowska stawiała się krajem jasnego stawiania rzeczy, upartego i wytrwałego szukania formy życia ludziom, w osobie człowieka i w jego wspólnotcie. Stawała się w Europie jasnym punktem, to znów przystanią tonących, to znów polem żywym, wartym trudu.

Nad nowymi, świeżymi budynkami Sukiennic, dopiero co zmurowanych, płynie księżyc. Na wieży Mariackiej gra, w gotyckim ganku, trębacz hejnał północy. I bije zegar gotycki dwaście nocnych uderzeń. I cisza.

Z latarniami chodzą nocni stróże po placu szerokim Mariackim. Na ziemi zimowe błoto z śniegiem.

Rynek wstaje.

Roi się rynek kwadratowy i roją się błotne ulice Krakowa — od średniowiecznych tłumów. Kolorowe po targowisku cho-

dzą ubrania, na żywych ludziach, z których każdy ma swą troskę i swą radość, swoje ciało i duszę i swoje, własne, zamyślenia, winne i niewinne, świadome i nieświadome, dobre i złe. Na straganach kolorowy towar życia. Hałas życia codziennego w średniowieczu. Ciasne gotyckie ciemne uliczki, wysokie ceglane domy. Średniowiecze.

Na zamku wawelskim — już coraz więcej kamieni. Mury go otoczyły. Kazimierz Wielki, król, rozsiewa kamienie po Polsce, jak nasiona — tylko własnego nasienia rodu nie rozsiewa. — Dziewczęta od niego nie rodzą, choć próbował zapładniać je, choć kochały go tak i kochają jakby króla Salomona z Pieśni nad pieśniami żydowskiej.

Król czytuje tę „pieśń nad pieśniami” — a wśród dziewczyn i pań niezliczonych — zajęła mu serce Sulamita polska, Żydówka spod Lublina, na imię ma Estera — rudowłosa.

Do niej pasują wszystkie wersety pieśni Salomonowej — i te o piersiach jak sarnie bliźnięta, i te o tęsknocie za swoim czarnobrodym ukochanym, i te o tajemnicach rozkoszy, jakie daje cisza nocy i we dwoje samotność kochanków — gdy tylko ich biała skóra ciał rozświeca ciemności nocy i rozpaczy — w jęku miłości i śmierci.

A że nie może mieć z żon swoich syna (rozproszonych, nieprawych było w młodości rozrzutnej wielu może — chce wierzyć w to wielki król) — więc coraz smutniejsza jego myśl:

— I nikt już ze mnie, z mego ciała nie urodzi się; więc na mnie koniec rodziny mojej?

Rękoma zasłoniwszy oczy, siedział nad wielką księgą statutu swego wiślickiego, i czytał w swojej głowie nie jego paragrafy napisane, lecz te nienapisane paragrafy uczuć, w jakich zawiera się tęsknota męska za swą przyszłą krwią i za swym, mającym zginąć bez ciągu dalszego, widomym ciałem:

— Żyję. Jeszcze żyję. Umrę. Kiedy umrę, pochowają mnie. Zgniję, stanę się potem proch; potem mnie wiatr rozwieje. Składam się z kawałeczków materii, które się mnożą — z obiegu krwi, która żywi. Chcieć z siebie dać je i nie móc. Wiedzieć o swojej śmierci, do ostatniego włókna ciała, do ostatniej odrobiny krwi — jeszcze za życia. O, co za rozpacz niepokieszona...

To myśli człowiek sam z sobą na sam; inaczej myśli ten, kto swym ciałem dzieli się z innymi — jak średniowieczny monarcha. Jest w tym coś religijnego, coś niby z ofiary krwi i ciała,

odbywanej przy ofiarowaniu podczas mszy — to średniowiecznie, gotycko i kościelnie.

W Budzie stanął układ pomiędzy Kazimierzem Wielkim polskim a Ludwikiem węgierskim z domu Anjou — o następstwo tronu w Polsce. Śmierć bezpotomna Kazimierza — rozstrzygała o losach Polski.

To wszystko sprawy królewskie i człowiecze. A Polska była potęgą. Już stała się nią — stwardniała, zmurowana łańcuchami murów i baszt — zamkami, barbakanami, strzelnicami, klasztorami, kościołami, śpichlerzami, domami — polskim gotykiem. Bogata w zboże, w las, w bydło. Handel wiodła obszerny ze światem. Cechowa, stanowa, średniowieczna Polska Kazimierza Wielkiego, ostatniego z Piastów na tronie polskim królewskim.

Był zjazd monarchów Europy w Krakowie. U patrycjusza krakowskiego Wierzyńka, odbywały się uczty monarchów. Mieszkaństwo krakowskie — kwiatem — mówili Kazimierzowi monarchowie, którzy zjechali na konferencję międzynarodową w sprawie wyspy Cypr — do Polski, do Krakowa.

Święcony był kamień węgielny akademii krakowskiej, wydziału prawnego zarodek — drugi uniwersytet w Europie Środkowej i Wschodniej — w Polsce — w Krakowie, w szesnaście lat po pierwszym w Pradze, na rok przed uniwersytetem w Wiedniu.

Średniowieczny gotycki świat dojrzywał w Polsce. Słońce grzało nad Krakowem silnie. Król z pochmurnym czołem chodził po świecie. Polował w puszczy Przedborskiej właśnie. Miał tam swoją drewnianą leśniczówkę. Słaby już był.

Polowanie szło na jelenie.

W leśniczówce czekała młoda dziewczyna.

Koń królowi potknął się w puszczy, zaczepił się kopytami o konar dębu. Król spadł z konia.

Umierał w bólach, przełamała się mu w nodze kość, — umierał.

Powiedział ostatnie słowo o synu, którego chciał mieć.

I dzień wstawał słoneczny na pogrzeb w kwiatkach Kazimierza Wielkiego — rapsodyczny.

I dzień wstawał słoneczny na pogrzeb w kwiatach Kazimierza Wielkiego — rapsodyczny.

Nie stało ostatniego Piasta, którego chowano w Krakowie w kadzidlany, rozśpiewany i rozdzwoniony — wśród kwiatów, wśród wieńców, wśród dziewic ludowych w bieli — przepychu. Upalny to był dzień, jak gdyby dzień letni, jesieni późnej, listopada.

Tron polski w Krakowie obejmował Ludwik Anjou, król węgierski, podług umowy zawartej z Kazimierzem, — siostrzeniec Kazimierza Wielkiego.

Z czarną bródką węgierski Francuz wszedł do zamku krakowskiego. Otaczały go już kazimierzowskie, wawelskie mury Piastów. Siadł na wysokim drewnianym polskim tronie.

Wtedy to bizantyzm przenikał na zachód Polski — w swej najcieńszej, najpiękniejszej postaci. Ruś Halicka była w ręku księcia Władysława Opolczyka śląskiego — a Władysław Opolczyk sprowadził sienieński precudowny — cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej — Częstochowa stawiała klasztorem, wtedy Jasna Góra — góra, na której stawiała twierdzę, zamek — klasztor białych braci paulinów.

Upały panowały w Krakowie letnie.

Upalnie było na południowym stoku Karpat — rosły tam bujne winnice — w Koszycach — gdzie stawały, podpisane ręką króla Ludwika, węgiersko-polskiego i rękami możnych panów małopolskich — pakta koszyckie. Mech porastał, aksamitny, ciemno-zielony, kamienie, na których spotkały się strony paktujące — o królewską córę węgierską na tron polski.

Wielki książę litewski Olgierd zmarł. Na tron wielkksiążęcy

Litwy (w Wilnie) wstąpił syn Olgierda, młody, o dzikiej tępej twarzy Jagiełło.

— Wielki książę, wielki książę — bili mu czołem bojarzy litewscy i ruscy, gdy przyjmował ich na zamku (w Wilnie) ubrany w czerwony płaszcz podbity futrem z sobolów i w wysoką wielkokiążącą bizantyńską, ruską czapkę.

Między księstwem litewsko-ruskim a księstwem moskiewsko-ruskim zaczynała się przyszła zjadła rywalizacja. Moskiewski wielki książę, Dymitr Doński pokonał chana nad Donem.

Rusi były dwie — litewska Ruś i moskiewska.

Wielkie księstwo litewsko-ruskie, które teraz Jagiełło obejmował, — pogańskie, dzikie, wojownicze państwo — zagrożone wciąż przez zakony niemieckie, krzyżackie w Prusach i w Inflantach. Krzyże z dwóch stron cisną puszczański, żmudzko-litewsko-ruski kraj młodego wielkiego księcia Jagiełły.

Obraz Litwy pogańskiej — puszcza — biali kapłani — żertwy. Gaje święte — wieczny płomień znicza na górze wileńskiej, znicz Perkuna, boga piorunów, oswojone w świętych gajach węże i jaszczurki — święte — żywione — boże gady — mlekiem.

Wielkie tajemnicze piękno nieprzejranych, nieprzeniknionych puszczy i ostępów.

— Władcyko mocny — mówią do młodego Jagiełły bojarzy litewsko-ruscy, padając przed nim na twarz. — Pomiłuj nas — nie kaźnij — daj łaskę...

Trockie jezioro w jesiennych liściach całe. Na wyspie — zamek drewniany Witolda Kiejstutowicza. Litewski bóg Słońce nad nim — wschodzi i zachodzi. Pasą się żubry dokoła stadami krowimi, pod opieką zubra byka. Pachnie trawa żubrówka jak alkohol.

Małopolscy możni panowie, wielmoże — obracają swój wzrok i słuch, w stronę wielkiego księstwa litewskiego. Umarł Ludwik węgiersko-polski król — tron polski przechodził na jedną z jego córek — odeszły dwie (jedna z nich umarła) — trzecia, najmłodsza przyjechała. Miała trzynaście lat. Nazywała się Hedvige d'Anjou — młodziutka królowna Jadwiga, węgierska krew w dziewczęcej wiotkiej postaci, o dwóch czarnych grubych warkoczach, w obcisłej średniowiecznej sukni, w wysokim kołpaczku na głowie. Była wiosną, — jesienią, na koniu — wjeżdżała w orszaku wielkim do Krakowa.

Gdzież była jej radość, jej młodość. Jesień szła młodej królowej — w Polsce druga. Czternastoletnia dziewczyna tęskniła

za swym kochanym, młodzieńcem takim — jakie były jej o nim marzenia (nazywał się Wilhelm Rakuski, książę Habsburg, piękny, rudowłosy, biały, wysmukły, rycerz i tancerz, z odwiniętą pysznie, zmysłową habsburską wargą; rudy meszek wąsów sypał mu się pod silnym nosem, a młodzieńcza pleć bladej twarzy była jakby owionęta miedziwym podmuchem ciemnozłotawym puchu, krótkiego zarostu zwierzęcego na całym mocnym ciele).

Przyjechał on do Krakowa — nie puścili go jednak na Wawel. Dopominał się o swoje prawa — zaślubiony był jeszcze dzieckiem z piękną młodziutką królowną — nie puszczali go panowie polscy — nie puszczali i jej do niego. W klasztorze ojców franciszkanów odbywały się ich rozpaczliwe schadзки, pod pozorem witania katolickiego Habsburga. Wykładała się na nie Jadwiga, z dworskimi swymi pannami — i tam w kryptach klasztornych płakała — kłoniąc głowę z ciężkimi swymi czarnymi warkoczami na jego męskie, młodzieńcze, bezsilne teraz ramię.

Polska chciała czego innego. Królowej — a nie kochanki. Ofiary — nie uczuć oddania się miłosnego. Wołała łyzy o kształcie białych lilii, niż pocałunki o kształcie różowych róż. Choć usta Jadwigi były jak młody pąk róży, ale miała na tarczy w herbie lilie francuskie d'Anjou — płakała, musiała więc płakać łzami w kształcie białych, podłużnych, zimnych a czystych lilii.

Pośpiesznie przyjechał dziki książę Jagiełło, litewsko-ruski, na zamek wawelski z swoich leśnych i jeziornych ziem, z swojego perkunowego Wilna — miasta litewskiego wilka, który przysnił się Giedyminowi. Już załatwione były formalności, poselstwa, układy i pakt y złączenia Litwy z Polską, inkorporacji ziem wielkiego księstwa litewsko-ruskiego do Polski.

Przybyły z dzikookim Jagiełłą jego przyboczne kosookie pułki konnicy, z wielkimi łukami tatarskimi, przerzuconymi przez plecy, w wysokich futrzanych kołpakach, z nożami długimi w butach, z krzywymi tatarskimi szablami u paska. — Przyjechali z Jagiełłą jego bracia, z Witoldem i Świdrygiełłą na czele. Książę Witold Kiejstutowicz miał ciemne marzące oczy, orli nos, wyniosłą postać i mądre wysokie czoło. Jagiełło miał głowę małą, rzadkie włosy, gwałtowne brwi, czarne, głęboko osadzone oczy, rzadki zarost na twarzy drobnej — oczy małe a biegające, nerwowe. Wyrażał się jak dziki ptak — okrzykami — jak ptak drapieżny, co nie może śpiewać, tylko krzyczy. Ale kochał tylko ptaki śpiewające.

O słowiku — na przykład — poprowadził swą pierwszą rozmowę z Jadwigą, starając się naśladować z niedźwiedzią litewszczyzną — galanterię niemieckiego trubadura. Mówił jednak

o słowiku z dziwnym żarem — i cichą tęsknotą — wtedy po raz pierwszy spojrzała nań Jadwiga z nieco mniejszą odrazą, niż dotąd. Tylko czuć go było skórą zwierzęcą, futrem, deszczem, koniem i mlekiem kobyli.

Odbył się ślub królowny polskiej Jadwigi z litewsko-ruskim wielkim księciem Jagiełłą. Ochrzczony Jagiełło nazwany był Władysławem. Po ślubie — po koronacji w katedrze: — Jagiełło pojechał z Jadwigą chrzcić Litwę, potem Jadwiga — objąć z wojskiem polskim pod swoje berło Ruś Czerwoną, zostając jeszcze pod Węgrami. Ustępowały przed polskim wojskiem Jadwigi węgierskie garnizony. — Jadwiga wjechała do Lwowa — Jagiełło gasił pogańskie znicze pod Wilnem — święty ogień boga Perkuna.

Była wiosna. Rozbijano pogańskie świątynie na Litwie i Żmudzi. Rąbano święte gaje dębów, zabijano butem i kijem święte jaszczurki i węże. — Podnosiły się na Litwie — krzyże katolickie. — Było już greckich krzyżów — nieco — w państwie litewsko-ruskim, w ruskiej części — Władysława króla Jagiełły.

Na południu wyrastała wtedy potęga turecka — padła Serbia, padła Bułgaria — od bitwy na Kosowym polu i od Bajazeta — Turcja weszła swą potęgą na Bałkany. Wtedy to zmarła królowa polska Jadwiga. Żyła żoną Jagiełły feralnie trzynaście lat. Tyle samo, co żyła dziewczyną. Tyle lat jej było trzeba być dziewczyną, ile zostało żyć królową — sobą a przecież nie sobą — posągiem królowej, marmurowej — o sercu żywym i oczach nie z tego świata już — tonących w miękkim aksamicie nocy, w łzach płakanych często do poduszki, — w modlitwach wśród żywej przyrody — długich, żarliwych, krzepiących. Po ogrodach wawelskich chodziła z koralowym w białych rękach różańcem, jadła koralowymi widelcami, i koralowe miała usta — które należały do ostrych zębów jakby wilczych Władysława Jagiełły i do jego rozmodlonych w nią, jakby psich oczu, posłusznych, choć czasem nieczłowiecznych.

W roku śmierci Jadwigi — poniósł klęskę nad Worsklą — w wojnie z Tatarami — książę Witold. Od tego czasu, od tej strasznej klęski — zmniejszył walkę swą z bratem Jagiełłą, choć nigdy jej nie zaprzestał — on, zdolniejszy i większy od brata — głowa królewiska, bez korony a w ognach ambicji. Ustały jego traktaty z krzyżakami — Zakon gotował się do ostatecznej i decydującej rozprawy z ogromnym polsko-litewskim państwem,

które teraz wchodziło w najważniejszą grę europejską, jako partner, dyktujący swe i cudze życie.

Wznowiono krakowską akademię, poczętą przez Wielkiego Kazimierza Piastę — nazywała się teraz Jagiellońska, tak jak Polska. Podźwignięto ją z zapisu — z klejnotów królowej Jadwigi, zostawionych w testamencie śmierci.

W tych czasach — na świecie szerokim: grał stały teatr pasyjny w Paryżu — pasje w kościołach o Męce Pańskiej; a w Polsce pojawił się rękopis pierwszy pieśni do Bogarodzicy — pieśni wojskowej, której uczyły się szeregi polskich wojsk — wojsk polsko-litewsko-ruskich. — A na świecie było wtedy trzech papieży.

Wojna z Zakonem wybuchła. O Pomorze, o morze, o życie.

Król Jagiełło, przechodząc próg domu, spluwał poza siebie. Żegnał się. Potem siedł na mszę. Leżał w katedrze długo krzyżem. Potem siadł do kolasy. Odjechał z Krakowa na północ — na wojnę.

Towarzyszył mu młody rycerz, turzej budowy ciała, atleta i ksiądz zarazem — który łamał w ręku podkowę. Towarzyszył mu jadąc konno, obok królewskiej kolasy. Towarzyszył też królowi rycerz Czarny, cały w czarnej żelaznej zbroi, na pancerzu miał srebrne gwiazdy — przyjeżdżał z dworu króla Zygmunta Luksemburczyka. Pierwszy nazywał się Zbigniew Oleśnicki — a drugi Zawisza Czarny. Ten ostatni był z Karpat rodem.

Grunwald — naprzeciw Tannenbergu. Zielony bór — naprzeciw góry pokrytej borem sosnowym, czarnoborem. W zielonym borze iglastym — pod borem — polskie i litewskie wojska Jagiełły; w sosnowym czarnoborze — pod borem — wojska niemieckie krzyżackiego zakonu wielkiego mistrza i sprzymierzone z nimi chorągwie rycerzy — ochotników z Europy całej.

W obozie wielkiego mistrza mówi się:

— Zbyt długo odprawia się u nich msza przed bitwą — wezwać ich do decyzji.

W obozie Jagiełły, króla:

— Gdy księża zaśpiewają — idźcie, msza skończona — idźcie do boju. Dam znak...

Ruszyły pierwsze szeregi do boju — z obu stron nieprzyjacielskich.

Pod ciężarem żelaznego wojska krzyżackiego łamią się powoli zastępy litewsko-tatarsko-ruskiej lekkiej kawalerii.

... To jest początek dnia.

Pod ciężarem żelaznego wojska polskiego, polskiej ciężkiej kawalerii, zwanej husarią — całej w zbrojach żelaznych, na koniach zakutych w żelazo, z rycerzami jeszcze bez skrzydeł — łamie się żelazne wojsko krzyżackie.

... Pora obiadowa dnia.

Czarny Rycerz, Zawisza, walczy z całymi oddziałami żelaznych rycerzy niemieckich; sprawia jeden z swych sławnych turniejów, w których tyle razy zwyciężał, zawsze w czerni, pod czarną przyłbicą — na dworze królewskim Zygmunta Luksemburczyka (na Węgrzech) — darzony kwiatami, wieńcami, wstęgami najpiękniejszych kobiet — jak z bajki — Europy średniowiecznej; rycerz, którego opiewają trubadurówie na Zachodzie; polski i czarny; mówią „polegaj na nim jako na Zawiszy” — mówią, kiedy żył jeszcze Zawisza Czarny; — pod Grunwaldem był Zawiszy turniej najkrwawszy — bez wstąg kobiecych, bez wieńców, bez kwiatów — bez oklasków — w oklaskach klaskającej pod kopytami krwi.

Oleśnicki, młody atleta, piękny Zbigniew — broni króla — przed włócznią — od śmierci — zasłania go swoim ciałem (potem w historii — zasłoni go całego swoim wielkim cieniem).

Walka gaśnie — całodzienny bój — bezimienna śmierć i bohaterstwo obu stron — zwycięstwo polskie.

... Był wieczór.

Polskie wojska ścigały krzyżaków. Przyszła zima. Zdobywano Malborg. Malborg, stolica krzyżacka, był jednak wciąż nie do zdobycia. W Polakach — często jest słomiany ogień. A zima ta szczególnie zda się sroga.

Pokój w Toruniu.

Pokój — niezdecydowany, niewytrzymana pozycja. — Nieusunięty wróg z ziemi, z której można go było usunąć siłą wtedy. — Słomiany ogień w zimie nie wystarcza.

— Słomiany ogień — powiedział wielki książę litewski Witold — podczas unii horodelskiej do swego brata króla, Jagiełły.

Oleśnicki Zbigniew, już biskup — cieniem poczał zasłaniać króla. Jak zasłonił go kiedyś swym ciałem od śmierci. On rządzi własciwie krajem. On, a z nim rządzi Rzym Polską.

Na stosie spalono w Czechach Husa, nauczyciela odrodzenia religii średniowiecznej. W Czechach trwają wojny husyckie, narodowe. Czechy Jagiellę proponują słowiański czeski tron Pragi. Oleśnicki do tego nie dopuszcza. On walczy o Polskę katolicką,

rzymską, prawowierną, ortodoksyjną. Polska wtedy wydaje wielki edykt przeciw husytom.

To są czasy, gdy w zachodniej Europie żyje jeszcze ostatni trubadur Monfort.

Z tym ostatnim trubadurem rycerstwa — we Francji — tereny cudów.

Ukazuje się Joanna d'Arc, prosta pastuszką, z objawieniem — prowadzi wojska francuskie przeciw Burgundii i Anglii — jest cud tam odsiecz Orléanu.

W rok po cudzie Orléanu umarł na Litwie wielki książę Witold.

W rok po śmierci księcia Witolda — spalono Joannę d'Arc na stosie.

W trzy lata po stosie Joanny — umarł Jagiełło, król polsko-litewsko-ruski, zaziębiwszy się na wsi pod Lwowem, w Gródku, w zameczku myśliwskim — słuchając nocą słowika.

Słowik w Gródku ruskim śpiewał. Była świeża wilgotna noc wiosny. Jagiełło dwie miał słabości: polowanie na wielkiego zwierza w puszczech — i czatowanie na słowiczą pieśń po gajach majowych.

Słowik śpiewał Jagielle — o tym — o tym — o czym śpiewał może chińskiemu cesarzowi w bajce chińskiej — o tęsknocie szarej istoty malutkiej do bezmiarów wszechświata, do przeczucia, do roztopienia się w duchu rzeczy widzialnych i niewidzialnych.

Polska, Litwa i Ruś — to Polska jagiellońska.

Kraje — ludzie — obrazy świata. Biały Orzeł, św. Jerzy, archanioł Michał.

Ptak, rycerz na koniu, anioł z tarczą i mieczem. Ptak króluje rycerzowi i aniołowi. Na służbie lotów są rycerze i anieli — konni i skrzydlaci. Orły gnieźdzą się w górach. Są samotne. Są drapieżne. I są królewskie.

Pachnie świat — trzech ziem, złączonych w jedno.

Pole, puszcza i step.

Zebrane ziemie polskie złączyły się z ziemiami litewsko-ruskimi — były potęgą jedną z najsilniejszych w świecie. Dzika to była potęga — na niezmiernych obszarach. Rzymski Zachód wojował tu z greckim Wschodem.

Na rozdrożu dwóch światów stał ten nowy świat, przezna-

czony do wielkich dróg, których jeszcze nie było — które wtedy dopiero się rodziły z miecza, z szlachectwa i z ziemi, jako rozdola — rozdalekiego.

— O, to idzie w wieki — rozmyślał młody student, dziewiętnastoletni, Jan Długosz, uczeń Akademii Jagiellońskiej, w Krakowie, pilny czytelnik dzieł klasyków greckich i rzymskich i włoskiej współczesnej literatury — uczący się myśleć historycznie. Gryzł w zębach młodych pióro gęsie — już całe było pokąsane, pogryzione, mokre. Młody student kleryk, w czarnym kubraku i w wysokich z cholewami butach — myślał:

— O, to idzie w dalekie, przyszłe wieki. Ziarno. Z ziarna tego będzie zbiór. Grady niszczą, zatapia powódź, wróg kopytami koni depcze — ale ziarno mocniejsze od wszelkich przeciwności. Raz zasiane, choćby ręką siewacza nieumyślną, z worka w skibę — raz rzucone w tę ziemię — wszędzie, w stokroć!...

Nad Polską, ogromnym państwem, składającym się z dwóch Polsk właściwych, Wielkopolski i Małopolski, z lennego księstwa mazowieckiego, z wielkiego księstwa litewskiego i ruskich niezmiernych prowincji — górował rządem biskup Zbigniew Oleśnicki, polski rzymianin, uprawiający politykę polsko-rzymską.

Nad Polską, ogromnym państwem, składającym się z dwóch Polsk właściwych, Wielkopolski i Małopolski, z lennego księstwa mazowieckiego, z wielkiego księstwa litewskiego i ruskich ziemnych prowincji — górował rządem biskup Zbigniew Oleśnicki, polski rzymianin, uprawiający politykę polsko-rzymską. Jego wielki cień unosi się teraz nad całym światem zachodniego wschodu Europy — jego cień też zaślania młodzieńczą postać pięknego królewicza, już króla polskiego teraz, Władysława Jagiellończyka.

Przy płonących bezsennie świecach na zamku wawelskim w Krakowie on to rozważa swe kanclerskie posunięcia, obciążony myślami światowej polityki kościelno-mocarstwowej i ciężarem swego wielkiego ciała. On myśli i działa za młodego króla, który jest pięknym rycerzem, zakochanym w mieczu i w modlitwie, które mu równą sprawiają rozkosz — chrześcijańskiego rycerza.

Z zakonem krzyżackim, który przecież jest ostatecznie instytucją religijną — myśli biskup Oleśnicki — stanął pokój wieczysty w Brześciu. Trzeba wszystkie wysilić siły chrześcijańskie, aby zdławić potęgę turecką, muzułmańską w Europie — żeby krzyż triumfował nad księżycem mahometańskim. Jeszcze nie skończyła się, widać praca nawracania świata — jak to za dawnych, pogańskich było czasów. Oleśnicki doprowadza do życia wielką unię Polski i Węgier, skierowaną ku celowi nowej, już chyba ostatniej krucjaty — mającej się rozegrać wojną na Bałkanach.

Władysław Jagiellończyk, polski król, staje się jednocześnie królem Węgier.

We Florencji jest rozkwit wtedy sztuki.

Król polsko-węgierski, Władysław Jagiellończyk, młody władca, zrywa pokój z Turcją zawarty, z przysięg zwalnając go papieskim słowem sfery duchowne. Staje na czele koalicji antytyreckiej. Zaczyna wojnę z Turcją.

Szum morza Czarnego słychać. Ciepły słony bije z niego powiew. Dojrzewają winnice czarnomorskiego winogrodu. Najpiękniejszy południowy kraj otwiera swoje uroki. Wojska polsko-węgierskie są już nad morzem Czarnym.

Księża otaczają Władysława Jagiellończyka, nieschodzącego z konia, zrywającego się koniem wciąż do galopu, po czarnomorskich stepach — do boju.

— Królu chrześcijański — mówi legat papieski, przytrzymując złociste strzemie, w którym mieści się królewska, w okutym bucie żółtym noga — królu chrześcijański, katolicki...

Król Władysław ma dwadzieścia lat; zdejmuje hełm z głowy, odgarnia sypiące się na oczy — włosy, i przeżegnał się szeroko krzyżem świętym. W jego oczach pali się płomień. Morze Czarne szumi z daleka. Step szeroki — i port czarnomorski, Warna.

Wojsko na koniach. W stepach tych czoło trzyma kawaleria, polska i węgierska. Na czele husaria polska.

Od morza Czarnego, od brzegu, płynęły niezliczone fale tureckiej kawalerii, z bębнами i piszczałkami na czele.

Już ludzie trzymający sztandary chrześcijańskie widzą ludzi trzymających buńczuki mahometańskie. Cóż ich przenika, obok lęku zwykłego przed śmiercią i żądzy zwycięstwa dla siebie — coś ich przenika głównie? — nieprzeniknioność owa przeciwnika, ów świat odmiennych wierzeń i pojęć — te twarze, które dla strony przeciwnej stanowią wcielenie baśni strasznej, z obu stron jednakowo fantastycznej: — tylko morze i step czarnomorski są dla obu stron jednakowe — tylko szable z jednakowego metalu, choć różnią się nieco kształtem — tylko ciała są takie same — dusze inne. Nie tylko dalekie sobie i obce, — ale nieludzkie, fanatycznie — losami odmienne.

Władysław Jagiellończyk, król polsko-węgierski — leży gdzieś na polu Warny nad morzem Czarnym, — Warneńczyk — już nie pamiętać jego młodej głowy, którą położył w polu dzikim, w szarży dzikiej husarskiej otoczony nieprzebranymi półkolami tureckiej konnicy — która z dzikim wyciem i świstem przepełdziła kopytami po poległych rycerzach polskich — konie polskie biegały długo pod Warną, po czarnomorskim stepie, zanim je

wyłapano na łąssach janczarskie, zabite konie z zabitymi ludźmi, ranne konie z rannymi ludźmi — zostawiając na żer stepowych czarnomorskich sępów i wron, i stad wilczych, mknących ze szczeniem z lasów, na południe w step, na warneńskie pobojowisko.

Nie znaleziono ciała Warneńczyka. Głowa jego — znaleziona — obnoszona była w obozie zwyczajnym Turków — na pikach; miała wywrócone białkami oczy — szeroko otwarte, piękne, teraz straszne usta i tylko smugi miękkich długich puszystych ciemnokasztanowatych włosów króla polsko-węgierskiego Władysława Warneńczyka świeciły w czarnomorskim słońcu blaskiem niesamowitego piękna, jakby należały do jakiegoś bizantyńskiego obrazu głowy Chrystusa w cierniowej koronie, głowy pokrwawionej, a odbitej na chustce Weroniki — bez reszty ciała.

Brat Warneńczyka, królewicz Kazimierz Jagiellończyk, wielki książę litewski, rezydujący w Wilnie mówił:

— Brat wróci — on żyje...

Brat nie wracał, już z tamtego świata.

Oleśnicki był przy Kazimierzu.

Kazimierz Jagiellończyk nie był tak piękny jak jego brat, Warneńczyk. Włosy mu nie wiły się w pukle puszyste, były twarde, czarne, szczecinowate. Twarz miał zaciętą ustami, trochę żółtą, jakby schorowaną. Na jego czole młodym siedziała skupiona mądrość, w oczach była wielka ostra przenikliwość, mimo pozorów obojętnej dobroduszości.

Koncepcja Oleśnickiego — wyprawy krzyżowej przeciw Turkom zawodziła. Kontynuować jej nikt już nie miał zamiaru oprócz Rzymu. Oleśnicki, głowa Polski i jej potęgi za Jagiełły, zwłaszcza w ostatnich jego latach, za Warneńczyka wreszcie — napotykał w Kazimierzu Jagiellończyku niezrozumiałą dla siebie niby przekorność, może nawet brak zaufania, mimo najlepszych pozorów uznania i powagi. Król umiał mieć odrębne, własne zdania. I był uparty, cichy lecz uparty. A wtedy — wyglądał w milczeniu swoim niebezpiecznie.

Młody król rzekł:

— Konstantynopol padł. Jest koniec cesarstwa bizantyńskiego. Musimy wyciągnąć z tego wnioski.

Stary Oleśnicki, kardynał, odrzekł:

— Linia polityki królów chrześcijańskich w Europie może ulec zmianie na korzyść wyznawców pogańskich księżycy?

— Linie nigdy się nie zmieniają od razu — mówił król

spokojnie, poprawiając się w krześle — linie idą zawsze jeszcze jakiś czas w swoim wytyczonym kierunku, zanim się ich nie złamie siłą wyższą, która zdaje się ludziom wybiegającą z zakresu naszej woli i naszych postanowień. Są jednak takie załamania konieczne — są w błyskawicach, są w jeometrii, są zwrotne i w życiu ludzkim, politycznym to jest zbiorowym. Nie myślę, by taka błyskawica miała już teraz rozświecić ciemności, ale potrzeba wyciągać wnioski z każdego znaku na świecie.

— To znaczyłoby, Wasza Królewska Mość... — zapytał, drżąc jakby z zimna, starzec biały, Oleśnicki.

Oleśnicki był odsunięty. Z Zakonem toczyła się wojna.

Malborg już był zdobyty.

Dyktowane krzyżakom warunki — pokojem toruńskim — przez króla.

— Otwierał się dostęp do morza.

Polska była potęgą światową.

Synowie Kazimierza Jagiellończyka, uczniowie Jana Długosza, księdza-historyka, zajmowali trony Europy. Kazimierz, spokojny i zimny, posuwał swe plany wciąż dalej, niepośpieszny, nigdy skwapliwy, z żelaznymi nerwami zimny człowiek o silnym czole i wprawnej ręce. Chciał mieć jagiellońskim cały ogromny wschód Europy. Jagiellońska Polska z Litwą i Rusią, — jagiellońskie Czechy (królem był tam syn Kazimierza, Władysław Kazimierzowicz Jagiellończyk), jagiellońskie miały być Węgry, przeznaczone dla drugiego syna, Jana Olbrachta (w walce braci, Władysław Jagiellończyk zwyciężył brata Olbrachta — wziął Węgry) — Śląsk był pod synem Zygmuntem (który potem nazywał się Starym), a wielkie księstwo litewsko-ruskie — pod synem Kazimierza, Aleksandrem. Pół Europy niemal było jagiellońskie.

Zorze wschodziły ranne nad Europą tych dziesiątków lat — znaczone urodzinami wszelkiego artyzmu i myśli nowej, zwycięskiej — przełamywało się średniowiecze późne z wczesnym renesansem. Już pod koniec było średniowiecznemu światu, a w początku świata nowożytnych dziejów. Urodziny natchnienia i myśli: w tych latach rodzi się — Wit Stwosch, Lionardo da Vinci, Erazm z Rotterdamu, Macchiavelli, Albrecht Dürer, Ludwik Ariosto, Michał Anioł, Tycjan, Morus, Rafael, Luter, Borgia, Kolumb. Pokolenie to było Kazimierzowi i jego synom współczesne.

Duch taki siedł nad światami. W — odrodzenie.

Późne gotyckie średniowiecze polskie.

Stoją polskie skrzynie ciężkie i skrzypią po nocach. Odzywają się dziwnymi kurantami i kukułkami zegary na gotyckich wieżach kościołów w Polsce, od Gdańska, Torunia, po Kraków na południu, po Wilno na północy.

Biją w kościołach gotyckie potężne dzwony. Polska stoi w kamiennych brzegach, z kamienia, zbożowa, w złote pieniądze bogata, w stare, gotyckie miasta uzbrojona, w potężne wojenne twierdze, które są po to, aby był spokój i gospodarstwo.

Stary król Kazimierz Jagiellończyk pomarszczył się na twarzy, usta mają gorzki wyraz ale nie zmieniły swej zaciętej spokojnej siły; ocienione są krótkimi twardymi przyszczyżonymi wąsami, już teraz nie czarnymi — białymi. Twarz teraz zupełnie żółta ma król, jak pergamin, zapisany wielkimi, nie mogącymi się nie udać sprawami.

Czyta Kazimierz Jagiellończyk płynnie, w piśmie pióro i ręka niewprawne. Ręka jest starcza, pomarszczona, ale pełna silnych żył i twardych kości. Ojcowska ręka — ojca tylu synów — kształconych na monarchów.

— To już nie są pisklęta, już wyklute z jaja dawno — myśli król ojciec. I mówi do żony, Elżbiety Habsburg:

— Matko Jagiellonów — mówi król z uśmiechem, gładząc ją po bujnych siwych włosach i po białej, jeszcze umiętej różowieć, niemieckiej skórze twarzy — Matko Jagiellonów, posłuchaj. Nie samą modlitwą się żyje, jak ty.

— Ja czytam, ja się nie modlę tylko — odpowiada z zażenowaniem siwowłosa piękna jeszcze, stara królowa, a w świetle zachodzącego słońca rysują się w oczach Kazimierza jej bujne piękne okrągłe i jędrne jeszcze w swej szerokości biodra, — królowej, którą tyle kochał i jeszcze na starość kocha, jak to czynią młodzi małżonkowie na osobności, nigdy nie syci siebie.

— Tyle, tyle lat — uśmiecha się do siebie stary król, ale nie powie tego jej — że jej pożąda wciąż jeszcze, tak jakby była jeszcze ciągle młoda — tyle w niej kryje się nieprzepatrego wdzięku, słodczy i nieświadomej kobiecości. Więc mówi do niej nie o tym, co pomyślał w tej chwili, gdy oczy spoczęły na jej pysznych biodrach i słodkich, jakby w oddaniu wiecznym, oczach piwnych, aksamitnych — tylko mówi:

— Matko Jagiellonów! — jak ją wszyscy w kraju zwą — symbolem matki.

Gdy mówili ze sobą wieczorami, to najczęściej o ukochanym zmarłym synu, młodziutkim królewiczu Kazimierzu, o św. Kazimierzu, który zmarł w Wilnie. O tym, jak kochał czajki; jak je raz wykupił na straganie z klatek, i puścił wolno; o tym,

jak biedny, wniebowzięty, niby święty Pański, umierał, na niższym zamku w Wilnie. Jak to wtedy im było tam — o tym mówili, a król królową po ciemnych oczach całował, i mówił — to wszystko dałaś Ty — to wszystkim byłaś Ty — bez Ciebie coś bym ja robił, życia by mi nie było — mnie, którego zważ z żelaza i z kamienia, i z twardości do ludzi, mówią że aż złej — tak ich dobrze poznałem i tak wiem, ile kosztują na złoty pieniądz i godność tytułową...

Gdy Polska wielka była i potężna, do szczytów swych dochodząca — za króla Kazimierza z Jagiellonów — płynął z Hiszpanii kapitan Kolumb na odkrycie morskiej drogi do Indyj.

W roku, w którym umierał król polski wielki, Kazimierz Jagiellończyk stary, zostawiając polski rozkwit w kraju — wyładował kapitan Krzysztof Kolumb na nieznanym brzegu — to było odkrycie Ameryki; — w tymże roku na tron stolicy apostolskiej wstąpił Aleksander Borgia, papież, piękny, straszliwy człowiek, równany z obrazami proroczej Apokalipsy; — w tymże roku wałęsali się twierdze Granady, dotkniętej zarazą i wojną, pada Granada i państwo maurytańskie w Hiszpanii.

Ten rok jest przełomowym rokiem chronologii. Skończyło się średniowiecze. Zaczynały się czasy nowożytne. Już kompas prowadził po morzach. — Już sztuka stawiała się odrodzeniowa.

Świat wchodził w nowy dzień.

Świat wchodził w nowy dzień.

Dnie i noce — czymże się zmieniały? niczym. A już był inny czas, inna jego zmysłowa odczuwalność. Innym widziało go oko, innym słyszało ucho; zapach inny był, i inny dotyk i smak inny. Przyroda ciemnego średniowiecza przechodziła w słońce renesansu.

Cóż miał upadek Bizancjum do tego teraz rozkwitu! Że uciekło stamtąd, z Grecji wielu uczonych w piśmie ludzi — mogłaż od tego uśmiechnąć się zieleń natury? Widać — mogła.

Noc, a z nocy podnosiło się różowe słońce na horyzont.

Mury zalane słońcem. Wiosna i na północy się czasem zaczyna. Z południa płynie jej ród — spod błękitnego włoskiego nieba — gdzie cytryna dojrzewa i sztuka; — ulżyło jakby ludziom i murom kamiennym. Jakby kamień kamieniom spadał z duszy. — Śmierć — śmierci. Niech żyje życie!

Świat zachodził kolorami Wita Stwosza, ciemnymi, a już się prześlacały — kolory rzeźb.

Po słońcu chodził boski Lionardo (da Vinci) — z kochankami złotowłosymi Rzymu — z różami cesarów i z rzeźbami Hellady odrodzonej — z zielonym niebem — z zielonymi oczami swoich kobiet — z cyrkami wszechświatów — z przeczuciami aeroplanowych skrzydeł — z filozofią życia boskiego — i burzą.

Cienki przechadzał się Macchiavelli, w czarnej sukni obcistej do kostek, długiej, z cienkimi swymi oczami i myślami, z wąskimi zaciętymi ustami skrytego samotnika i uwielbierza mądrej siły, silnej mądrości — mądrości jako siły — i siły jako mądrości; pod pachą nosił swą cienką książeczkę w czarnej oprawie — pt. „Książę” — rzecz o sztuce rządzenia w świecie ludzkim.

Albrecht Dürer, o północnej niemieckiej, skomplikowanej po germańsku (skomplikowany jest las — a stąd i ludzie lasów, Germanowie) duszy, malował wtedy i trudnił się pracowitym miedziorytnictwem — rył w miedzi — swój wiek miedzi.

Poeta Ariosto śpiewał — szalony — Orlanda szalonego — rycerstwo, widziane po nowemu, renesansowo-romantycznie — poeci sobie dobierają bohaterów — szaleni biorą szalonych (szaleni bywają w życiu cisi) — cichy był Ludwik Ariosto.

Michał Anioł (Angelo) jak anioł widział — świat ginący w Sądzie Ostatecznym — widział już nowy świat, który sądów nawet doraźnych się już nie bał — wizje wielkich rozmiarów człowieczeństwa.

Złote ciało kobiet nabierało odcieni tycjanowskich — na zielonych kładzione murawach, w purpurowych układane łożnicach — było ciężkie i miodem ociekające i przypominające posągi żywych bogiń greckich — bujną lubieżność, nienasyconą żądzę pod skórą jak jedwab giętką, cienką i delikatną.

W światach za mgłą — bo z mgławic rodził się świat — rodziła się utopia — kraj marzenia — z ustrojem aniołów społecznym i niebiańsko-ateńsko-wschodnim (mimo że było to w zachodniej Anglii — owe mgły marzenia) — rodziła się utopia — traktat społeczny Tomasza Morusa, poety-polityka.

W rafałowskich Madonnach i Wenerach, w Primawerach i zielonookich Giocondach — jak w zielonych wodach stawu sennego — odbijał się ideał nowego, z krwi i ciała wstającego piękna duchowego.

A papież Aleksander Borgia — wtedy — w wiośnie odrodzenia włoskiego, które z południa falami szło na północ, coraz dalej, dochodziło i do północnej ziemi Polski — a Borgia, wielki mag ludzkiego zwierza, genialny obwieś renesansowego rozpędu twórczego i potopowego — urządzał orgie w Rzymie, w salach papieskich i w ogrodach — muzyka grała.

Uśpiony człowiek budził się ze snu w rozkosznym zwierzęcym wigorze, sprężony i napęczniały sokami życia, tak długo więzionymi w czarnej nocy średniowiecznego chowania się z grzechami w tajemnicy.

Wiosna była przebudzona — rzeki niosły. Zalewa powódź krwi i jej szumu młodego.

I na Polskę szły te burze wiosny.

Wieki średnie zapisywały:

Grzechy, leśne życie dzikich, żyjących na drzewach w strachu przed życiem i przed śmiercią, ludzi, — grzechy, pokutę,

zbrodnię i świętość, ciało umartwione, duszę wyzbytą ciała, samą skórę i kości i kawałek utrapienia ze zbawieniem duszy — mór, zarazy, boży gniew, Sąd Ostateczny — koniec świata, tańce śmierci, tańce kościotrupów, wizgi i chłostę czarownic diabelskich, na łysych górach, w ciemnych lasach — w niedocieczonym pogaństwie wieków religii chrześcijańskiej — biczowanie się i biczowanie innych — mistyczny szal i uniesienia święte.

Święty szal — w nieświętość przechodził — lecz pozostawał szalem. Z wyszumiałych szumowin krwi rodziły się czyste potoki nowej rzeki ludzkości.

W taki czas — renesansu — wchodzi i kraj na północ za Karpatami — chociaż ruszył właśnie na południowe stoki Karpat, do kraju kukurudzy i winogrodu — w Wołoszczyznę — polski kraj, północna krew polska. Wyprawa wołoska króla polskiego Jana I Olbrachta, syna Kazimierza Jagiellończyka — wyprawa na Wołoszczyznę.

Na kozaka wyglądał Jan Olbracht król, śniady, czarnooki, czarnowłosy — wrone miał włosy i wronego konia. Koń ten padł pod nim w lasach bukowińskich — podczas klęski wojennej — gdy podcięte puszcze Bukowiny waliły się starożytnymi drzewami na wojsko polskie — gdzie wyginęła szlachta, czyli konnica polska — za króla Olbrachta.

Już Kolumb odbył swą drugą podróż do nowoodkrytych Indyj zachodnich — do odkrytej swej Ameryki. Już Vasco de Gama odkrył drogę do Indyj wschodnich morską (którą chciał odkryć Kolumb — a odkrył przez przypadek inny świat — świat nowy — popłynąwszy oceanem Atlantyckim na swych hiszpańskich żaglowcach). — Już stracono Savonarolę we Włoszech, proroka nowego widzenia sumień ludzkich. — Rozkwitał wszędzie renesans.

W rozkwicie też renesansu — ponosząc klęski w bojach z Moskwą (książę Ostrogiński poniósł klęskę w wielkiej bitwie z Moskwą nad Wiedroszą) — umarł trzeci syn Kazimierza Jagiellończyka, ojca królów — Jan Olbracht. Za nim przyszedł na tron wielki książę litewski Aleksander, jego brat, czwarty syn wielkiego ojca królów — na tron polski. Odnowiła się unia Polski z Litwą, ciągle rwana i podrywana na wschodzie i zachodzie. Urodziła się — w renesans czasów — średniowieczna konstytucja polska „Nihil novi” na sejmie radomskim — dająca szlachcie, polskiej kawalerii głos pierwszy, nad królem niemal, w kraju. I Aleksander król, bardzo otyły i ciężki (największą miał trumnę i najcięższą z królów polskich) — zmarł. Przy-

szedł po nim na tron piąty Kazimierzowicz (jego brat młodszy) — Zygmunt — już zwany zmlódu — starym, za powagę i spokój i równowagę życiową, która jest podobno cechą starych ludzi — wątpliwe powszechne mniemanie.

— Wątpliwe powszechne mniemanie — powiedział o swym przydomku Zygmunt I Stary, gdy już naprawdę był stary i porównywał swą spokojną młodość z niespokojną i ciężką dla równowagi starością.

Ziemia powstawała z mgieł — w Polsce — złożono ją złożeniami włoskimi. Nalewano w północne niebo polskie kolorytu włoskiego nieba. W strukturę ciężką polskich budowli i polskich dusz wprowadzano lekkość i zgrabność, i płomień i pieśń włoskiego narodu.

Złotowłosa była żona młoda Zygmunta I, Bona Włoszka, księżniczka Bari, piękność swego czasu Europy, kwiatami zajmująca się i ogrodnictwem, — czytelniczka małej czarnej książeczki Macchiavella.

Na dworze jej krakowskim grały lutnie. Renesansowe kobiety dworu wносиły słońce do ciemnych ciężkich murów Wawelu.

Tańczono przy cichym dźwięku luteń.

Cisza zapadała w salach. Przerywały ją czasem oklaski i zmiłkały. Panny dworskie tańcząc śpiewały.

Piosenki ich. Dźwięczne jak ich głosy. Okrągłe jak ich piersi. Roześmiane a smętne jak ich oczy. Delikatne jak ręce ich. Szumiące jak ich bufiaste suknie powłóczyście. I skoczne jak ich małe nóżki rozwierzgane pod dźwięk już nie luteń, lecz gitar, tamburinów i bębna oślego, i coraz zwawszej melodii, coraz żywszej, coraz południowszej, okrągłej, zawijającej suknie, zarzucającej biodrami jak młodym klaczom roznamiętnionym.

Panny dworskie tańczyły:

W takt rosnącej muzyki ludowych włoskich podrygów — jakby kłuto je szpilkami w jędrne ciała, w kręcące się wypukłe okrągłości, albo jak gdyby je kłuł legendarny pajak tarantula — tarantella, włoska tarantella na zamku wawelskim w Krakowie.

A na wietrze, pod wiatr płynęli na swych koniach wojenni ludzie Polski. Uśmierzali burzliwy wschód i zimną północ — gdy w Krakowie pieniało się południe włoskie. Gdzieś w borach i stepach ruskich bili się — na wietrze północno-wschodnim, zimnym przenikliwym, w śniegach, w lasach białoruskich; zwyciężali, przepadali, szli dalej — znowu ginęli.

Białe gwiazdy w białe zimowe noce były im zamiast zło-

cistych guzików, którymi zabłysnął dwór królewski polski — a tarantellę swą tańczyli w siodłach, w wysokich polsko-tureckich siodłach, terlicach, — z pikami w rękę, z ostrymi szablami, od których wił się wróg jakoby w tańcu i od których też wił się sam tańczący — kiedy umierał, nadziany na nie w boju lub dostrzelony giętym, wnikliwym prętem strzały z łuku, zaskalonej ostrzem stalowym, które w ciało wchodziło głęboko, wrastało — a nie zawsze czekała śmierć na tłuszcz rozpalony niedźwiedzi — żeby nim było wypiec, wypalić, wysmyknąć strzałę człowiekowi, umierającemu z jakiejś tępej, bolesnej w boku rany.

Wiatr ich smagał po twarzach, wiatr wojennej swobody, hulania i umierania. Dziki, nieumodlony wiatr.

Król Zygmunt zbliżał się z Habsburgami. Katolickość w tym była wspólnością i wschód muzułmański i jakieś względy natury przekonań osobistych, które go do nich, a ich do niego zbliżały.

Odbывał się zjazd wiedeński. Zygmunt I, polski król, z cesarzem niemieckim Maksymilianem I zawierali układ polityczny. — Wypadki toczyły się kołami bystrymi po świecie. Umarł najstarszy brat Zygmunta, król Węgier i Czech, Władysław Jagiełłończyk. Był początek w Niemczech reformacji. Pokazała się w Polsce pierwsza książka drukowana, Opecia „Żywot Pana Jezusa”. Włoch Berecci Bartłomiej zaczął budować kaplicę złościstą, zygmuntofską.

Zygmunta ogromny dzwon był ulany z armat wołoskich, zdobytych w wielkiej bitwie zwycięskiej.

Syn Zygmunta I nazywał się Zygmunt II August. Bona, królowa matka, wraz z swoimi silnymi stronnikami politycznymi, przeprowadziła u swego króla męża koronację na króla — syna; kiedy ojciec stary jeszcze żył. Było w Polsce dwóch królów wtedy: syn i ojciec. Syn mieszkał w Wilnie, król — na wielkim księstwie litewsko-ruskim, dziedzictwie samowładnym jagiełłońskim.

Wieczorem przyjechał młody król do Krakowa — z Wilna.

Mówił na dworskim przyjęciu z wszystkimi bardzo uprzejmie, choć z wysoka — płynnie po włosku, śpiewnie, romansowo. Młode kobiety przypominały sobie baśnie o nim jako o tym, któremu żadna się nie oprze. Oczy ich biegły za nim, wlokły się za jego nie widzącymi ich oczami, oczami karymi, wielkimi, znudzonymi czy zatęsknionymi.

Król ojciec, Zygmunt Stary, zszedł na krótką chwilę z swych apartamentów zamkowych — na przyjęcie urządzone dla syna, na jego przyjazd. Z kimś tam rozmawiał pogodnie i łagodnie, na innego obruszył się — innego nawet nie dojrzał... z tego

były potem komeraże, i plotki i głębokie domysły — a król po prostu zmęczony, roztargniony nie myślał — czemu to czynił.

Piękny był wtedy stary król. Wysokie łyse czoło nalane wielkim spokojem, rysy rzymskiego cezara, wyniosła, dostatnia postać — trzymał się prosto mimo wieku — i głos miał dźwięczny i prawie młody. Dostojnie szedł przez sale z maskami, sam jak w masce swojej pośmiertnej, w złocistej przydługiej szacie, u boku mając strzelistą postać syna. Zatrzymali się w maskowej sali, pod sklepieniem tajemniczych głów przeszłości; król Zygmunt usiadł w głębokim złotym fotelu, przy kominku z płonącymi prawie białymi ogniami, a obok niego usiadł na złotym stołku jego syn, król Zygmunt August.

Ale wcale nie rozmawiali.

Weszła matka Zygmunta Augusta, piękna Bona złotowłosa, w czepku ubranym drogimi kamieniami, w białej przepysznej sukni przetykanej srebrem i oszronionej różowymi sznurami pereł. Syn wstał — usiadła przy starym królu królowa żona, piękna zawsze, o skórze białej jak mleko, jak skóra Poppei rzymskiej. Odprawiła syna do sal dalszych.

Zygmunt August skłonił się nisko przed rodzicami — i szedł do sali przeległej. — Zauważono w kołach pewnych na przyjęciu, że młody następca tronu wyrażał się może zbyt liberalnie o głębokości spostrzeżeń Lutra Marcina podczas dysputy lipskiej. Panie piękne, gromadzące się w grupach koło Zygmunta Augusta, powtarzały potem sobie z uniesieniem i zmysłowym zachwytem — jak to młody król fantastycznie opisał domniemane — podług niego — uczucia podróżnika Magellana, który nie tak dawno temu opłynął morzem ziemię całą. A w kołach duchownych katolickich utrzymywano nie bez niepokoju, że uwaga młodego króla o pięknie pierwszego zbioru pieśni Lutra, nie jest pozbawiona głębszego znaczenia i jest poniekąd ostrzeżeniem.

Zygmunt August powiedział do matki, gdy zostali po balu sami:

— Z ojcem muszę jutro mówić.

Odrzekła Bona:

— Mów ze mną.

Zygmunt I, ojciec, siedział w miękkim fotelu, w swej przepysznej sypialni, ubranej arrasem — łoże stało pod czerwonymi kotarami, z baldachimem.

Patrzył na niego zegar i tykał miarowo.

Było lato. — W Wiśle kąpały się za dnia rusałki dworskie, pod zasłonami z białych, jak mgły z daleka, prześcieradeł. Nad

Smoczą jamą chodził sztyldwach z błyszczącą w księżycu halabardą. Za Wisłą, na tamtym brzegu płonęły jakieś ognie — to były ognie pastuchów, którzy tam mieszkali przez zimę w lepiankach. — Wszystko to było widać z okna (albo było słychać), przy którym siadywał teraz w złożonym fotelu stary król.

We mgle przechodził za rokiem rok.

Przyszła królowa Bona do męża i długo o czymś znowu mówiła. Coś przedkładała. Dopominała się królewskiej zgody. Potem machała białą ręką w złocistych, dzwiczących bransoletach i odchodziła.

Starość gięła króla do ziemi. Ale życie w nim było twarde. Nie zasypiało. Król bronił się swą obojętnością niby, i starał się o wszystkim jednak wiedzieć, co miało odbywać się poza nim.

— Niepokój ukrywałem zawsze, teraz nie zawsze potrafię — powiedział raz do swego spowiednika. — Serce bije we mnie jeszcze jak ten dzwon ogromny, zawieszony u nas w bramie wjazdowej. Zbyt dobrze słyszą jeszcze wszyscy moje echo — choć mnie uważają już za jakąś królewską legendę. Jeszcze bije i jeszcze chodzę jak ten zegar na kominie. Najprzód przeżyje mnie ten zegar, a potem dopiero wszystko inne. Mój zegar będzie szedł, gdy i was już nie stanie. Mój zegar i mój dzwon...

A renesans zakwitał coraz nowymi kwiatami — życiem młodych, gdy starzy odchodzili. Rzekami płynął szerokimi, wyszywał strojne arrasy, pisał wiersze o Bogu, niebie — a przede wszystkim o ziemi.

Mowa polska uczyła się od lasów i rzek swego poszeptu świeżego. Z Czarnolasu, z sosnowego boru, wypływała czystym, zimnym strumieniem, jak kochanie — może dlatego to imię od kachania jest — Kochanowski.

I — Jan. Jan, to imię poety. Ewangelista Jan. Imię polskiego ludu. Kryształowe wody jak słowo rozcinały ciemną zielen boru — lasu. Zorze żrały. Konie nozdrzami grały. Słowo — daleko i słowo: wysoko, i słowo: głęboko. Polskie słowa.

Ziemia. — Deszcz. Ogień. — Czar. Burza — dom. Żyć — być. Oczy, warkocze i noc. Kwiat i świat — to ślad.

Przez puszcze mazowiecką, niezgłębioną, jechało się z Krakowa do Wilna i z Wilna do Krakowa — na szlaku panowania Jagiellonów.

Przez puszcę mazowiecką, niezgłębioną, jechało się z Krakowa do Wilna i z Wilna do Krakowa — na szlaku panowania Jagiellonów. To był teraz nieustanny, skrzypiący kołami wozów i karet szlak — lub dzwoniący kopytami koni — przez piaski głębokie często ta droga szła, dobra po deszczu, zła w posuchy, jakby grunt pustyni. Tą drogą jeździł teraz często Zygmunt August, koronowany za życia swego ojca na króla.

Był paziem, choć minął mu już wiek pazia — był teraz dorosłym mężczyzną; zepsuły go piękne kobiety i piękno aksamitnego wnętrza sztuki włoskiej — włoskiego nieba pod ołowianymi chmurami Litwy.

Droga, którą przebywał teraz często Zygmunt August w kolasie, przepięknymi końmi królewskimi na postojach — już nie była lennem królowi, księstwem mazowieckim, którego księżęta mieszkali w zamku pod Warszawą, położonym nad środkową Wisłą, w mazowieckiej puszczy — księżęta mazowieccy. Księstwo mazowieckie, a z nim i droga teraz wieczna krakowsko-wileńska młodego króla bez tronu, królującego dotychczas w wielkim księstwie litewskim — przyłączone już były do Korony.

Brzegi Wisły środkowej zalesione puszcza gęstą — które mijała droga królewicza — miały w piaskach gęste zarośla, wzgórzowe wyniesienia, dzikość egzotycznego kraju, archaicznego Mazowsza, pomieszanego plemiennie z krwią litewsko-ruską, na podłożu zmieszanej krwi jądźwińsko-słowiańskiej. — W lasach tych piaszczystych nadwiślańskich panowały szumiące, skwarne lata, i pustynne, srogie — ku północy już bliskie — zimy.

Do Wilna spieszył się zawsze Zygmunt August.
Wilia, rzeczka srebrna.

Wspomnienia pogiedymínowskie.

Drzewo genealogiczne Jagiellonów rozrośnięte było silnie — przeznaczeniem jego były trony. — Moskiewskie gałęzie carów wywodziły się też od Giedymína.

Wilíá, rzeczká srebrná — a nad nią zielone, gęste, bujne ogrody radziwiłłowskie w księżycu.

Ogrody te tonęły w księżycu — w nocé księżycowe.

Ludzie tęsknili na świecie do nowego widzenia Boga, rozum ich tego wymagał i pożądanie świeżości uczuć — odnowienia ich życiodajnego działania — jak deszczu w czas posuchy.

Chcieli śpiewać nowe pieśni religijne, które i nutą i słowem odzywały w nich uczucia, zawsze te same, lecz wymagające nowych form. Było z tym jak z poezją, jak ze sztuką. Wieczność trzeba odnawiać w jej doczesnych formach, aby żyła — by była obecna w każdej chwili w nas.

Religia szukała na świecie nowych form — jak poeta szuka wciąż dla siebie formy nowej. Powracała do swoich źródeł, jak poeta powraca do jakiegoś leśnego czy polnego źródła, które płynęło gdzieś przez kraj jego dzieciństwa i marzenia — do Pisma powracała Ewangelicznego, które szemrze jak nieprzebrane i nie wiadomo skąd, chyba z głębi duszy ludzkiej, wywodzące swój tajemniczy, podziemny czy też nadziemny początek, źródło. Reformatorzy religij byli zawsze naprzód poetami — i prorocy i ci, którzy walkę szaloną wydawali światu starych, dostojnych form.

Duch Mahometa, poety, prowadził zastępy tureckie wciąż naprzód — obiegli Wiedeń. W Niemczech przyszło wyznanie augsburskie, pozbawione malarstwa, pełne myśli skupionej w świat żyjący. We Francji, tęskniącej wciąż na próżno do anielstwa — wystąpił Kalwin, przypominając galicyzkom ich anielskie, spychane wciąż dniem codziennym pod ziemię — tęsknoty. I broniła się silnym wyrazem klasyczna nauka rzymska, druzgocząca prawnym systematem natchnienie poetów — jako szal młodoci niedoświadczonej — powstawał zakon ojców jezuitów, którzy poznali świat, a poznawszy zrozumieli jego wahania, podloty i upadki, — zajmowali powoli świat formułami gospodarstwa duchowego, dyscypliną spraw doczesnych, odkładając dla wtajemniczonych perły myśli — by nie rzucać ich pomiędzy wieprzowatość nieszczęsnego ludzkiego stworzenia, które chciało być wolne w swym narodzonym z sumienia odnowieniu. Powstawała nowa instytucja rządu dusz — trybunał św. inkwizycji, na klasycznych podstawach murów rzymskich, w otoczeniu

różnych ogrodów cesarów, przy wznowionym akompaniamencie kościelnej muzyki i wspaniałości średniowiecznej.

Słońce wschodziło i zachodziło.

Obracało się dokoła ziemi.

Wieczorami patrzył przez szkła stary uczony ksiądz, w czarnym ubraniu, na niebo usiane gwiazdami. Patrzył w jego wysokość i spoglądał na niskość swoich cyfr i rysunków na papierze, który leżał przed nim na sosnowym pulpicie. Za oknami pachniała wiosna. Niebo było ogromne, niezmierzone. Za oknami, na ziemi, panowało codzienne życie — w niezliczonych a powtarzających się wciąż swoich odmianach. Wabiło do siebie, przyzywało — starego uczonego, księdza Mikołaja Kopernika.

Czytano już po świetle jego rękopisy — o obrocie niebieskich ciał. Czytano je jako heretyckie, które na podobieństwo samowwężnego wodza Jozuego ze Starego Testamentu — powstrzymywały słońce.

Kopernik myślał:

W Toruniu rodzinnym Wisła jest bardzo szeroka. Tak szeroka jak ta mleczna droga na niebie, ukazująca się teraz moim szkłom. Ziemia obiega słońce — jest jednym z tych pyłków gwiazdnych świata nieba — i kto widzi ją, jak my widzimy gwiazdy?

Północ była w pokoju.

Wiosna szumiła na dworze. Astronomowie Europy widzieli nieskończone konsekwencje, wypływające z tego, że ziemia dookoła słońca, a nie słońce dookoła ziemi się obraca. I inni ludzie, władający myślami i czynami świata — wyciągali — w tajemnicy — konsekwencje z tego polskiego odkrycia gwiazdowego, które było podobne do gwiazdy Magów, prowadzącej niebem po ziemi do Nowego Testamentu ludzkości.

Kopernik wyszedł na miasto. Za nim zostały księgi i gwiazdne rozrachunki na papierze. Noc płynęła nad Frauenburgiem cicha. Gwiazdy wiosenne mrugały. Ścieżką chodnika szedł ksiądz Kopernik, grzęznąc wysokimi butami w wiosennym błocie miasta Frauenburga, rezydencji biskupa warmińskiego.

Nie patrzył w niebo, patrzył na ziemię błotnistą, w której zalewistych kałużach odbijał się księżyc polskiego XVI-go wieku. Księżyc ten był młodszy od dzisiejszego księżyca o cztery wieki.

Kopernik wszedł na rynek, podchodził do gotyckiego kościoła. — Katedra frauenburska, w której sądzono mu było być niedługo pochowanym, była teraz zamknięta. Była godzina popołudniowa.

Kopernik poszedł nad zatokę Fryską, o szumiącej, bałtyckiej wodzie.

Drząc z świeżego wiosennego majowego powiewu nocy — usiadł nad brzegiem zatoki morskiej i siedział.

Doczekał się wschodu słońca nad tą zatoką bałtycką, jak kiedyś doczekał się go nad Wisłą podkrakowską — gdy po raz pierwszy w życiu wynurzyła się mu w natchnieniu pewność matematycznych rachub i widoków astronomicznych — że nie słońce wschodziło nad ziemią, lub zachodziło pod nią. Nie wschód słońca to był — tylko wschód ziemi.

I teraz patrzył Kopernik we wschód ziemi do słońca, w podnoszenie się jej pod kątem jasności — w dzieńne światło.

Mówił do siebie szeptem, siedząc na brzegu bałtyckim, na kamieniu, w majowy ranek:

— To co odbiera sen, to musi być prawda. Świeca bezsenna gaśnie po dokonaniu swego przeznaczenia. Samson oparł się o kolumny i siłą swych ramion obalił pałace piękne z marmuru, sam ginąc pod kamieniami błędnego świata. Książki spełniają rolę człowieka, różnych ludzi, których spotyka się w życiu — są one listami, pisanymi do ludzi, bez podawania adresu ich.

Oparł głowę na kolanach i myślał:

— Cisza dokoła. Śpią jeszcze ludzie. Jak daleko jest nauka uczonych od życia żyjących. Nie można nauczyć się żyć, można tylko nauczyć się rezygnować z życia.

Morska woda falowała jednostajnie.

— Ciała niebieskie są jak ciała ludzkie, śmiertelne. Nie znają swego końca, choć mają swój koniec. Obracają się w instynktownym, jak ludzie kierunku, za siłą przyciągającą i oddalającą, za życiową energią świata — jak ludzie. Czyż możliwe byłoby zwracanie się z interesami do osób umarłych, które już przestały być siłą. Dla myśli uczonego — byłoby to niemożliwe, wbrew wierzeniom ludzkim w astrologię. Nazywamy tylko to po imieniu, co znaleźliśmy — ułomnymi oczami i myślą ułomną — astronomowie, nazywacze gwiazd, nie twórcy ich, lecz tylko nazywacze. Nie istnieje nic, co nie istnieje. Nie istnieje natchnienie nawet — choć istnieje...

Dzień wstawał nad codziennym Frauenburgiem, jak co dzień...

— A może jak nigdy...? — pomyślał Mikołaj książdz Kopernik, wstając z kamienia nad zatoką i kierując się ku miastu — a myśląc o niepowtarzalności żadnej chwili w maszynierii ponadczasowej — nie wiedząc jednak, że tych chwil zostało mu już bardzo mało, na tej puszczanej w ruch przez niego samego, ziemi.

Słońce biegło już w górę — nie, to ziemia tak do słońca biegła.

Tego ranka, po dniach i nocach jazdy, przyjechał do Wilna z powrotem młody król. Z niewielką różnicą czasu był widzialny Zygmuntowi Augustowi z okien karocy podróżnej, na pasach rzeziennych kołyszącej się, wschód słońca — widziany przez Kopernika w Frauenburgu.

Król jechał z wielką tęsknotą, każąc silnie popędzać sześć koni świeżych, biegnących przez wiosnę majową — do stolicy wielkiego księstwa litewskiego, Wilna.

Gdy wieczór zapadł tego dnia, śpiewały w ogrodach radziwiłłowskich słowiki.

Zaczęło się to od wileńskich radziwiłłowskich ogrodów. Wilia, rzeczka srebrna. Drżały drzewa topolowe sennym drzeniem. Na stawie pływały czarne łabędzie — ubierającej się czarno, w czerni aksamitną wdowieńskiej żałoby — Barbary z Radziwiłłów Gasztołdowej.

Jej mała drobna noga stąpała po świeżej trawie, obuta w czarny, na wysokim obcasie bucik z miękką cholewką. Piękna młoda kobieta, okryta ciężkim czarnym szalem, miała suknię czarną aksamitną, głęboko wyciętą na piersiach, które odkryte prawie, bieleły i falowały wezbranymi uczuciami.

Zygmunt August przez ogród szedł z Barbarą, oplótszy prawym silnym ramieniem swym miękkim jej cienką i giętką i poddającą się kibić. Usiedli na ławce.

Jagiełło i Radziwiłłówna — te dwa nazwiska związane są miłością.

Umarł ojciec Zygmunt Stary, do Krakowa przyjechał na tron syn.

Moskwa wzrastała w wielkie groźne siły, pod carem Iwanem IV Groźnym. Wołga wytoczyła jej nowe azjatyckie szlaki. — Gdzie Polska? Jaki jej obraz? Czym są Polacy — czym byli i czym mają być? — Modrzewskiego o Rzeczypospolitej literatura, Kromera o pochodzeniu i czynach Polaków dzieje — przenikają reformackie prądy do szlachty polskiej, coraz więcej polskiej, coraz bardziej czującej się odrębną w tym imieniu — Polaków.

Sprawy ogromnych polskich ziem zajęły króla kochanka i wyrwają go namiętym ramionom ukochanej żony, Barbary.

Barbara. — Różnie o niej mówili, jak o ludziach, o których mówi się wiele.

Barbara nie żyła długo królową polską, umarła w pół roku na Wawelu. Przeniesiona w trumnie do Wilna.

Król szedł piechotą za czerwonym karawanem żony, podjeżdżał karocą, znów wysiadał, i znowu na nogach szedł. Nie udało mu się ukryć płaczu, którym zanosił się, rzucając się w zamkniętej karocy na poduszki. Potem łyż mu osychały znowu i znów wysiadał, ze spuchniętymi, ale suchymi oczami i szedł piechotą za jadącą powoli, w wysoko ustawionej na karawanie trumnie, Barbarą — śp. (mówiono) Barbarą, a on myślał — rozkochanej wciąż pamięci, Barbarą.

Tak to — miłość i śmierć — robiły swoje żniwa — wszędzie — robiły, robią i będą robiły zawsze, po ludziach.

A tymczasem były czasy elżbietańskie w Anglii. Pojawił się po raz pierwszy w Europie tytoń. Inflanty poddały się Polsce — z tego zaczęła się o nie wojna z Moskwą. We Francji rozpoczęły się wojny religijne, a w Polsce jednocześnie ukazała się radziwiłłowska biblia protestancka — tegoż roku utraciła Polska Połock na rzecz Iwana IV Groźnego, cara moskiewskiego, ale Inflanty utrzymała.

Są to lata urodzin Williama Szekspira w Anglii, a w Polsce działania kardynała Hozjusza z jasną złocistą brodą i złotymi myślami złotego środka na ziemi. Nad Hiszpanią zapanował Filip II, fanatyk i mistyk katolicki, hiszpański Iwan Groźny, inkwizytor sam i sam sługa św. inkwizycji — płonęły stosy czarownic hiszpańskich i heretyków, budowano wspaniały granitowy Eskuriał, kościół Filipowi, w którym życzył sobie być pochowany, a książę Alba hiszpański nie uśmierzył swymi drańskimi środkami powstania w Niderlandach. Są to jeszcze czasy narodzin przyrodnika Galileusza, a Mikołaja Reja — już „żywot pocziwego człowieka”.

Słońce renesansu wchodziło w czerwień przepyszną i tragiczną swego kopernikowskiego znieruchomienia, a ziemia krążyła wkoło niego, otoczona przezroczystą atmosferą, przez którą nie było jednak widać gwiazdom prawdziwego życia tej ziemi.

Zapadał jakiś zmierzch — jak tyle bywa zmierzchów, w życiu wieków i w wieku życia człowieka.

Nie jadł król, znów tego wieczoru, wieczornego posiłku, napił się tylko ze złotego kieliszka złotego wina kilka kropel. W zamku wawelskim była wciąż żałobna cisza, której król nie chciał przerywać, — jak by lubując się w niej, w tej swej żałości.

Sny mu, jeśli przychodziły, dawały złudę życia Barbary, — rozmowy z nią i delikatne, jakby już zaświatowe — nawet we śnie — pieszczoty. Na jawie za to popadał w zmysłowe halucynacje, zupełnie cielesne już, pozbawione poświaty zaświatowej. Przymykał oczy i widział jej ciało koloru mleka, słyszał jej kroki szelestne po pustych komnatach zamku... ukazywała się mu nagle na ganku, w przezroczystej nocnej z surowego białego jedwabiu, powłóczystej koszuli — prześwietlona światłem księżyca — jak naga, jak w pełni swego cudnego ciała — to znów nagle — w szkielecie swym — straszliwa — szkielec już kobiecy, wizja śmiertelnej mary...

Wtedy krzyczał. Zbiegała się służba.

Targał swą już długą czarną, srebrniejącą miejscami brodę, król, a oczy miał straszne i rozszerzone przerażeniem. Mówił: — Nic to. Nic to...

Dawano mu konia — wyjeżdżał. Jechał za miasto ze sługami swymi. Polował w puszczy Niepołomskiej. Coraz częściej odjeżdżał — w życiu — do Knyszyna na polowania; pod pretekstem polowań — jechał nad knyszyńskie stawy, żeby być bliżej wspomnień o Barbarze, które zżerały mu uchodzące z każdą nocą życie.

Nikogo po sobie nie zostawiał, bezpłodny, ostatni z krwi Jagiellonów — nikogo, oprócz niezgaszonego płomienia miłości, którego nie mógł za życia ugasić.

Wspomnienia jego o niej:

Bywa a rzadko to bywa — że wspomnienia miłości wszystkich cielesnych i jakby nadcielesnych — wiążą się z jedną kobietą. Tak było tu. Zamyka oczy August. Widzi ją — miłość w przeróżnej odmianie...

Ze złożonymi na piersiach rękoma stała przed nim, z pochyloną na bok głową, z włosami jak czarny płaszcz, rozpuszczonymi. W jej oczach nieustanna wojna i pożar, tylko widziane są jakby zza mgły. Jest podobna chwilami do śnieżnobiałej arabskiej klaczy, która ma wroną, aż siną w czerni swej, wielką grzywę. Jest podobna sekundami do wysokiej wysmukłej wilczycy, która wyje do księżyca cicho, a potem chrapliwie szczeka, zgrzytając ostrymi perłowymi zębami i umiera i zamiera, jak trafiona śmiertelną strzałą. Czasem pali się żywa, jak stóg siana, zbity, sprasowany, parny, jak parzące się samo swą ciepłotą i durmanem i haszyszem upijającym, siano. Żrenice jej rozszerzają się szeroko i patrzą wtedy w Augusta wołaniem, tęsknotą i przyciąganiem wężowym, które usypia i odbiera siły — hipnotycznie. W burze — w pioruny i błyskawice, w deszcze monotonne,

w zacisza wieczorów letnich rozgwieżdżonych na niebie — przypominają się rzęsy, śpiące, przymknięte, budzone ze snu rannym, świtowym pocałunkiem.

W bieli — ukazała się. Jest ciemność. Pada deszcz za oknami jesienny.

Porozmawiam z tobą:

— Pamiętasz...?

— Świeca wtedy zgasła. Siedziałas ze mną milcząca. Położyłaś mi na ramię swą kochaną głowę. Za oknami jesienny deszcz padał. Wiedziałem, że to nie duch ze mną w ciemnościach siedzi i milczy, tylko ty, kobieta moja. Było zimno w zameczku knyszyńskim, zamarała za oknami, jak wielka łąka, dwoisty staw. Siedzieliśmy przytuleni do siebie, otuleni ogromnym futrem z białych niedźwiedzi polarnych. Powiedziałaś do mnie: — Kochany. Gdyby tak w grobie razem być — otulonymi w białego niedźwiedzia. I mówiłaś mi bajkę o niedźwiedziu białym, który pływał wśród białych lodów w białym morzu, pod białym niebem, zasypanym białymi chmurami, które miały smak śniegu, gdy go włożyć do ust i gdy go jeść. Jedyna to była noc, gdy myślałem o śmierci bez strachu. Trzymałaś w swych małych, białych ciepłych dłoniach moją twarz, a ja słuchałem jak biło twoje serce w delikatnej twej i nagiej klatce piersiowej — i czułem jak żyło twe życie w przelotnych płochliwych dreszczach twej śnieżnej skóry, która nie miała smaku śnieżnych chmur jak w bajce — tylko smak zgrzanej w słońcu słodkiej i złotej niby brzoskwini, młodej i twardej i atłasowej puchem kwitnącego lata. Skóra niedźwiedzia była białym polem — czy pamiętasz, jaki szum to pole miało, wtedy — gdy zmęczył się twój cichy głos i zmęczyła się nasza głośna krew — gdyśmy razem smakowali śmierć — i modlili się o nią tak razem: Śmierci, przyjdź! Nie rozdzielaj nas! Nie rozdzielaj nas!

— A rozdzieliła...

Król Zygmunt August trzymał krzyż czarny w ręku z białą, z kości słoniowej, figurą ukrzyżowaną Chrystusa, i wymawiał słowa przysięgi — w Lublinie.

Świat tonął w wieczornych rosach. Trawy już pachniały przecuciem gnijącej czerwonej jesieni.

Podczas aktu unii lubelskiej panowało skupione milczenie.

Słuchano dźwięcznego głosu króla, głos spadał w rytmicznej kadencji języka staropolskiego, w budowie zdań, które miały słowiańską rozlewność i lechicką zwartość, opatrzone rzymskimi klamrami — umieszczanych na końcu zdania czasowników.

Po Polsce płynęła czerwona, i jeszcze gdzieś złota jesień. Po ziemi brzmiał język, jak dzwon o kształtach renesansowych, rozkwitniętych, bujnych, język poezji Janów Kochanowskich i język prozy Mikołajów Rejów — posrebrzany łaciną — wojenny i miłosny język polski.

Złoty wiek złościł się — na czarnej ziemi, w zielonych lasach, w siwych rzekach, w sinym morzu, w srebrnych polach — skrzypiały wozy polskich dróg, ziemia pachniała jesienią, zbiorom, zbożowymi stodołami, głośna cepami na klepiskach, ostrzeniem kos...

Polska z Litwą (i Rusią) leżały na ziemi wspólnej, którą poczynął zasypywać biały pierwszy śnieg — pierwszy po unii lubelskiej — jaki był przedtem i potem — i teraz — na granicach podlaskich Litwy z Polską.

Jak skończyła się Polska piastowska, tak kończyła się jagiellońska.

Jak skończyła się Polska piastowska, tak kończyła się jagiełłońska. Wygasła jedna i druga rodzina, których dziedziną był tron. Wysiliły się — obie — królewskimi urodzajami, aż przyszedł na obie ugór, bezpłodny grunt dla nasienia. Wysiliły się — obie — ostatnimi swoimi roślinami Kazimierza Wielkiego Piasta, druga potężną marzycielską czarnobrodego Zygmunta Augusta Jagiełły.

Zaczynała się rzeczpospolita szlachecka, z obieralnym królem.

Na rok przed śmiercią Zygmunta Augusta, w roku urodzenia astronoma Jana Keplera, — po śmierci Jana Zapolyi został księciem Siedmiogrodu wołoskiego, podwęgierskiego, czarnobrody ciemnolicy, z błyskami w czarnych oczach południowo-wschodnich, książę Stefan Batory. Wywodził się z tego rodu węgierskiego, który zasłynął potem w Europie klasyczną sadystką, Elżbietą Batorówną — uprawiającą na swym książęcym dworze seanse udręki i mordowania (setkami) kobiet młodych i dziewczyn; ich krew używana była do celów kosmetycznych.

Księżna ta, z gorącej krwi węgierskiej, była synowicą nowego księcia siedmiogrodzkiego, Stefana Batorego.

Ale przedtem — zanim książę siedmiogrodzki stał się królem polskim — żyły w Polsce inne próby królewskie.

W roku śmierci Zygmunta Augusta wybuchła w Paryżu rzeź krwawa po domach i po ulicach — w nocy św. Bartłomieja, odśpiewana potem w operze „Hugonoci”. Rzeź hugonotów — w której młody Henryk książę Walezy, brat króla francuskiego, brał żywy i czynny udział uganiając na białym swym koniu, galopem, z obnażonym rapierem w ręku, z rozwianym pod wiatr czarnym płaszczem — po ciemnych, chyba pożarami rozjaśnionych ulicach stołecznego Paryża. Był to rok francuskiej czwartej

wojny religijnej — katolików i protestantów — pełen burz, gwałtów i namietności.

Rok ten leciał — nie włókł się jak bywa — leciał na skrzydłach czarnych śmierci, buchając z nozdrzy ogniem płonących wsi i miast. Gdy przeleciał nad całą Francją, znacząc za sobą strach i popiół, jeden z jego najzawziętszych jeźdźców — uzbrojony w wytworny lśniący rapier, jakimi posługiwali się rozkoszni rycerze renesansu późnego, ubrany przy czarnym hiszpańskim stroju w białe kryzy u szyi i u rękawów, ozdobiony w perłowe kolczyki i w złotą kolię — został obwołany na polach pod Warszawą, w głosowaniu województwami i chorągwiami, na zbrojnej elekcji, pod gestymi — na wietrze silnym — namiotami — został wybrany i obwołany światu królem polskim — Henryk Walezy, książę Francji, jeden z pięknych młodzieńców swego czasu, uwodziciel i pojedynekowicz, i bohater owej nocy hugonockiej krwawej.

Gdy przyjechał do Polski — widział lasy — nasłuchiwał się już dawno o tym kraju, jako o kraju niesamowitych polowań na egzotyczne, baśniowe stworzenia. Przywiózł ze sobą z Paryża dwa myśliwskie drapieżne sokoły, z którymi zamierzał polować na stawach polskich — na łąbędzie — nade wszystko na łąbędzie. Miał pociąg niezwykły do łąbiedzi, do mitologii helleńskiej, i do kobiet o łąbędzich śnieżnych łonach. Przynosił w posagu Polsce sojusz z Francją; francuski orszak wojskowy królewski, skrzynię złota na wydatki dworskie — i chętny podpis zgody na formalne zastrzeżenia natury szlachecko-lokalnej — jak to czyni się w stosunkach z dzikusami, uznając na początku wszystkie ich namietne a nieszkodliwe przywiązania zwyczajowe i kultu. Król Walezy podpisał wtedy swe „artykuły henrycjańskie” — *pacta conventa*, odmachując się drobną urękawiczoną dłonią od dyskusji szczegółowszej nad nimi.

Polowania były, i łąbędzie, i polskie kobiety jak łąbędzie. — Kraków renesansowy polski brzmiał muzyką i tańcem francuskim. Ale pamiętał Walezy, przesądny młodzieniec złoty, przepowiednie swej matki — gdy opuszczał Paryż:

— Wkrótce wrócisz i tak. Po co ci te sokoły?

Polska — w oczach króla Francuza, zachodniego kawalera wieku — wydawała się życiem wschodnim, zsarmacona stepami wschodnimi, ciężka poczuciem swej leśnej ociężałości i tajemniczości. Wolność tu panowała złota, rozkoszna dla wolnych, przekłeta dla tych co byli poza nią. Jeździły szalone kuligi w białą polską północną zimę, rozdzwonione dzwonkami na koniach i

u sań, oświecane smolnymi pochodniami. Kuligi, gonione przez stada głodnych wilków — płynące śniegiem jak morzem — w księżyc — w gwiazdy — rozśpiewane, rozgrane, rozhukane, dzikie. Rzadkie dwory w pustyniach śniegowych i leśnych. Biedne chaty, tonące w śniegach, — ucieczki wilcze — osady i wsie, pachnące ciepłym bytłem.

Jakież w tym wszystkim był sens? Król napił się polskiego kwaśnego żuru i myślał o słodkiej Francji, która ma winnice i dobre drogi rzymskie, pamiętające Juliusza Cezara.

Król francuski, brat Walezego, którego portret był powieszony na ścianie na Wawelu w sypialni nowego króla polskiego — nagle zmarł — zmarł ten, co oto patrzył teraz na Henryka Walezego oczami portretu. Król polski pomyślał po francusku, przeczytawszy tajny pakiet z Francji, który dziś przybył konnym dworskim kurierem, przez całą Europę dążąc — na wschód, do Polski, do Krakowa.

W pakiecie była sprawa, wzywająca króla do Paryża. W pakiecie istniało zagadnienie, otwierające przed Walezym spadek po zmarłym królu francuskim — ozdobny tron i zachodnio pociągająca, osierocona korona francuska. Szanse Henryka były bardzo mocne — pisała o tym do niego jego matka, która kilka zaledwie miesięcy temu, wyprawiając syna do Polski na tron, jadącego tam z sokołami — jak na jedno nieustanne polowanie — mówiła i wróżyła, że niedługo powróci do niej znowu. — Zdecydował się i wykradł się z Krakowa.

Uciekał z Polski do Francji.

Doganiali go.

Potem został, we Francji, królem Francji.

— Pojechał? — pytali.

— Nie wróci? — pytali.

— Co będzie, co będzie? — pytali.

Skąd — z węgierskich stron, i z ciepłej Wołoszczyzny przyjechał nowy król.

Kopyta koni węgierskich, które przybyły w orszaku Batorego z Wołoszczyzny, dudniły już po krakowskich mostach drewnianych i kłapały po błotnistych ulicach. Na jednym z tych koni jechał młody oficer kawalerii, Iwan Machno, z Wołoszy (przodek i założyciel rodu, z którego wywodzi się tej książki autor).

W Polsce padały deszcze, była zimna wiosna. Batoremu pogoda polska szkodziła na chorą nogę. Wspominał sobie boski klimat swoich rodzinnych stron.

Kopyta koni wojsk Batorowych ślizgały się na polskich dro-

gach i śliskie były drogi rządzenia na początku. W układach, zgodach i ugodach poruszało się wszystko na miejscu. Nie ruszało się naprzód nic.

Król zamykał się często we dwóch z kanclerzem Janem Zamojskim.

Batory i Zamojski siedzieli przy wielkim dębowym stole, nad mapą Europy.

Gdzie były lasy, tam narysowane były kępki drzew, gdzie błota i moczary — tam narysowane były różnych kształtów plamy niby kałuż; gdzie miasta — tam rysowane były zamki i jakoś murów i ilość obronnych wież, i ich wielkość stosowana do rzeczywistej siły i wielkości, i strategicznej ważności.

Nad mapą, która wyobrażała układ stosunków ówczesnej Europy, jej swoistą wojenną równowagę, wzrokowe możliwości zmian — kształtowań, zaokrąglania i dopełnień granic — myśleli i mówili król z kanclerzem. Nie mieli przed sobą tajemnic — na tej mapie.

Zamojski pochylił głowę, w ukłonie nad stołem.

— Pomiedzy nami a Moskwą idzie od jakiegoś czasu — mówił król Batory po łacinie — idzie i nie ustaje w chodzie, podchodowa wojna o wschód całej Europy. Trzeba rozgraniczyć tu sfery wpływów. Posuwamy zachód na wschód, cywilizacyjnie, gdy Moskwa posuwa na zachód swój barbarzyński wschód.

Zamojski potakiwał głową. Król mówił, wpatrzony w mapę:

— Dziwne najwięcej, *mirabile*, że wojuje się z tym zawsze, kogo się w duszy uznaje. Gdy kogo polubisz, bijesz go. Dla mnie Moskwa ma w sobie wiele czarów miłych — to kraj, który można by było od nowa zbudować. Tam są po temu dane, większe niż u nas. Tam jest strach, który najlepiej prowadzi zbiorowość ludzką w jakichś paru pierwszych pokoleniach do celu. U nas nie ma strachu. U nas mówi się: strachy na Lachy.

— Wasza Królewska Mość — odezwał się, przeczekawszy pauzę kanclerz Zamojski — mnie, jako z krwi Polakowi i Sarmacie wydaje się mniemanie królewskie opartym na pozorach polskiej duszy. W nas jest poczucie uwielbienia siły, tylko siły często brakowało, która by o tym dawała znać. Człowiek jest szczęśliwy zawsze wolnością i prawem wolności, ale są tu rozgraniczenia subtelne pomiędzy człowiekiem jednym a człowiekiem w ogóle. I to jeszcze...

I dalej tak rozmawiali:

— Z kim się dzielić władzą? — mówił król — władzę się bierze, a kto ją weźmie, ten nie może już puszczać. Nie wolno tylko przegrywać. Polacy są anarchistycznym plemieniem. Trzeba

uczyć ich dyscypliny. Cara im trzeba, satrapy. Nam nie wolno cofać się przed zabijaniem, bo my tworzymy zwycięstwa, a nie wypadkowe zdobycze, średnie fakty. Trzeba, żeby zrozumieli, że od liberalizmów swych, leniwych właściwie i niezdarnych, prowadzić ich będę do siły, która im przeciw zostanie, a nie mnie. Na diabła mi ona, jeśli by nie to, że ja ich uczę. Chcę, żeby byli silni, żeby ten naród i kraj, to państwo przeze mnie robione z miękkiej gliny jeszcze, było silne — swoboda dopiero w sile. To tak jak z jednym człowiekiem, nie ma zębów wilczych, zjedzą go.

Zamojski patrzył głęboko w króla swymi jasnymi, zimnymi oczami. W królu palił się ogień władzy i siły, w kanclerzu lśniła stal myśli i planowania. Mówił:

— Jesteśmy, Wasza Królewska Mości, my Polska, jak podróżnik na pustej drodze, zagrożony przez dzikie zwierzęta i zbójców zorganizowanych w bandy. Jest jedna rzecz, dla której Polak rezygnuje z swej ochoty do bezgranicznej wolności, to wojsko, jako prawo do życia pełnego. W tym kierunku Wasza Królewska Mość, intuicją wiedzona, poszła od początku.

Żar z pieca gdańskiego buchał na pokój wawelski. Król rozpiął swój biały węgierski żupan na piersi. Okna były zamrożone wzorami paproci zimowych.

— Wyrównujemy — mówił Batory — wyrównujemy, z tobą, panie Janie — światła i cienie, które padają na tę mapę, zakapaną woskiem od świec. Patrz, jaka to na mapie naszej wąskość, koło morza. Patrz, jaka nierówność tutaj, wahająca się, ku północy. Tam, gdzie prowadzę palcem — tam się znajduje gniazdo żmij. Musimy w tym miejscu mieć uzbrojone plecy. Stąd musi rozciągać się wielkość Polski, jako koncepcji politycznej w Europie. To są dzisiejsze czasy, ale one wybiegają daleko, w czasy przyszłe. Trzeba skończyć bajkę o polskiej nieumiejętności rządzenia się u siebie, wykrzesać iskry z tych podków, które są i ciężkie i silne i z animuszem umierać umiejące.

Zamojski dopowiadał:

— Polska zawsze była rycerstwem, lecz jej często brakowało wodzów. To był zawsze rycerski zakon, któremu potrzebny był wielki mistrz z ręką jak miecz. Rozum rzymskiego obywatela rzeszypospolitej, dbałego o troski całości ojczyzny, kojarzy się w nas z zagończykami wschodu. Zrównoważyć to — wasza rola, królu. My instynkty mamy po temu dostateczne, Polacy, by budzić się co jakiś czas z uśpienia. Trzeba nam raczej nie dać zasypiać nawet na krótko, nauczyć nas regularności w walce, nie słomianego ognia — uporu i wytrwania.

Krół przerwał:

— Spróbuję tego uczyć, choćby okrutnymi batami.

Zamojski powiedział na to:

— Ojcowskie prawo chłostać dyscypliną i przygadywać za co — dla nauki — ojcowskie prawo twarde a wiodące do celu najskuteczniej — niedorośle do czystych słów i dojrzałych obcowości świata — pokolenie.

W izbie białoruskiej stał kwaterą król Batory, pod Połockiem.

Straż strzymały oddziały kozaków rejestrowych, — na swych dzikich koniach przyjechały one z Siczy zaporoskiej, od Dnieprów porożów.

Były to czasy Kochanowskiego i Batorego w Polsce, a w Rosji czasy Iwana Groźnego i Jermaka, poczynającego podbijać swymi konnymi rozbójniczymi napadami niezmierzone stepy i tajgi syberyjskie.

Rąbano las — w pochodzie wojsk polskich na Moskwę. Piechota wybraniecka, wielkimi toporami, je rąbała, przerabując Polskę na północny wschód. Już padł Połock i padły Wielkie Łuki — bitwy prowadzone pod kierownictwem samego króla i kanclerza — hetmana Zamojskiego — były krwawe, padał śnieg — po lasach rosyjskich wiała wiatrowa surowa zima,

Przy ogniskach grzali się ubrani w futra wojskowi mężczyźni. W namiocie króla przebywał od jakiegoś czasu legat papieski, jezuita o chudej i ciemnej twarzy. Wojsko Batorego było utrudzone wojną, ale wciąż niezwalczone, o potężnych barach ludzie, na ciężkich husarskich i pancernych koniach, a piesze chłopstwo ubrane i uzbrojone mocno z królewskich pieniędzy, prowadziło zimową kampanię niestrudzone.

Noc płynęła nad namiotem królewskim w szczerym śnieżnym polu, w surowej zimie. Konna służba kurierska przyjeżdżała pod namiot i galopem, rozrzucając śnieg, gnała z kagańcem płonącym, w noc, w śnieg, w wiatr — z rozkazami naczelnego dowództwa.

Czasy „Odprawy posłów greckich” — umarła Urszulka, ukochana córka Kochanowskiego, wyszły jego o niej smutne „Treny”.

Zawierała Polska z Moskwą rozejm wojenny.

Kraj sądził się, po Wielkopolsce i Małopolsce — trybunałami — kapały świece woskowe (z pszczoł, z ich wosku, z ludzkich ulów) — trybunały Batorego i Zamojskiego ustanawiały sądownie nowe w państwie. Kozactwo z Siczy zorganizowane przekształcało powoli tę rozbójniczą osadę Dnieprów w ochronę wschodnio-południowego stepowego pogranicza Polski.

Dnie, noce, tygodnie, miesiące, lata — święta i dni powszednie mijały — liczone już podług nowego kalendarza — gregoriańskiego. Wyprzedzały o dziesięć dni kalendarz dawny, popłatały się przysłowia ludu — wróżące z dni różnych pogodę.

W roku, gdy wyszła pierwsza książka o herbach rycerstwa polskiego („Gwiazda cnoty”), i gdy do Irlandii przyjechały pierwsze z Ameryki do Europy kartofle, umarł Iwan IV Groźny, car moskiewski.

Zawsze pomiędzy Polską i Rosją był ten pojedynek — albo jedna, albo druga trzymała w Europie Wschodniej rolę. Albo jedna, albo druga wtedy odgrywała swe znaczenie cywilizacyjne, albo jedna, albo druga musiała je odstępować.

Na mapie, z którą nie rozstawał się Batory, zmieniały się wojnami znaczone znaki. Zmieniały się w potęgę Polski, wytyczając jej kraj od morza do morza — jak kierunek. Miecz pisał tę mapę — na miejscu narysowanych kępek drzew na mapie wyrysowywały się rysunki nowych twierdz — granice zmieniały swą krzywą falistą linię, uwypuklając się na wschód północny daleko i do morza, z Gdańskiem, Pomorzem i całymi nadmorskimi Inflantami — w wielkich rozmiarach pisana była ta mapa.

W nocy, pojechał Batory na polowanie. Zaziębił się, miał gorączkę. To było pod Grodnem. Zmarł.

— Tyrania „Wilczych zębów” (herb Batorych) skończyła się... — powiedzieli Zborowscy, opozycja.

Zanim umarł — wyglądał tak pod koniec swego dziesiątka lat wielkiego panowania: futrzana batorówka siedziała mu pysznie na głowie, węgierska czarna czamara oblepiała jego tęgie męskie ciało.

Noc była wtedy ciemna, gdy przyjechał pod Grodno. Padał zimowy deszcz. W leśniczówce, w lesie, w głębokiej puszczy już, król położył się na tapczanie, by z niego nie wstać. W nodze miał całe życie ropę bolesną, w niepogodę ta rana go rwała. Teraz żary biły mu do skroni. Wył za oknami wicher, jak wilki. A może wilki?

— Tak, jak z wilkami całe życie użerałem się — myślał, czy mówił do siebie w silnej gorączce król, któremu lekarze przykładali lód do czoła.

— Jak z wilkami — bredził król — biłem się z nimi. Oczy ich na mnie patrzyły z trwogą i z nienawiścią zarazem. Mówili pewno — z wilków oswoić chcę sobie psy. Idioci

czyli nierozgarnięci, nieuczni. Na sejmach — pilnowali więcej swych futorów niż ojcowizny swej wspólnej. Zostawiam ich dalej w mroku.

Za oknami grudniowy świstał deszcz, wiatr wył, i było mrocznie.

Lekarz trzymał króla za rękę, macając i licząc puls.

— Czy konie już podane? Muszę jechać... — mówił król.

— W siodle mam pistolety, to na wilki. Zdejmijcie mi ten z głowy lód, zamroziecie mnie jak jakiego potwora dziwnego się zamraża, co jak hydra kilka głów ma, które się odradzają, gdy jedną ściągają. A tak, a tak... Odradzają się.

Król skłonił głowę na poduszkę. Mówił już bardzo cicho, siły mu słabły:

— Jeszcze pięć lat. Jeszcze by tylko jedna robota — pięciolatka. Dwie było — jeszcze by tylko jedna. Tyle zaczętego, którego przerywać nie wolno. Już idzie to, puszczane w wielki ruch. Jeszcze by z pięć lat to popchnąć. Wybić okno polskie, żeby zobaczyć Europę i żeby nas Europa, zatrwożona, zobaczyła takimi, jakimi możemy światu być — wielką siłą życia, siłą robienia nowych wieków zbiorowego życia.

A tu śmierć.

Przy królu modlono się. Potem zawieźli go do Grodna. W Grodnie Batory zmarł.

Zamojski mówił, że król ten był męczennikiem, choć widziano w nim satrapę Wschodu. Wojsko tylko płakało po nim, a wiadomo co znaczą łzy wojska, które umie odróżniać krew od łez. Wielkie państwo — w oczekiwaniu zmarło. Poczynali rozumieć ludzie, jak to w Polsce, że śmierć dopiero odkrywa człowieka. Że brak dopiero budzi siły zmarnowane.

Zamojski pamiętał to, co mówili ze sobą po nocach.

Tu przechodzimy powoli do baroku; renesans bujny przekształca się w barok przepychu.

Tu przechodzimy powoli do baroku; renesans bujny przekształca się w barok przepychu.

Przybliżają się czasy barokowe.

I w Polsce też (za Europą Południową i Zachodnią).

Pomiędzy Szwecją a Polską nawiązywały się związki krewne i krwawe. Szły lata wojen, długie, w dziesiątki lat ciągnące się, chroniczne wojny. Miasta polskie już inaczej wyglądają — twierdze tworzone są podług nowych przepisów strategicznych. Kościoły coraz silniejsze — katolickie, i czarna władza w sutanach staje się z każdym rokiem potężniejsza. Po Europie Zachodniej idą fale — razem z barokiem artystycznym — reakcji katolickiej. Uginają się trony pod wpływem polityki rzymskiej i wiernego jej, nowego, aktywnego niezwykle zakonu, o wzorowej rzymskiej organizacji — jezuitów.

Stolica Polski posuwa się z południa ku północy, bliżej do morza Bałtyckiego i bliżej — w przestrzeni kilometrów, setek kilometrów — do Szwecji.

W roku stracenia Marii Stuart, ściętej na szafocie, obejmuje tron w Polsce Zygmunt III Waza, Szwed, z dynastii panującej w Szwecji, syn szwedzkiego króla — z matki Jagiellończyk — z matki Katarzyny Jagiellonki, siostry króla Zygmunta Augusta. Jest ubrany w strój Stuartowski, nosi śpiczastą jasnozłotą bródkę, kryzę u kołnierza i u rękawów, sztukowane, bufiaste w ramionach rękawy, i szwedzką szpadę u boku. Mówi też po polsku. Jest mruk. Małomówny. Oczy młode ma niedowierzające. Czuje się jak normański wiking w krainie słowiańskiej, człowiek zza morza — tylko że przyплыł do Polski ze Szwecji na wspaniałym okręcie z flagami kolorowymi — pod rozwianymi królewskimi żaglami — a nie w łodzi normańskiej, jak pierwsi na

polskich rzekach wikingowie — i nie ma z sobą swoich drużyn uzbrojonych, które regulowały kiedyś ten kraj i jego ludność — dobrym mieczem.

Stolica teraz w Warszawie. Warszawa leży nod środkową Wisłą, na Mazowszu, wśród piaszczystej puszczy mazowieckiej. Jest już miastem silnym i warownym, ozdobna domami drewnianymi i ceglanyimi fortecznymi murami, oprócz ziemnych wałów.

Jest lato. Król Zygmunt III Waza chodzi w aksamitnym zamorskim stroju i nosi płaszcze przybrane futrem, mimo upałów. Nie rozstaje się ze swoją szwedzką szpadą, chyba gdy się — żarliwy katolik — w kaplicy na zamku warszawskim modli — albo gdy zajmuje się, w samotności — swym ulubionym zatrudnieniem — złotnictwem, zegarkami o tajemniczych maszyneriach — lub gdy z pomocą bliskich sobie ludzi, alchemików czarno-księskich — zastanawia się nad chemicznymi i alchemicznymi próbami w swym królewskim laboratorium na zamku.

Jest podobny młody Zygmunt Waza do starego Filipa II hiszpańskiego katolickiego, którego niezwyciężona armada, flota morska, poniosła niedawno klęskę — w wojnie nie tyle z angielską Elżbietą — ile z burzą morską, z straszliwym morskim orkanem, który rozbijał okręty płynące na podbój wysp angielskich.

Księżyc płynie nad Warszawą, nad warszawskim zamkiem Wazy. Polska kontuszowa zaczyna uczyć się chodzić pod szwedzką ręką. Kontuszowy monarchista, kanclerz Zamojski stał się znów, jak za swej młodości pierwszej, przed współpracą z wielkim Batorym — stał się znowu republikaninem rzymskim. Nie on teraz Polską rządził, tylko duchowne czarne szaty jezuitów, odwiedzające bez ustanku króla z obcej krwi — Lata wydają się królowi Szwedowi upalne w Polsce.

W państwie sztuki urodziła się pierwsza opera, napisana przez Włocha — na świecie, w Europie — tytuł jej mitologiczny „Dafne i Eurydice” — muzyka włoskich sopranów i tenorów, urodzonych pod błękitnym niebem — włoskie ptaki, jasny brzeg i kolorowy lud, rozśpiewany jak słowiki miłośnię, przez gardło każdego ulicznika.

Ziemia śpiewała swoją operę wieczną — Europa wikała się dalej, coraz więcej w instytucji rodzin monarszych i w podziale ziemie europejskiej pomiędzy te rodziny.

Zakutany w futro, w zimnym pałacu — zamku warszawskim,

król szwedzki i polski, Zygmunt Waza, patrzył na otaczających go ludzi z nieufnością i starał się odgadnąć ich myśli podług horoskopów, rysowanych mu przez stawiaczy horoskopów — uczonych nadwornych astrologów. To było w Warszawie — wszystko i na świecie całym: pod znakiem prorocत्व Nostradamusa, nie zawodzących po ostatnie dnię. Z gwiazd czytano tę dziwnie zmieniającą się a jednostajną ziemię.

W futrach ukazywały się na zamku żywe kobiety o kształtach ideałów rubensowskich i jego złotawej karnacji ciał kobiecych. Biło z nich ciepło słowiańskie — a z północy, ze Szwecji, wiały na Polskę zimowe morskie wiatry.

Zimą Bałtyckie morze zamarza w zatokach. Z niego, przez nie, szły te podmuchy morskich zim.

Zaczęły się operacje wojskowe pomiędzy Polską a Szwecją. Król polski miał prawa do korony szwedzkiej. Po śmierci swego ojca, króla Szwecji. Trzeba było wojować, aby tych praw królewskich dochodzić. — Opozycja przeciw temu w Szwecji była silna.

Wojska polskie, konne i piesze, wojowały o koronę szwedzką.

Co było polskie, a co szwedzkie — chodziło o to, że władza jest w monarchiach rodzinnych przywilejem, że praw swych trzeba dochodzić procesami międzynarodowymi, a ostatecznie potrzeba apelować do ostatniej instancji z bronią, — chodziła więc Polska na Szwecję.

— To mój kraj, a gdy mnie nie dopuszczają — znajdę siły tam wejść, gdzie każe mi wejść historia rodziny — myślał Zygmunt III, przebierając w rękach złocisty różaniec.

Historia rodzin panujących przeżywała wtedy wielkie przesilenia po świecie. Nie było ustalonych po temu norm — śmierć i działalność wrogów układała nowe stosunki i nowe granice państw na kontynencie. Było to wszystko coraz podobniejsze do tych osad, które poczynali wówczas zakładać Anglicy w Ameryce — tylko że w starym świecie wszystko było obciążone tradycją, historią i legendą, i nie można było stąpać już na jakiś kawałek ziemi, na jakiś kamień, by nie słyszeć oddźwięku historii.

Wyjeżdżając za miasto Warszawę, stołeczną, karetą na saniach, Zygmunt Waza, podczas dalekich swych, choć rzadkich wycieczek po swoim polskim kraju, lubił kierować się w strony mazowieckie, w okolice płockie — gdzie stosy polodowcowych kamieni — zwłaszcza w zimowym pejzażu — przypominały mu pejzaż stron szwedzkich, rodzinnych kamieni, przyniesionych przed wszystkimi czasami z północy, ze Szwecji tu, przez ślizgające się na południe lodowce skandynawskie.

I on tak samo tu czuł się przyniesionym z północy na po-

łudnie kamieniem — a kamienie, nie tylko drogocenne, miały dlań szczególną, astrologiczną i geologiczną wymowę.

W wielkim czarnym aksamitnym kapeluszu na głowie, lubił, wysiadłszy z karety — siadać na jakimś polodowcowym kamieniu mazowieckim i myśleć o historii świata minerałów. Te go obchodziły stokroć więcej niż świat zwierzęcy, do którego zaliczał się człowiek i wielka polityka jego w świecie cywilizowanym. Nic go wtedy nie obchodziło dookoła, gdy był tak ze swoimi kamieniami — spadkiem normańskich lodowców skandynawskich — albo gdy był z kamieniami drogocennymi w rozmowach, w swej królewskiej alchemicznej gotowalni, koło pieca, koło piecyków z pęcherzowymi retortami.

Rola kanclerza Zamojskiego, prawej ręki poprzedniego króla, Stefana Batorego, była skończona.

Zamojski pojechał do Zamościa swego rodzinnego. Tam urządził Ateny polskie. Z monarchisty stał się republikańskim wyznawcą. Czytywał pisma Cyserona i budował barokowo swoją stolicę rodzinną, miasto Zamość. Stanął tam czworokątny rynek; domy były murowane, tynkowane. Utworzyły się we wschodniej Lubelszczyźnie włoskie podcienia i pasaże ulic barokowe — późnego renesansu, białe.

Powstała zamojska akademia nauk.

Zamojski zmienił się z politycznego męża w wiejskiego i miejskiego gospodarza swojej ziemi spadkowej; robił to w miniatrze u siebie, na swoich wielkich śmieciach, czego nie dano mu robić w całej Polsce — jak w wielkim gospodarstwie. Zgorzkniał i posuwał się prędzej w latach, niż te lata mu szły.

A polityka nie czekała na to, że Zamojski był ciągle na wakacjach. Rozpoczęta w kraju na wielki zakres przez Batorego, już pędziła swą inercją naprzód. Przybywały przy tym nowe zjawiska i wypadki, wymagające doraźnych rad i odpowiedzi.

Z tych dawnych spraw — to przede wszystkim Moskwa, jako kierunek najżywszy w ówczesnym państwowym, mocarstwa polskiego — życiu, przechodziła głębokie wstrząsy.

Zmarł car Iwan Groźny. W Moskwie nastąpiła regencja przy Fiedorze Iwanowiczu, synu nieudanym zmarłego cara. Uwagę Zamojskiego zajmowała wciąż jeszcze Rosja, jako człowieka Zachodu — króla natomiast brała przede wszystkim sprawa Szwecji i jej do niego ustosunkowania się.

Surowo stawiał szwedzkie sprawy Zygmunt III, uważając je za swoje osobiste, rodzinne, dynastyczne.

Tak był rad, gdy mógł wracać do siebie, z oficjalnych przyjęć, od obowiązków dyplomatycznych, rozbierać się z królewskiego stroju i przywdziewać domowy, watowany barokowy kaftanik, zapinający się na rogowe guziki.

Powiedział do swego ulubionego towarzysza spraw alchemicznych:

— Niczego swego nie daruję, chociaż Bóg sam wie, ile to mnie kosztuje, to ciągłe odrywanie się od siebie. Chwilami zazdroszczę innym, że nie mają na głowie koron. Gdybym jej nie musiał mieć, byłbym gdzieś w Norymberdze zegarmistrzem. Jakże by mi było z tym dobrze, i lekko.

I już widział przed sobą jakąś północ, wśród niezliczonej ilości bijących, w rozmaity sposób i w rozmaity dźwięk, zegarów. Północ. Zegary bijące północ. Czas — czas płynie, przesypuje się w klepsydrach piasek.

Wtedy w ogrodach kremlofskich spacerował już carem Borys Godunow. Wygaśł tam dom Rurykowiczów szwedzkich, Waregów, wywodzący się od Ruryka, wodza zbrojnej normañskiej drużyny, który przyszedł na ziemię tę i dał imię swego plemienia — Rusów — Rusi.

A tymczasem króla i państwo polskie obchodziła nie tyle Moskwa ile Szwecja...

Skarga miewał teraz swe kazania sejmowe i groził klęskami krajowi, gdy nie otrząśnie się z ślepoty i zaślepienia, z upadku gdy się nie podniesie — to że przepadnie. Po krwawych bitwach wojny szwedzko-polskiej, z uzurpatorem tronu szwedzkiego, Karolem IX, królem Szwecji, zaciągnęła się ta wojna na lat sześćdziesiąt.

I ciągnęła się — w owym czasie, gdy Cervantesa Don Kichot ośmieszał działania romantyczne rycerzy średniowiecznych. Trzeba było powracać do norm normalniejszych, do cynizmu w rozmowach między ludźmi i krajami — do dawnej taktyki, częstokroć średniowiecznej, jako najmniej zawodnej a wypróbowanej — okraszanej tylko barokową obfitością kształtów przenośnych, figur retorycznych i patetycznego frazesu nowych miar, nowożytnego świata.

Bitwa pod Kirchholmem. Wygrał ją dla Zygmunta III polski Chodkiewicz. Złamane były wojska napierające mocno — szwedzkie.

Król ścisnął kościstą dłońą potężną prawicę Chodkiewicza i dał mu złocistą z turkusami szablę.

W milczeniu wielkim, i w tajemnicy, i w spisku wyprawiał się tegoż kirchholmskiego roku do Moskwy, i w głąb całej Rosji, następca tronu carów, samozwańczy syn Iwana Groźnego, Dymitr, młodzieniec niewiadomego pochodzenia, legendarnie jakoby ocalony od śmierci zadanej mu przez Borysa Godunowa. Był on wychowankiem książąt Wiśniowieckich na Ukrainie, ożeniony z córką wojewody Mniszcha, Maryną.

Dzikie kraje dzikiej Rosji. Kraje wszelakich baśni, możliwości. Niezmierzone, niezgłębione, niedojrzane i nieprzejrzane w sosnowych lasach, w pustych stepach.

W Zamościu wtedy umierał Zamojski — pustelnikiem, dowiadując się o planach niektórych magnatów polskich i litewskich, spełniających pozornie testament Batorego — w tym haśle — na dziki wschód, na tę, dziewiczą jeszcze ziemię baśni!

W kraju, w Polsce, powstał bunt szlachecki, na narodowym tle — Zebrzydowskiego. Wojska królewskie z trudem zmagaly się z potężnymi siłami szlacheckich powstańców — jednocześnie nie ustawały sprawy wojenne z Szwecją i jednocześnie prawie armie polskie pod hetmanem Żółkiewskim posuwały się w głąb Rosji.

Upały trwały.

Upały trwały nieznośne, bez wody, z zatrutymi studniami rosyjskich wsi — gdy wojska Żółkiewskiego marszem przyspieszonym zajmowały jedną po drugiej ziemię wielkiej i dzikiej Rosji — w czasach uwiecznionych patriotyczną (potem) operą rosyjską: „Życie za cesarza”. Oddawano je w nieprzebytých rosyjskich lasach, płonących, rąbanych, podpalanych, zmienianych gdzie indziej w szary popiół.

Nie było czasu na odpoczniki w marszach.

Wieczorem skończyła się decydująca bitwa pod Kłuszynem zwycięstwem Żółkiewskiego i wojsk polskich. Wycofywały się rozbitki wojsk moskiewskich swą odwieczną mongolską taktyką strategiczną koczowników — w głąb niezmiernego obszaru rosyjskiego.

Samozwaniec siadł na tronie Moskwy. W Moskwie stacjonowały pułki liczne wojsk polskich, siejąc strach, przerażenie, paniczny zachwyt i gwałt wśród moskwców i moskwczanek młodych: husaria o wysokich skrzydłach blaszanych, przetykanych (jak indiańskie czuby) piórami. Na Kremlu tańczyła konnica polska z kobietami rosyjskimi, wyzwolonymi z haremów-teremów mniszych i mężowskich — ubranymi w złotosrebrne białe, sine,

czerwone i żółte sarafany, w perłowe i z drogich kamieni zawiązki na głowach i szyjach.

Łały się wina i inne napoje na Kremlu, podczas pobytu tam Polaków. I nigdy nie było tam tyle hucznego szалу, wesela i zabawy — jak wtedy, za polskich na Moskwie czasów — zmieszanych z gwałtami wyrafinowanego, mimo swej lekkomyślności, okrucieństwa i szlacheckiej prawdziwej wolności — w tym kraju, gdzie „morze być może po kolana”.

Wszędzie wojna.

Z Szwecją.

Z Rosją.

Z Turcją zaczęła się wojna.

Nie w stolicach, nie w miastach, nie we dworach i wsiach — ale wciąż w polach i lasach żyła Polska, na koniu, przy szabli, z rusznicą przyłożoną bezsennie do oka.

Strach i krzyk wojenny panował wszędzie — i okrzyki niespodziewanego zwycięstwa nawet tam, gdzie klęski były gotowe, przewidywane. Umierali ludzie polscy z przeświadczeniem o niezwykłości polskiej broni i polskiego wojska, polskich wodzów, Chodkiewiczów i Żółkiewskich.

Aż padł Żółkiewski w bitwie pod Cecorą — w tureckiej wojnie.

Aż zgaśł, w rok po nim, Chodkiewicz pod Chocimem.

Pierwszy miał czarną śmierć — klęskowej bitwy.

Drugi miał jasną śmierć, w przeddzień zwycięstwa.

Grzmiało imię wojen polskich po świecie. Przepadła korona szwedzka Zygmunta III Wazy, ale stan zaognienia wojennego trwał. Moskwa, w osobie carów Szujskich, przyprowadzona do stóp króla polskiego, do Warszawy (wiózł Żółkiewski carów Szujskich wziętych do niewoli) — Moskwa leżała w rękach Warszawy, królewskiego warszawskiego zamku.

Już na cara moskiewskiego przyjmowali — bojarska дума rządców Moskwy — królewicza, następcę tronu polskiego, Władysława Zygmunto-wicza Wazę. Błagali tylko, by przyjął królewicz świętą wiarę prawosławną ich ojców, dziadów i ziemi tej. Upierali się czarnoubrani doradcy rzymscy króla Zygmunta, — oni wzywali go do objęcia tronu moskiewskiego samemu, w podwójnej unii — personalnej polsko-rosyjskiej i religijnej rzymskokatolickiej dla całego obszaru zunifikowanych ziem. Był to krótki epizod historii, otwierającej przed Polską świat największy. Prze-minał epizod ten, pogubiony we wszelkich absurdach.

Królewicz Władysław Zygmuntowicz Waza, otyły, wysoki, tego zbudowany, chodził powoli, nie spiesząc się, biła z niego ponad wiek dojrzałość, przemyślność i równowaga. Myślał po polsku i czuł, w przeciwieństwie do swego ojca, którego zresztą uwielbiał.

On uczył ojca, a nie ojciec jego:

— Bądźmy żołnierzami tej ziemi — mówił — a nie jej dzierżawcami tylko. Jest wiele szaleństwa w tym, co czynimy. Niech ojciec kochany zauważy, ile skutków już daje polityka kardynała Richelieu we Francji. Trzeba tu także gospodarstwa, a nie dzierżawy przemijającej. Ideą moją jest Polska taka, jakim sam chciałbym być w społeczeństwie ludzkim. Chciałbym być potęgą, która nie narzuca się otoczeniu jak tylko wpływem niewidocznym, doskonałym, dobrowolnym.

Obrazy malarzy Van Dycka, Rembrandta i Velasqueza rozchodziły się po dworach europejskich, umiędzynarodawiając oblicze artystyczne wieku. Na tronie francuskim siedziała już dynastia Burbonów. Opery włoskie coraz dźwięczniej rozbrzmiewały na scenach dworskich i po prywatnych teatrach zamkowych; po teatrze Szekspira przychodził teatr Moliera. — Już krążyła po Polsce Biblia Wujka, z której czytano oba Testamenty po polsku, w precyzyjnym krajowym języku. Sarbiewski pisze swe wiersze uczuciowe. Kartezjusz — swe myśli umysłowe. W Moskwie siedzą już Romanowowie. Przepadła Polska w moskiewskich planach. Na morzach indyjskich zaczynała panować angielska Kompania Wschodnia kolonialna.

Corneille — Racine we Francji, mówią w poezji to, co w polityce robi Richelieu. Oczy murillowskich obrazów zaczynają mieć błękitnookie i jasnowłose kobiety wieku. Bakon z Werulam odkrywa tajemne znaki istoty życia ludzkiego: wolność myśli. A nad wszystkim unosi się duch przepychu — baroku, przeładowania fantastycznego życiem i jego szumem, gwarem, potopem.

W roku śmierci Zygmunta III polskiego zmarł jego konkurent szwedzki, król Szwecji, Gustaw Adolf. W Szwecji przyszła królowa Krystyna, — w Polsce — królewicz Władysław IV Waza.

Tu są szczyty potęgi Polski. Na wschodzie moskiewskim, w pokoju północnym szwedzkim, w planowanym ataku na południowy wschód muzułmański, turecki.

W zamku warszawskim biją zegary ulubione ojca króla młodego. Król Władysław Waza wyszedł na ganek zamku, patrzył

na Wisłę. Wisła płynęła do morza Bałtyckiego. Na przeciwnym brzegu — z zamku patrząc, był zalesiony spad górsko-piaszczysty ku rzece. Było słyszeć na Wiśle śpiew flisaków, płynących całymi płatami tratw z pszenicą polską i drzewem do Gdańska. Król wsłuchiwał się w tę pieśń idącą z dołu, z wody. Wsłuchiwał się — długo — aż cienie wieczoru czerwonego poczęły się kłaść na falach. Już przepłynęły transporty na tratwach, odpłynęła gdzieś z biegiem rzeki tęskna, silna, męska, basowa, z refrenami tenorów, pieśń ludowa polska — i tylko słońce kąpało się w szarej wodzie Wisły — liliowiato w jej ciemniejących wodach.

I pewno czuł się tak król (tak sobie myślał) — jak jakiś wiking normański z najdawniejszych wieków, który przybywszy z zimnej, obcej północy, powoli słowiańszczył się w tych krajach Wisły.

Nad Wisłą wstawały mgły — i pewno tak kiedyś wstawały wikingom szwedzkiej ziemi, — na tej ziemi wiślanej, powiślańskiej.

Woda płynęła, jak lata, jak wieki — król stał tego wieczoru wpatrzony w nią jedną godzinę tylko — a w tej godzinie szły wieki za siebie i przed siebie, naprzód i w dal.

Cisza szła nad światem, bez skrzydeł płynęła. Nie była to już cudza ziemia.

... Ze Szwecją stał rozejm. Z Moskwą stał pokój w Polanowie — szczyt powodzenia Polski w wojnach z Moskwą, przez całą historię tych dwóch ziem. Nad Europą polską wisiały chmury tureckie i chmurzył się cały wschód.

Cisza płynęła nad światem, gdy król Władysław, wróciwszy znad ukochanego swego Bałtyku, z swoich portów nad Pucką zatoką — po krótkim wypoczynku nad Niemnem wybierał się z północy na wschodnie południe, na południowy polski wschód.

Na niezmierny ruski step, na którym powstał do boju Chmielnicki zbuntowany.

Dzwoniły cerkwie ukraińskie prawosławne. Złote słońce odbijało się w leniwych stepowych rzekach. Masy czarnego ludu ruskiego, pod przewodem bujnego kozactwa, śpiewały swoje pieśni, do krwi — czerwone jak księżyc ukraiński i tak tęskne, tak niesamowite — niby opowieść o czerwonym baśniowym księżycu.

Stepy leżały niezmierzone, czarnomorskie.

Stepy leżały niezmierzone, czarnomorskie. Ukraina spała i drzemała, aż zbudziła się burzą kozacką. Ryczał i jęczał Dniepr szeroki, wysokie fale podnosił. Bat'ko ataman Chmielnicki prowadził czerń ziemi ukraińskiej, daleko-wschodnie polskie kresy, do rzezi — na dwory szlacheckie, na oddziały garnizonów polskich, stojących po zamkach i miastach starościńskich — za wiarę ruską, za wolę kozacką, — na panów — na Lachów. Jak pokazywał się kiedyś, za czasów Nestora kronikarza, duch Lacha w Ławrze Peczerskiej w Kijowie, w diabelskim stroju czyli w stroju lackim, tak i teraz takiego Lacha diabelskiego, symboliczną ogromną jego kukłę pokazywano kozactwu dzikiemu, osiadłemu na ostrowach, na porohach zaporoskiej Dnieprowej Siczy, osady korsarskiej, żywiącej się morzem Czarnym i bujną Ukrainą — i pokazywano go motłochowi ciemnego, pogańskiego jeszcze w swej wierze wschodniej chłopstwa. Z nożami w zębach, z kosami na sztorc — szła południowa ukraińska Ruś na rzeź wszystkiego, co zanosilo Lachem przeklętym.

Wschód polski cały zapłonął. Czerwony ukraiński księżyc odbijał się w stepach nieskończonych i w Dnieprze nieukojonym — fale jęczały, fale rzeki Dnieprowej i fale wiatru stepowego. Noce były czarne w oczeretach, na kozackich ostrowach zaporoskich. Radzono tam, pod złotolitym namiotem atamana Chmielnickiego, radą wielką kozacką. Kozactwo, sprzęgnięte z ordą krymską, wyło przy księżycu swe dzikie, przepiękne pieśni — łunami w niebo, — na pikietach stał kozak i Tatar — jak cienie — pochowane konne sylwetki z pikami, w wysokich baranich czapkach — stali w gąszczach, nad wodami, w wysokich oczeretach, jakby nieżywi, a czujni na każdy szmer, na każdy krzyk nocnego ptaka, który mógł równie ptakiem być, jak umówionym sygnałem wojskowym wroga polskiego.

Podczas wyprawy wojennej na Ukrainę — na Ukrainę nie dojechawszy — zmarł król polski Władysław IV Waza. Jego duża, w obfitych, na zachodni sposób noszonych lokach głowa, spoczywała na haftowanych poduszkach już nieżywa.

Osierocił Polskę i żonę, i brata.

Żona nazywała się Maria Ludwika, była Francuzką. Brat nazywał się Jan Kazimierz. Ten przebywał we Francji, więziony dwa lata w zamku odludnym przez kardynała Richelieu. Był zakładnikiem polityki antyfrancuskiej w Polsce. Obwiniono młodego królewicza, że podczas swej podróży po Europie zdejmował plany francuskich twierdz, odrysowując ich zarysy w notatniku. Władysław IV Waza osierocił żonę i brata. Żona wyszła za brata, za Jana Kazimierza Wazę (jezuicie i ex-kardynała).

Jan II Kazimierz Waza został królem polskim, po śmierci starszego brata Władysława.

Mówiono (potem), że pod nieszczęśliwą gwiazdą narodził się ten nowy król, ostatni z Wazów.

Wojna z kozactwem trwała.

Świat czarnego pospólstwa występował przeciw karmazynowemu światowi panów — osobiste podłoże buntu Chmielnickiego (starosta pewien zabrał mu żonę i zabrał wieś) — te względy były tylko oliwą dolaną do ognia atamańskiej krwi.

Złoty młodzieniec stepów, ataman Chmielnicki, golił łeb i nosił czarny czub (osefedeć) — czyli warkocz kozacki, za uchem zakręcony. W szerokich tureckich czerwonych szarawarach, w czerwonych palonych butach, w sinym żupanie, z srebrną u boku turecką szablą wysadzaną rubinami, w wyszywanej czerwono, białej ukraińskiej chłopskiej koszuli zrobionej z jedwabiu — siedział na swym wronym koniu, jak żywy posąg Azji.

Lato zielone szumiało — ciągnęło się uśmierzanie kozackiego buntu, który podsycił sam sułtan, podsyłając tatarską jazdę na pomoc kozakom — z Krymu szli ci Tatarzy na małych konikach, zawsze ostrego kłusa, nigdy w galop i krzyczeli swoje „ura” w szarżach tatarskim, półkręgowym sposobem stepowym.

Wieczorami wyli do księżyca, na którym mieszkał ich prorok, poetyczny Mahomet, poeta, twórca Koranu i fanatyzmu szczęśliwej za wiarę mużułmańską śmierci.

Słońce namiętnie przygrzewało w dniu bitwy pod Beresteczkiem, na Wołyniu. Miasteczko płonęło ogniami jak słońce zachodzące. Krzyk bitwy mieszał się z wiatrem stepowym, i

dopiero gdzieś daleko, daleko było słyszeć odbijające się echa tej bitwy, gdy dokoła była jakby martwa cisza.

Gdy skończyła się na trzecią noc bitwa, i nastąpiło zawieszenie broni na noc — pomiędzy polskimi wojskami królewskimi Jana Kazimierza, pod dowództwem dzikiego i okrutnego, wielkiego wodza Jeremiego Wiśniowieckiego, księcia Ukrainy — a wojskiem zaporoskim, zbutowanym i tatarskimi posiłkami krymskimi — wymieniano posłów — rozmowy odbywały się między namiotami zwycięskiego króla polskiego a wozami pobitego atamana Chmielnickiego.

Zaprowadzano ład na rozfalowanej, stepowej Ukrainie — polski i katolicki ład — i pański ład. Zamiast dworów palono chaty. Zamiast księży wieszano popów. Zamiast panów wieszano chłopów.

A Chmielnicki był rad, że uszedł z duszą.

Nie trwało długo to.

Czajka w limanach nie spała. Rzucały się jej wiosła na wszystkie strony. Kozackie konie leżały brzuchem na stepie, galopując wciąż na wschód i wschód, coraz dalej. Galopowały też z kurierami tajnymi i na północ. Dobiegły i padły zdyszane, spienione, dogorywające, u bram złotogłowej Moskwy.

W Polsce tymczasem — szlachectwo karmazynowo-białe rozrastało się jako jedyna siła z bronią w ręku. Całe długie lata wojen — szwedzkich, moskiewskich, tureckich, kozackich — utoczyły wiele krwi temu stanowi panów w Polsce — że musieli odżywiać się po tym wojennym utrapieniu — odbijać sobie roki i chwile zmarnowane. Chcieli, by im Polska i król — król i Rzeczpospolita — płacili za to, że krew swą za nich przelewali, że oni jedyni kiedyś i pierwsi szli na ubój — po śmierć lub zwycięstwo. To już nie była tylko jakaś klika — to był stan coraz silniejszy w kraju, z którego głosem (z którego nade wszystko szablą) trzeba było się liczyć, jak z każdą fizyczną siłą.

W upalne dni polityczne rozległo się pierwsze — oficjalne *liberum veto* w Polsce. Istniało już przecie od dawna, każdy mógł kto chciał — a któż nie chciałby jeśli mógł? — swobodnie protestować w imię własne.

Znaleziono je nareszcie w łacińskiej pięknej formule, jak kiedyś znaleziono w koszyku, w tataraku i w moczarze nad Nilem, Mojżesza małego, który potem urósł na proroka i prawodawcę. Tak i *liberum veto* — urosło na prawodawcę i pro-

roka w Polsce — jeszcze małe na razie, niemowlę, krzyczące, nie umiejące jeszcze się wysławiać. Ale potem uczyło się gadać.

Urodziło się *liberum veto*.

Dojechały, doleciały konne kurierzy do Moskwy, z Ukrainy. Konie padały ze znużenia i padły śmiercią z zadyszki — serca im popękały. A ataman bat'ko Chmielnicki padał twarzą (w tych pisaniach tajnych) przed carem prawosławnym moskiewskim Aleksiejem Romanowem, poddając mu wolne kozactwo całe i całą czarnoziemną, gajową i stepową Ukrainę.

Pisał:

— Wolimy pod cara ruskiego prawosławnego!

W takim geście, wskazującym na wschód stoi dotąd Chmielnicki na koniu, na miedzianym posągu w Kijowie, naprzeciwko soboru Sofijskiego. Wskazuje ręką na wschód.

Na zachodzie zaś była Polska.

Na północy zaś była Szwecja.

Na zachodzie, w Polsce, Jan Kazimierz król, tracił całą polską Ukrainę.

Na północy, w Szwecji, królowa Krystyna zrzekła się tegoż roku tronu.

— Jaka szczęśliwa ta krewna — myślał król polski, czytając doniesienie pisemne w kancelarii swej na zamku warszawskim.

Na tron Szwecji wstąpił Karol X Gustaw, książę Dwumostów, krewny króla Jana Kazimierza Wazy polskiego.

Zaczynał się znów kontredans, barokowy, bo barok był — to był szczyt rozkwitu malarstwa holenderskiego — zaczynał się znów wojenny kontredans polsko-szwedzki.

Już nie Polska na Szwecję szła, jak za Zygmunta III, tylko Szwecja popłynęła na Polskę i zalała ją swym potopem — wojska nowego króla Karola X Gustawa (wojną o Bałtyk).

To było bardzo proste — ten Szwed i tamten Szwed — tak myślała najprzód Wielkopolska. Gdy weszły szwedzkie wojska z Pomorza (płynęły od morza), gdy weszły do Wielkopolski — niosąc słowa zapewnienia dla polskości i szlacheckości — odmieniały serca wielkopolskie dla króla Jana Kazimierza, któremu kiedyś przysięgały wierność. Przysięga ta nie przynosiła dotąd nic dobrego.

— Pod złą gwiazdą rodził się nowy król Jan Kazimierz Waza — taki Szwed jak ten co teraz przyszedł — mówiła szlachta

wielkopolska, kapitulując, poddając się dawnemu księciu Dwumostów, dzisiejszemu królowi szwedzkiemu a od tej chwili i polskiemu, Karolowi X Gustawowi.

To działo się pod wsią Ujściem w Wielkopolsce.

Szwedzi szli naprzód, w samą środkową Polskę. Warszawa padła. Król uciekł. Szwedzi zajęli Warszawę.

Przynosili ze sobą zapasy żywności północne, ale potem brakowało dla nich i całej polskiej żywności. Mieli hełmy stalowe na głowach, długie rapiery i halabardy w rękach — doskonałe pułki strzeleckie piechoty, ciężkich rajtarów z ogromnymi pikami — na ciężkich północnych koniach jeździli po Warszawie, i coraz dalej posuwali się w głąb Polski. Padały twierdze za twierdzami, miasta za miastami, wsie albo płonęły całe — albo wyludniały się — ludzie chowali się do ciemnych lasów.

Rosły po Polsce całej szwedzkie, umiejętnie wznoszone okopy, zza których zdobywali najcięższe pozycje strategiczne, Szwedzi, opierając i okopując w nich swą znakomitą artylerię.

Zima była. Zbliżało się Boże Narodzenie. Zima była w Polsce tego roku straszliwie zimna. Mrozy wydawały się nawet północnym wojskom szwedzkim nie do zniesienia. Tam przecież owiewał ich — w Szwecji — wiatr od morza — tu tylko wiatry ziemskie, z ziemi zamrożonej rodem — przenikliwe, zabójcze, śmiertelne.

Zatrzymały się wojska głównodowodzącego armią ofensywną szwedzką pod murami starego klasztoru, zwanego Jasną Górą. W klasztorze tym był obraz, słynący cudami, Matki Boskiej sienneńskiej, po bizantyńsku boleściwej — podług legendy malowany z natury, z żywego modelu, z żywej Matki Jezusa Chrystusa — przez apostoła św. Łukasza — obraz ten kiedyś sprowadził Władysław książę Opolczyk, kiedy był księciem Rusi Halickiej, i umieścił w nowozałożonym koło swego opolskiego rodzinnego Śląska klasztoru, zbudowanym na górze zwanej Jasną z pogańskich jeszcze, prasłowiańskich ślezańskich czasów.

W klasztorze starożytnym jasnogórskim, zwanym częstochowskim — często te mury chowały ludność przed napadami przed obcymi i swoimi, polskimi rozbójnikami... w klasztorze gromadziła się załoga polskich rozbitych wojsk Jana Kazimierza.

Klasztor wyglądał tajemniczo, zamknięty nieprzeniknionymi murami. Szwedzi robili podkopy, udaremniając wciąż przez załogę wojskową klasztoru. Częste nocne — w księżycu, bez księżycy — zimą, w śnieg, w błyszczący skrzypiący mróz — wycieczki polskiej załogi na obóz szwedzki, w dole, wkoło murów rozłożony,

strzępiły i trwożyły wojsko króla szwedzkiego — i polskiego już teraz — Karola Gustawa.

Kamienne mury Częstochowy, pod wodzą duchową przeora klasztoru, księdza Kordeckiego, w białym paulińskim chodzącego habicie, były szare, nieruchome, ciężkie i niezdobyte. Ogień artylerii szwedzkiej rozrzucał je, i znów je łatano pod kulami — łatano kamieniami dziury. Nierozbita to była czaszka, ten klasztor. Przy tym — mówiono w obozie oblężających, wśród szwedzkich żołnierzy, — że niekiedy po nocach klasztor ten podnosi się do góry i trwa jakby w chmurach — jak zwidzenie, jak święty obraz — płonąc swymi światełkami w zimowym polskim niebie.

Mech porastał te mury i ciężki śnieg. Były zielono-białe. Granaty wlatywały do wnętrza murów, ale kościół grzmiał gorącymi nabożeństwami. Słyszać było je — w obozie szwedzkim — śpiew i muzykę procesyj — podczas prowadzonych ataków.

Mówiono, że tam żyją złe duchy, które straszą po śmierci — że to już nie ludzie żywi — tylko dusze tych pozabijanych — tułają się, śpiewają i biją się z żywym wojskiem szwedzkim. Zima trzeszczała mrozami.

Zapalała się wigilijna gwiazda.

Przeszło miesięczne oblężenie klasztoru nie dało żadnych rezultatów. Niepokojeni partyzantką polską pod wodzą najstraszniejszego w świecie polskiego partyzanta Czarnieckiego, odeszli któreś nocy — w czasie świąt jeszcze Bożego Narodzenia — Szwedzi od murów niezdobytych.

Szarpał ich teraz i kasał kawaleryjskimi oddziałami lotnymi Czarniecki, chłopstwo polskie rzucało ich po wsiach — uciekających w coraz większym popłochu. Przesilenie następowało — następowało.

Na wojnie najważniejsze — w klęskach — przebudzenie. Wywołanie u wroga paniki — pędzenie go, deptanie mu po piętach — chodzi o to, by szczęście go odstało.

Na świecie wszystko jest szczęściem lub nieszczęściem. A świat jest i będzie zawsze wojną — o szczęście, lub o nieszczęście.

Shczęście — czyż zaczęło sprzyjać temu, co pod nieszczęsną gwiazdą się urodził — Janowi Kazimierzowi?

Wtedy — w tych czasach — jakżeż nie wierzyć gwiazdom, gdy z gwiazd czytano wszystko? Ojciec Jana Kazimierza — jakąż mu gwiazdę wynalazł, gdy go rodził — ojciec, Zygmunt III Waza, astrolog i alchemik?

Gwiazda zła nie opuszczała Jana Kazimierza. Mówił lud

o tym, mówili panowie. Jan Kazimierz doznał losu Władysława Kazimierzowicza Łokietka Piasta — wśród chłopstwa krył się — na Śląsku, z żoną swą (dawną bratową) Marią Ludwiką, Francuzką wytworną i mądrą panią, czasów molierowskich.

Już składał śluby we Lwowie — Matce Boskiej, w sprawie chłopskiej — ogłaszając Ją Królową Polskiej Korony — od tego czasu w litaniach zostaje ten zwrot — módl się za nami, Królowo Korony Polskiej.

Zła gwiazda jednak szła za nim. Czyż można pozbyć się gwiazdy swej, pod którą przyszło się na świat — pod nią się ze świata i schodzi...

Czarnecki przed sobą pędził wojska szwedzkie. W ząartej bitwie pod Warszawą, gdy miasto parę razy przechodziło z rąk do rąk — królowa Maria Ludwika pracowała rękoma białymi sama koło lontów armatnich, strzelając z placu zamkowego do okopanych nad Wisłą szwedzkich wojsk, do wojsk szwedzkich bijących się na moście, i na tratwach wiślanych.

Warszawa była odbita. Wróg cofał się.

Przez lasy polskie, na północ ciągnęły wojska szwedzkie, uchodząc, zostawiając za sobą ciężkie, zasobne, nagrabione transporty. Przez błota polskie nie mogły przebrnąć szwedzkie wozy taborowe — koła i wozy grzęzły w błotach polskich i zostawały na grabież i zdobycz polskich zwyciężających zażarcie wojsk — wygłodzonych i zmarniałych w ubiorze i broni, lecz szalonych w ręcznych bitwach.

Niebo polskie zostawało za Szwedami. Szumiąco morze Bałtyckie. Zamarzało w zatokach.

Zatoka duńska była pokryta lodem. Po niej szarżowała kawaleria Czarneckiego — uciekającą kawalerię szwedzką. Przerwał się w jednym miejscu lód. W lodowatą wodę wskoczył Czarnecki z oddziałem swym przybocznym pancernych — i złodowaciały oddział przepłynął słoną zimną krtanią morską, otwartą wodami, — w pogoni.

I gromił szabłami — i rozgrzał swój lód na ciałach. I konie buchnęły parą. I krew zmieniała się w czerwone lodu kawałki.

W kraju zostały szwedzkie okopy — pokazują je teraz po wsiach jako zabytki przedpotopowej, przedlodowcowej epoki, która była w tej ziemi — przyciągnięta normańską jakąś północą. W tych okopach — i w mogiłach szwedzkich leżą kości i broń ludzkie. Pomieszały się one z ziemią. Są prochem wspomnień już. — A kraj był cały wygłodzony, wyniszczony, popalony —

ludzie do ludzi niepodobni, miasta do miast, a wsie do wsi niepodobne — drżały ręce do końca życia ludziom, co żyli w czasach tych.

W Oliwie jest kamienny stół okrągły. Oliwa leży koło Sopot, nad morzem. Tam jest klasztor niemiecki, cysterski. — W Oliwie, w klasztorным ogrodzie jest okrągły kamienny stół, na którym zawarto i podpisano pokój z Szwecją — wtedy — po szwedzkim potopie, jak nazywał nawałę szwedzką polski chłop.

Nie uspokoił się kraj. — Rozkołysało go wojennie tyle, tyle lat za królów Wazów. — Powstawały powstania i bunty. Szarpał z zewnątrz coraz nowy wróg.

W kraju burzył się powstańczy rokosz księcia Lubomirskiego przeciw nieszczęsnemu dla Polski królowi. Lubomirski chciał dla Polski szczęścia. — Prowadził nieszczęścia nowe wojną domową, coraz krwawszą i płomienniejszą.

Kiedy wybuchł ten rokosz Lubomirskiego — urodził się Jan Sebastian Bach — miała spłynąć muzyka precudnej harmonii na świat nieustającej dysharmonii, jakim jest świat ten, coraz większymi i tragiczniejszymi rozbrzmiewający tonami.

I oto — jeszcze zdarzyło się — że gdy w Niemczech pokazał się pierwszy numer „Simplicissimusa” — abdykował Jan Kazimierz Waza, nieszczęśliwy, spod nieszczęsnej, spod tragicznie ciemnej gwiazdy król.

Abdykował, wyjechał do Francji.

Przepowiedział rozbiory Polski.

Kassandra tragiczna — o czarnych wielkich lokach peruki — odjeżdżał gorzki i z żalu niedługo konał we Francji i zmarł tam.

Kwitło wtedy malarstwo holenderskie najwspanialej. — Ludzie w Polsce byli zmęczeni, ziemia rozoorana wojną, jeszcze drżała drgawkami budzenia się z śmiertelnej choroby. Oczy chmur wydawały się wciąż jeszcze ludziom zakrwawione.

Mówiono — nieszczęście idzie za Polską.

Mówiono — nieszczęście idzie za Polską.

Z czego to się brało — mówiono — z obcości królów a ich ziemi, z obcej krwi panującej na tych polskich ziemiach.

Za Piastów było inaczej — mówiono. Za Jagiellonów — inaczej także. Za Piastów było najlepiej — bo to było najdawniej, najczystsza była krew w królewskim rodzie. Zabrzmiało po Polsce hasło: Piasta!

Warszawa, podwarszawskie pola, miejsce elekcyj królewskich — szumiały tym hasłem, mimowolnym, rzuconym ot gdzieś w tok rozmów zażartych a bolesnych o polityce, o rządzie, o władzy, o nędzy i wyniszczeniu w kraju. Przenikało to hasło do dworów szlacheckich po całej Polsce, które miały jedyne głosy prawne w kraju — choć za nie i tak myślało niewiele głów, niewiele magnackich potentatów — polska oligarchia. W wyniku przetargów oligarchii tej a szlachty wpływały imiona pretendentów — wśród nich zaś najpoważniej zarysowywało się nietyle imię, i wcale nie imię, tylko nazwisko i imię ojca pretendenta — Wiśniowiecki nie żył już. Ale żyła pamięć najboleśniejza teraz Polski — Ukraina, wschód żyzny, najpiękniejszy kraj, kolonia karmazynowa pańszczyzny, zboże, czarnoziem — polski wschód kresowy. Ku temu wschodowi teraz, zapadającemu się coraz bardziej w mrok moskiewskiej nocy azjatyckiej, kierowały się w Polsce myśli polityczne i gospodarcze — i uczuciowe, jak za bolesną utratą.

Wszystkim, wszystkim, wszystkim — obwieszczono w Warszawie i w całym kraju — *habemus regem* — mamy króla, Piasta z nazwiska, choć nie Piasta z krwi (z krwi kresowej był nowy polski król — litewsko-ruskiej, młody Michał Korybut Wiśniowiecki, Jaremy księcia syn).

Rady, narady, porady — podpisywanie przedstawionych czy też podstawionych królowi aktów — pod pieczęcią ogromną koronną. — Nowy król udawał się na swój początek dnia smakoszowskiego. Już rano — a zwłaszcza koło południa — przychodził apetyt młodemu monarsze na różne podniebieniowe przysmaki. Dziwiono się, że w swej młodości jeszcze, tak mało udzielał miejsca, gorącej przecież, podruskiej, stepowej swojej krwi i tak mało uwagi zwracał na mięso młodych i ładnych kobiet, których tyle by miał, ile by chciał. Młody król wołał inne mięsa, w rozmaity sposób przyrządzane na roznach i na patelniach — podług własnych królewskich wynalazków (kucharz był często powiernikiem najbliższym króla) — król sam zaglądał do kuchni, ślina mu zbierała się pod językiem na widok pewnych, ulubionych potraw — i lubił nade wszystko przekąsywać pod kieliszki, choć nigdy nie był pijakiem. Tłuścił coraz więcej, młoda jego twarz nalewała się coraz bardziej, błyszczała spoconym rumieńcem, z ust mięsistych i grubych pachniało mu często marynatą zagraniczną lub polskim przysmażonym sadelkiem, popieprzonym, popaprykowanym. Nie było to zdrowie — na twarzy królewskiej, tylko ciąga jakaś, chorobliwa żądza, głód prawie, nienasyconosc. Ustawały umysłowe władze, ciało ociężało, sen po jedzeniu sutym dopełniał reszty.

To były jedyne, rozkoszne chwile zapomnienia — te drzemki młodzieńca poobiednie, za długie, chorobliwe. Serce mu coraz gorzej zaczynało pracować. Czerwony na twarzy król Korybut Wiśniowiecki Michał (o czerwonym nabrzmiałym karku byka) — dostawał ataków duszności i obserwował wtedy bardzo krótko dietę głodową — po czym jeszcze z większym impetem wracał do swych przekąsek, śniadań, obiadów i kolacyj — wypościwszy się, rozgrzeszał się w żołądku swoim znowu.

Lubił grać się przy kominkach i zasypiać błogo, z rękoma na młodym a już mocno wezbranym brzuchu zaplecionymi starczo — po obiedzie, zanurzony w fotelach, lub półleżący na kanapkach wygodnych. Postanawiał sobie tyle to a tyle tylko spać, jeszcze pół godzinki, jeszcze kwadransik, jeszcze pięć minutek, jeszcze jedną minutkę, i jeszcze jedną, i jeszcze... Popatrywał przy tym na zegar złoty stojący i tykający na kominku barokowym — i prowadził z nim intymne rozmówki, żeby nie szedł tak prędko, żeby mu tak czasu słodkiego nie spieszył, by go nie wołał coraz to do innych trosk, prac i przykrości, których nigdy nie brakowało.

Jakaś bezradność dziecinna była w tych oczach młodego starca, zapuchniętych od snu i jedzenia, zakłopotanych wobec nie cierpiącego usuwania się w kąt i w cień, i w zapomnienie,

życia. Król dobrze rozumiał psychologię, strusia, chowającego głowę w piasek, żeby nie widzieć jak najdłużej grożącego mu niebezpieczeństwa. Chciał ciągle zapominać się i — zapominał.

A było o czym pragnąć zapominać. Wojna z Turcją toczyła się nieszczęśliwymi bitwami, wojsko nie miało czym się bić, było wygłodzone i coraz bardziej niesubordynowane — zwłaszcza odkąd zaległy w płatnych wojskach wypłaty królewskiego dla nich żołdu. A skarb był ciągle pusty. Z próżnego i Salomon nie należy — myślał sobie zrozpaczony król, dolewając do kieliszka z flaszki wódki gdańskiej, pod zakąskę grzybkową litewską, pod kołduny litewskie, pod pierogi ukraińskie z kwaśno-słonym serem, pod ozór w sosie polskim, pod krwawy półsurowy befsztyk po angielsku.

Zwycięstwo Turcji nad Polską przemieniało — umową buczacką — królestwo króla Michała Korybuta w podobieństwo do lennej zawisłości wobec sułtana, jak to działo się z krajami bałkańskimi. Bałkany robiły się powoli z Polski.

Coraz smutniejszy był król, miał parę lekkich ataków apopleksji, po których następowały okresy zupełnej, znieruchomiełej apatii.

Podczas takiego stanu raz, gdy serce już odmawiało coraz więcej posłuszeństwa — i doktorzy mówili o bliskim końcu króla, w razie powtórzenia się ataku — siedział Korybut przy oknie, w głębokim fotelu i patrzył na świat. Na świecie padał listopadowy deszcz, ptaków nie było już, odleciały do ciepłych krajów gdzieś, były lekkie, dobrze im było tak lecieć. A król nie mógł się z krzesła znowu ruszać.

Nad wieczorem nastąpił atak ostatni. Gdy doprowadzono króla znów jeszcze do osłabionej przytomności, przysła wieść o zwycięstwie wielkim hetmana Jana Sobieskiego nad Turkami pod Chocimem, w Besarabii. Król z okna widział półkiszczyc, wciąż chowający się za chmurami, i czuł się w tych chwilach swoich ostatnich szczęśliwy — ale już nikt o nim nie myślał — nie mówił — imię Sobieskiego było na wszystkich w kraju ustach.

Książd stał nad trupem królewskim, nad jego nalaną tłustą twarzą, skrzywioną tragicznym wyrazem bólu.

W następnym roku — ten, kto był na ustach całej Polski — został obrany na króla, hetman wielki koronny, Jan Sobieski — wykrzyknięty elekcją niemal jednomyślną — pod imieniem Jana III.

Wyobrażano go sobie zawsze przy szabli i na koniu. To był wojskowy król, — takiego nam trzeba — narodowi rycerskiemu — mówili. Śpiewały o nim kresowe pieśni na południu i wschodzie Polski. A Turcy uwielbiali jego typ, jak on — Sobieski — po cichu — uwielbiał strategię wojskową i bitność tureckich wojsk w stepowej wojnie.

Nie rozstawał się też król od początku z szablą.

Stanął z Turcją traktat żurawiński. — Odzyskiwała powoli Polska utraconą pozycję wojenną i polityczną, podział wpływów na czarnomorskich stepach rozłożony zaczynał być miarowo między sułtanem a Sobieskim.

Tylko Podole, z twierdzą niezdobytą, Kamieńcem Podolskim zostawało pod Turcją — czego nie mógł Sobieski odzyskać. To był kąt ulubiony jego marzeń, jego sentymentu — do tej ziemi, bolesnego.

Razem z „Art poétique” klasycznym francuskiego Boileau — jak pisać wiersze — wstąpił w tymże roku na tron polski, Jan III Sobieski — prawidło (mówiono) jak wojować. Prowadzić bitwy — to pisać wiersze; bitwa może być jak wiersz wygrana lub przegrana, wiersz może być doskonały jak bitwa, lub wadliwy jak bitwa. Trzeba uczyć się sztuki poetyckiej i sztuki wojskowej. A nade wszystko — trzeba być poetą — tak z piórem lotnym w rękę, jak z szablą w rękę.

Wtedy to angielskie *Habeas corpus*, ochrona indywidualności ludzkiej prawem, broniąca od gwałtu bezsądnego — a w Polsce jeszcze wciąż pozostawała tylko szabla — jedyną ochroną bezpieczeństwa zbiorowości i indywidualności. W czasach bohaterów żywych poety hiszpańskiego Calderona, który już miał za sobą całe tłumy *dramatis personae* rycerskich i romantycznych — już w sztukę zaklętych wieczną — a przed sobą miał Calderon już tylko jeszcze jakiś jeden rok życia swego — wtedy w Polsce dzikie pola pod turecką, rosnącą wciąż nawałą tworzyły bohaterów calderonowskich żywych, rycerskich — postacie dramatów nie napisanych Polski tego czasu.

Czerwone łuny pożarów płynęły wciąż nad południowym wschodem, posuwając się coraz dalej na zachód. Wojska sułtana naprzód szły, niosąc swoje półksiężyce na zielonych sztandarach proroka Mahometa, trzęsąc buńczukami z końskich ogonów ozdobionymi kolorowo, dźwięcząc kapelami dzikimi janczarskimi,

zadziwiając zachodni świat niezwykłością i znakomitą wyszkoleniem wojennym swych armii niezliczonych.

Już król francuski docenił tę największą wówczas potęgę wojskową i wszedł w pakt z sułtanem strategiczne. — Ofensywa turecka posuwała się na cesarstwo niemieckie, na stolicę cesarstwa — stary Wiedeń.

W Wiedniu paniczny był alarm. — Przychodziły coraz groźniejsze pomruki-wieści do kwatery wojennej cesarza Leopolda I. Bronił zawzięcie oblężonego Wiednia generał austriacki książę Starhemberg, upadając na siłach.

— Bronić cesarstwa niemieckiego — teraz, kiedy wszystko przemawia za utrzymaniem załatwionych po części stosunków politycznych z sułtanem; cóż za szaleństwo — myślał król.

Zawsze prawie powtarzał sobie myśli żony swej ukochanej Marysieńki, Francuzki rodem, dyplomatkę wielką z urodzenia, pięknej kobiety i powabnej z przeznaczenia.

Powtarzał jej słowa i zdania, na które nigdy od razu nie przystawał, przeciwić się im w danej chwili całą duszą — potem jednak przyznawał im słuszność i postępował według nich.

Powiedziała przecie Marysieńka:

— Ssensu nie ma!

Wiadomości z Wiednia przychodziły coraz trwoźniejsze. Podkopy tureckie pod miasto mogły sprowadzić lada dzień jego upadek (oblężenie wyczerpało przecież siły broniących się, zużywały się zapasy broni i prochu — a przede wszystkim żywność, w zamkniętych szczelnie murach wielkiego miasta).

— Marysieńka zawsze miała rację — myślał król Jan Sobieski, zajmując się sadzeniem w rzędy lip, wysadzając aleję wilanowską. — Król francuski proponował sojusz, trójprzymierze francusko-polskie-tureckie, to była wielka koncepcja światowa. Już król polski skłaniał się do niej. Nie dawały mu możliwości na to wpływy kościelne w Polsce, wpływy międzynarodowe katolickie, sam Rzym. Jakto, z pogaństwem tureckim przeciwko chrześcijaństwu, przeciw katolickiemu cesarstwu niemiecko-austriackiemu?

Lipy, młode smukłe lipy wyrastały jedna po drugiej, znacząc drogę do Wilanowa, ulubionej miejscowości królewskiej, barokowego zgrabnego pałacyku — w przepysznych tonącego ogrodach.

Oprócz wieści z oblężonego Wiednia, zajęła pod barokowy wilanowski pałacyk kareta, otoczona konnymi hajdukami. Nie byli to goście zwyczajni. Sobieski w białym letnim żupanie,

z rozpiętym od gorąca kołnierzem na szyi, stał z rękoma założonymi za pas szeroki zajęty był lipami młodymi.

— Zasadzę dziczkę, wyrosnie drzewo. Zasadzę małe — wyrosnie duże. — Nie będzie mnie, a drzewa będą szumiały — przygadywał pod sumiastym wąsem, który mu coraz bardziej ku dołowi, bujny i pyszny, osiadł.

Do tej jeszcze niewyrośniętej alei drzew — podeszło dwóch ludzi — reszta przybyłych w powozach dostojników obcych zatrzymała się na ganku pałacyku wilanowskiego.

Dwaj ludzie: poseł cesarza Leopolda austriacko-niemieckiego i legat papieża.

— Właściwie to jest kruczata — mówili.

Sobieski był przez całe życie chory na melancholię. Mówiono o nim — melancholijny Sobieski.

A wyglądał nie na melancholię.

Był piękny po polsku i po szlachecku, z szlachecka nosił się, w kontuszu zawsze chodził, nie rozstawał się z szablą, a oczy jego dobroduszne i uśmiechnięte, miały w zapatrzeniach się długich w jeden punkt wyraz niezgłębionego smutku lub niezwykłej gniewliwej zapamiętałości. Ale tych oczu smutnych nie widziano przeważnie w królu, widziała je za to często żona, która wolała gdy miał złowieszcze wojenne Marsa oczy, niż ten uśmiech gorzkiego żalu w oczach.

Sobieski obiecał żonie pisać listy z obozu.

Z daleka już było widać wojskom polskim Wiedeń. Stał na górze. Niebo było od dymów czarne. Zbliżała się jesień. Wojska polskie pod Sobieskim szły nieustającym marszem, mijając obce ziemie. Ziemie były pełne lęku, popalone pożarami, wyniszczone wojną. Wiedeń już chwiał się, już bliski ostatecznego wyczerpania i rozpaczliwych decyzji dowództwa cesarskiego.

Bitwa pod Wiedniem — zaczęła się rano, wczesnym ranem. Wrześnie wschodziło słońce. Posiłki polskie stały na górze — król na koniu ze sztabem na górze podwiedeńskiej i obejmował wzrokiem całe pole bitwy.

Cisza szła z obozów, z pozycji tureckich. Sobieski dłonią wydawał rozkazy przed bitwą.

Bitwa zaczęła się.

Trwała w pełnym słońcu. Łamały się wojska tureckie i pol-

skie. Impet wojsk polskich, trzymających inicjatywę natarcia, przełamywał niezliczoną turecką armię.

Atak — szarża husarii polskiej łamała bitwę już decydująco. W panicznej ucieczce tureckich wojsk sułtana — ścigały wojska Sobieskiego uciekających. Zabierały im coraz nowe tabory.

Najzaciętsza krwawiła się walka koło zielonego sztandaru Proroka — sztandar padł na ziemię ze złamanym drzewcem — podchwyciła go husaria w ręce i galopem go niosła do stóp króla polskiego, który na koniu stał — Sobieski pod Wiedniem.

Wiedeń był ocalony. Armie tureckie, ścigane przez połączone polską i niemiecką armie — poszarpane zostały przez Sobieskiego ostatecznie w bitwie pod Parkanami.

Wyschnięty, kościsty, o kobiecym wyrazie twarzy, ubrany w żelazną zbroję i długowłosą z lokami parukę — podjeżdżał cesarz austriacki Leopold I na koniu — do króla Sobieskiego na koniu. Wjazd Sobieskiego zwycięzcy do Wiednia — był pełen wiwatów, kwiatów, łez kobiet z dziećmi na rękach, i szafu radosnego uniesienia ludności — dla polskiego zwycięzcy. — Cesarz Leopold był zimny. Jego tak nie witano w rodzinnym Wiedniu — popularność europejska Sobieskiego zaćmiła cesarza swym potężnym cieniem polskim.

Sztandary i skarby tureckie wracały zdobyczne z królem polskim do jego ziemi.

Mówiono i pisano o zwycięstwie białego orła nad półksiężcem. Rysowano horoskopy króla polskiego po całej Europie Zachodniej. Rzym wieńczył Polskę swoimi namiestnikowskimi laurami.

Zwycięstwo kawalerii polskiej pod Wiedniem uwieczniło jej sławę w Europie — na kilka wieków naprzód.

W tym ogrodzie, gdzie zasadzał drzewa Sobieski — w altanach, obrosłych kwiatami, w parku na ławkach, w parku strzyżonym według smaku francuskiego, ludwikowskiego, sztucznie — w zieleni strzyżonej i jakby fryzowanej na podobieństwo paryskich peruk — spędzał samotne godziny myśli król Jan III; czasem towarzyszyła mu w tych samotnościach zawsze rozszczerbotała, mimo zachodzących już lat, kiedyś śliczna Maria — Marysieńka, jego żona.

Miała swe troski o synów — o ich wpływy, znaczenie, kolicę, o ich popularność w polskim narodzie szlacheckim, o ich majątek, który zawsze pozostawiał jeszcze wiele do życzenia i — nade wszystko — o ich królewski po ojcu spadek.

W ogrodzie wilanowskim — z którego był cudny na Wisłę widok, sentymentalny, w stylu wieku właśnie kończącego się XVII-go, odbywały się te wszystkie egzaltowane i bezradne monologi królowej, na które król już coraz mniej reagował. Owładła nim potężniejsza apatia, która z romantycznego rycerza chrześcijańskiego, sarmackiego, czyniła melancholiczną postać sceptyka filozofa.

Mówiła czasami Marysieńka:

— Na pamięć naszej miłości czujęj. Janku, na pamięć twoich listów zakochanych, pisywanych do mnie z wojny, na miłość naszą wieczną do dziś — zaklinam cię, ocknij się. Nad światem przeciągają burze, niebo się i nad naszym krajem chmurą coraz gęściejszą powleka, trzeba myśleć o dniach idących; o sobie, o nas, o dzieciach naszych.

Wieczorem, wcześniej kładł się Sobieski do złożonego łóżka, ale nie mógł długo z wieczora zasnąć.

Marysieńka, nie pierwszej już młodości, usiadała przy mężu i czytała mu na głos francuskie dzieła swego wieku XVII-go. W lustrach odbijała się jej sylweta pełna i foremna, ubrana w nocne drogie koronkowe z futerkiem peniuary różowo paryskie. Twarz jej, mocno upudrowana, wyglądała wtedy podobna do twarzy ogromnej dziecinnej lalki, która oczy zamruża to znowu odmyka — i mówiła ta wdzięczna i mądra lalka po francusku, szczebiotliwym językiem, pieszczotliwym akcentem — do milczącego króla Sobieskiego.

Przez okno patrzył księżyc jak podkowa, jak turecki półksiężyc, znak ich święty. Księżyc na nowiu... I oto jakaś znowu melancholia przychodziła...

Sprawy wschodnie Polski posuwały się coraz bardziej ku złemu. Paktami grzymułtowskimi zrzekała się Polska Kijowa, Smoleńska, Czernihowa i Drohobuża na rzecz carów moskiewskich. Sobieski czytywał wiele teraz, w książkach znajdując jedyne ukojenie na swą bezradność polityczną, wywołaną walkami stronnictw, lżeniem jego osoby, konszachtami przeciwko niemu. Coraz bardziej odsuwał się kraj od króla, jak przysuwał się kiedyś do niego, jako do hetmana zwycięskiego. Zmienne są losy fortuny — myślał król.

Król zajmował się więc książkami coraz więcej, a ludźmi coraz mniej. Książki mu zastępowały ludzi. A one nie zawsze zastąpić ich mogą. Newton, uczony, odkrywał prawo grawitacji, czyli ciężenia — na podobny sposób mógł czy musiał zaciążyć Chmielnicki od Polski do Moskwy; mógł też król polski ku książkom ciążyć więcej niż ku ludziom.

Na szczytach popularności wojskowej kiedyś — teraz na nizinach niepopularności królewskiej — taką było huśtawką jego życie. Od tego aż głowa się kręciła. Melancholia osiadła na twarzy, już jak maska.

— Oh, nie maskowana! — pomyślał, spojrzawszy kiedyś w lustro, oprawione w dziwaczne chińskie ramy. W lustrze była zmęczona stara polska twarz, siwe sumiaste wąsy ukraińskie, sarmacki orli profil, usta prawdziwie polskie, bo jakby smakujące piołun.

Umierając powiedział Sobieski:

— Nie ma człowieka, nie ma ani jednego...

Polska była głucha na te jego ostatnie słowa. Nie stała u jego łoża. Mając jeszcze na tronie „Piasta”, o którego tak bardzo wołała — zajmowała się teraz obcymi wielkościami.

Zaczynały się źródła rokoka.

Zaczynały się źródła rokoka. Barok nabierał skrzydeł, upowietrzniał się — chmury zmieniały się w obłoki — kryzy w żaboty, łydki stawały się cieńsze, lżejsze i misterniejsze peruki, lżejsze a ostrzejsze szpady, słowa razem ostrzejsze i lżejsze w brzmieniu.

W Polsce Sobieski dożywał ostatnich swoich lat melancholicznych, smutnych i beznadziejnych. Wtedy w Rosji zaczynał swój młodzieńczy, dziecinny jeszcze prawie, a potężnie już zarysowujący się żywot — Piotr Wielki, obwołany carem Wszechrosji europejskiej i azjatyckiej.

W roku śmierci Sobieskiego szedł młody car Piotr Wielki z wojną na czarnomorskie stopy; wojował, zwyciężał, kaźnił i zabijał, zdobył port Azow (turecki) nad morzem Azowskim, łączącym się cieśniną z morzem Czarnym.

Nad epoką, która przychodzi dominuje swą wielkością Piotr I rosyjski. On dyktuje politykę na wschodzie Europy. On przejął rolę dawnej Polski wielkiej, tworzył na to miejsce rolę wielkiej Rosji, europeizowanej gwałtem. Z Azji rosyjskiej wyciosywał rosyjską Europę. Był tym dla Rosji, czym dla Polski zaczynał być, lecz roli swej nie dokończył — prowadził ją tylko przez dziesięć krótkich lat — Stefan Batory.

Polska topniała stopniowo, pod tym wiatrem kontynentalnym, który teraz z Rosji począł wiać. Gaśła powoli Polska, aż zgasała po jednym wieku gaśnięcia stopniowo, paraliżowana stopniowo — członek po członku — paraliżem śmiertelnej choroby rozkładowej — żywe ciało pachniało już zawczasu trupem — na długo przed pierwszym zgonem, stwierdzonym przez lekarzy europej-

skich — gdy sporządzony był pierwszy akt zejścia Polski — z tego świata sił panujących w Europie.

August II Sas był kandydatem na króla polskiego — wysuniętym i podpartym zarówno pieniędzmi wyborczymi na elekcji jak i wojskiem, dobrze uzbrojonym, przez Piotra Wielkiego rosyjskiego.

Było to w roku tym samym, kiedy Piotr młodzieniec, wyrwawszy się z swej azjatyckiej ojczyzny, pojechał w kształcącą go podróż na zachód, po Europie. W podróży tej spędził pracowity i hulastyczny rok, objeżdżając stolice i porty świata — buszując szeroką naturą po kulturalnych centrach życia zachodniego, wynajmując się jako prosty drwal lub robotnik portowy w dokach holenderskich — uczył się rzemiosł, czytał książki, dysputował z filozofami, uczył się rządzić, panować, uczył się dla siebie Europy.

W deszczowej Zachodniej Europie — wyuczył się nowego człowieka, który wstępować miał nowymi metodami w XVIII-ty wiek oświeconego absolutyzmu. Z ideami tymi wracał do swej brodatej, pełnej przesądów prasłowiańskich i pogańskich Rosji — gdzie czekał go na początku bunt moskiewskiej carskiej gwardii, strzelców.

Uśmierzywszy bunt krwawo, — przebrawszy się po hollendersku w kubrak mieszczkański, w trójkątny kapelusz wojskowo-szwedzkiego kroju, w wysokie z odwijanymi cholewami szwedzkie botforty, albo w niemieckie grube włóczkowe pończochy i trzewiki na wysokich obcasach — przypasawszy rapier szwedzki z szeroką gardą — strzygł i golił moskiewskich bojarów i kupców — skracając wszystko, co nie było mu posłuszne ślepo, skracając krótkim sposobem o głowę.

W Polsce siedział z łaski cara Piotra Wielkiego i z łaski zawieruchy ustawicznej w polskim kraju — saski elektor August II, przezwany Mocnym.

Fizycznie był on z rodziny typu Piotra Wielkiego — tylko głową nie dorastał mu do jego grubych, potężnych łydek. Miał rękę żelazną, August II, bo giął podkowy końskie jak druty — i siły miał męskiej w sobie nadmiar, jeśli chodzi o boje z babami. Tuzinami, potem setkami od razu — liczył sobie łamane podkowy i pogięte przemocnie ciała kobiece, — których stawiał się królewskim bóstwem.

— Mocny! — mówiły kobiety, różnych maści, stanu i narodowości, omdlewając w ramionach Sasa. — Mocny jest polski król — szeptały w zalewach rozkoszy.

A był słaby, zupełna słabowitość człowieka.

— Słabota mizerna — mówił o nim z pogardą Piotr rosyjski, chociaż znał dobrze jego muskuły, którymi August II Sas lubił chwalić się przed wszystkimi, a więc przede wszystkim przed swym przyjacielem i opiekunem potężnym, Piotrem.

Za jego to wstawiennictwem (i Austrii) doszło do tego, że w światowym pokoju karłowickim, oddano królowi polskiemu Podole z twierdzą Kamieńcem.

Piotr gotował się bowiem do swej wielkiej kampanii wojennej z Szwecją. Było to dlań „być albo nie być” — polityczne. Albo morze Bałtyckie, wschodnie, dla Szwecji, albo dla Rosji.

Młody był car rosyjski. Młody też był nowy król szwedzki, Karol XII — ten miał dwadzieścia zaledwie lat, a już był wodzem wielkim w świecie.

Zaczynał się pomiędzy nimi pojedynek. Terenem spotkania stawały się znów ziemie polskie — na nich zaczął się pojedynek rosyjsko-szwedzki i na nich się zakończył.

Zaczynała się północna wojna. Rosja z Polską przeciwko Szwecji. Wojna miała dwadzieścia jeden lat trwać. Zaczęła się na końcu, w ostatnim roku, XVII-go wieku. August II Mocny szedł ręką w rękę z Piotrem Wielkim, a ich wojska szły nogą w nogę.

Bitwa pod Narwą, Bitwy pod Rygą i Kliszowem.

Szwedzki Karol XII bił sprzymierzeńców polsko-rosyjskich.

Powstawało w miesiącach tych królestwo pruskie, z elektorstwa brandenburskiego.

Na pustkowiach, na zimnych błotach finlandzkich, budował Piotr Wielki swą nową stolicę, miasto swego imienia, przekłute w narodzie, Petersburg.

Karol XII szwedzki zwyciężał w pierwszych latach wojny — zajmował całą Polskę — wojska szwedzkie znów żyły w Polsce — zdeteronizowano rosyjskiego pupila, króla Augusta II Sasa; obwołano — na rozkaz króla Karola XII szwedzkiego — wojewodę poznańskiego, Leszczyńskiego, królem polskim.

Wzbraniał się długo Leszczyński — wreszcie przystał. Między Polską a Szwecją stanął pokój w Altransztadzie.

Lecz zmieniały się powoli losy wojny. Szwedzkie wojska posuwały się na wschód, na Ukrainę polską, graniczącą z rosyjską Ukrainą.

Piotr Wielki podawał Augustowi II swoją wielką łapę i uspokajał go, że wróci on jeszcze do swojego kraju. August

Mocny nie czuł się mimo to tak mocnym, jak dawniej.

— Nie bój się, rozbijemy tego sukisyna — mówił Piotr, który uznawał jedynego swego przeciwnika, Karola XII szwedzkiego za godnego najwyższych trosk i starań i poświęceń — wszystkimi innymi gardząc.

Przy Karolu XII walczył hetman polskiej Ukrainy, stary, siwobrody Mazepa.

Pod Połtawą zmieniała się fortuna. Przechyliła się na stronę Piotra. Karol szwedzki rozbity uciekał. Ledwo ukrył się za granicami Besarabii tureckiej. Tam w Turcji, na emigracji przebył kilka lat. Złamana już była jego potęga, poderwana zwycięska, niewyciężona w świecie gloria.

Piotr triumfował. Pił teraz po całych nocach.

August wracał do Polski — królem. Król Leszczyński, po upadku Karola szwedzkiego, musiał uchodzić z Polski. Wojska saskie i rosyjskie znowu załapały całą Polskę. Majestat Augusta Sasa wracał na polski tron.

W sejmie niemym — witano ten powrót.

Za sprawą Piotra Wielkiego rozbrajano Polskę z siły zbrojnej.

Polityka światowa Wschodu i Północy toczyła się zawrotnym teraz tempem.

Prusy obejmowały Pomorze.

Rosja od Szwecji zabierała Inflanty, Estonię, Karelię, Ingrię. Ukazała się książeczka „Robinson Kruzoe”.

Piotr Wielki zmarł.

Cień Piotra Wielkiego — za życia jego i po śmierci — panował nad połową Europy. On nadał piętno epoce na Wschodzie, do którego włączona była Polska. Już była Polska podobna wtedy do dominium, do rosyjskiej kolonii carów. Zachowywała pozory — przy stylu wystawnego życia rokokowym — samodzielności polskiej — lecz to były już tylko pozory, zwierzchnia szata.

Saskie ostatki. W mrozy trzaskające, od dworów do dworów mknęły z kagańcami kuligi.

Ciszej — oto znów zaczyna się w tym kraju jakaś wojna,

w tym kraju nieustannego niepokoju wojennego, w tej nieszczęśliwej ziemi, na której ludziom kurzy się z czupryn jak z komińców — a są tacy, nade wszystko obcy — którzy umieją do tego zapalnego stanu głów doprowadzać naród tego kraju. Przykładają — rzucają bodaj z daleka isierki ogniste — a już pali się słomiany ogień polskich dusz smutnych i temperamentów wesołych, palą się słomiane przy tym strzechy szlacheckich dworów i chłopskich chat.

Szły szept o nowej wojnie. Słyszano, że zaczyna się teraz — po śmierci Augusta II Sasa, zwanego Mocnym — polska jakaś wojna sukcesyjna, w której udział swój angażowały — Rosja, i Niemcy, i Włochy, i Francja i nawet Hiszpania. Po śmierci Augusta II pretendował z poparcia Rosji i Niemiec syn jego August III Sas. A tymczasem był jeszcze — gdzieś tułał się po wygnaniu — koronowany polski król Stanisław Leszczyński — wyniesiony na polski tron przez szwedzkiego Karola XII. Karol nie żył już — mało znaczył głos Szwecji w dyktatach międzynarodowych. Leszczyński tułał się po niemieckich książęcych, gdzieśgdzie gościnnych zamkach — nie opalano mu pieców, marzył z swą młodziutką córką, Marią, późniejszą królową francuską. Pisał wtedy swe dzieła polityczno-filozoficzne. Pisał swój głośny potem — wtedy jeszcze zupełnie niedosłyszalny — „Głos wolny wolność ubezpieczający”. A pisał to właśnie w niewoli życia swego i niemocy działania — pierwszy projekt idealnej Ligi Narodów i świata Paneuropy — w tych sprawach do Polski należał pierwszy głos — do polskiego pióra i myśli — inicjatywa utopistyczna, niby druga „Utopia” Morusa.

I pisał o chłopskiej sprawie, w szlacheckiej Polsce: utopię trzecią.

Sukcesyjna Polska wojna dwuletnia skończyła się zwycięstwem — nijakim i niczym — chyba Augusta III, którego mało co zresztą obchodziło. Mówił, że kocha życie we wszystkich jego przejawach — lecz kochał je w obżarstwie i w pijaństwie, nie w stanie przytomnym umysłu — w narkozie kielicha i potrawy sutej na stołach.

Muzyki grały po Polsce. Kuligi w śnieżne zimy znów zaczęły po kraju szaleć. Radowano się, że widmo wojny, zdaje się na długo już minęło — a gdyby nawet nie było tak — to tym więcej należało łapać życie, jego niepowrotne, mijające godziny.

Wszystko żyje jak na wulkanie — jakby w nowym przededniu klęsk — chwytąć życie dopóki nie uciekło — trzeba spieszyć się — gawoty grajcie! — menuety niech suną, niech dygają, niech cofają się i następują w salach rześńście oświetlonych

pająkami osiemnastowiecznego rokoka — puder sypie się z peruk — łydki tylko drżą i drygają — polskie pasy na kontuszach popuszczają się coraz szerzej, a francuskie fraczki dworskie noszone są na fiszbinowych gorsetach.

Pieniądzy, złota, życia! Miłości, muzyki, zabawy! Zapomnienia, nade wszystko zapomnienia! Krew jeszcze wszędzie pachnie — perfumować ją, koloryzować na modny różowy francuski kolor wytwornego świata, pozłacać nędzę, posrebrzać pantofelki. Jakże męczący, oszałamiający jest ten taniec życia.

Gdzieś po świecie idą wojny, i nowe z nich rodzą się urządzenia, i wielkie walki toczą się podziemne — w przyszłość wybiegające — a tu, wszystko zaskrzepłe w staroświeczyźnie, wynosi ją na ołtarz ubóstwienia — a wszędzie już grzmi i brzęczy oręż sąsiadów. Wojska rosyjskie i wojska saskie lokują się — dla zabezpieczenia złotej wolności szlacheckiej i roztańczonego jarmarku jaskrawego Polski — lokują się niemal garnizonami całymi po kraju.

Jest jakby jakieś nowe zacisze przed burzą. Zacisze pomimo strzelania korków od butelek, pomimo szumu mieniących się zagranicznych trunków, pomimo jedwabiu, koronek i perfum, płynących z zagranicy — w zamian za polską pszenicę. Spańszczyźnione wsie, z masami ciemnego chłopstwa, przedstawiają żałosny widok, popędzane go batogami bydlą.

Czasów saskich ostatki.

Ciężkie portiere aksamitne uchylają się — zza nich ukazują się postacie owego wieku polsko-saskiego — podobne do kukieł z gabinetu jakiegoś woskowych figur. Poruszają się — porusza je tajemnicza maszyna — jak owe kurantowe kukiełki w zegarach.

Rysują się zarysy saskiego barokowo-rokokowego już budownictwa, lekkie tak jak tylko lekką może być polska natura ziemi i ludzi — place saskie, ogrody saskie, fontanny saskie — domy, kościoły z puciołowatymi aniołami, rzeźba drewniana upiększeń mieszkalnych, — złozenia drzewa i życia wystawnego.

W sen, w sen zimowy pogrąża się świat. Sen to szumny, niespokojny, niezdrowy — wciąż przebudzenia i znowu śpiączka i sen — przejezdny żołądek, przepita głowa — niepokoją uśpiony mózg — ociężałym chrapaniem, gorączkowym, odzywa się ten saski w Polsce sen — przypominającym rżenie konających.

O świecie twarze ludzkie, pańskie i szlacheckie — wyglądają

jakby twarze trupie, nalane, zastygłe, biało-żółte, jakby woskowe.

— Nalej wina grzanego — niech od rana już nie czuję śmierci w ciele — mówi pan do swojego sługi.

A słudzy mają czarne prawie, ziemiste twarze, i oddychają głodnym oddechem czczym, który ma straszliwy, śmiertelny zapach.

Tak czkawka pańska chora równoważy się z postną czczością chorą niewolnika.

Saski park pokrywał dawne gaje i zagajniki dworskie — mitologiczne ciężkie postacie, modelowane z żywych ciał ówczesnych Polski — upiękślały pustynię polską.

A tymczasem gdzieś w podziemiach polskiej ziemi — zaczynały się już odrodzeńcze kielkowania, których nawet domyślać się nie było można.

Gdzieś krzątało się już Collegium Nobilium (księdza Konarskiego) gotujące szkołami młodzież szlachecką do nowych życiowych dróg, otwierających się na szerokim świecie. Polska była jednym wówczas hucznym zaścianiem ciemnym — a w tym zaścianiu szlacheckim, bałagańskim, młode szkoły niosły Europę do zdziczałego w zapamiętaniu samobójczym kraju. Zreformowane szkoły pijarskie — wchodziły w życie, tworząc jakieś przygotowania tajemnicze do walki z tym, co teraz żyło beznadziejnością, zapomnieniem się, upijaniem się z niewyjaśnionej lecz przeczuwalnej rozpacz.

Młode pokolenia szły — zdawało się — po innych drogach myśli, niż kończące się, gasnące pokolenie starej saskiej Polski — popuszczonym szeroko pasem — zajedzone, zapite, wyjałowione tragicznie.

Ubrane ludzkie kształty, częściowo po salonowemu, częściowo po wojennemu — tłumiły się, jak błędne w kupie owce i barany. Po salonowemu — to pudrowane rokoko, to białe pończochy na łydkach obu płci, to wymyślne zabawy zmysłowego gorączkowego, jeszcze z impetem wiedzionego temperamentu. Po wojennemu — to kaftany obdarte wojny siedmioletniej, której gwałty po wsiach i miastach mało miały sobie równych i równie dziko wyrafinowanych.

To już były ostatnie noce.

Wróźono o nich z kart złowieszczych. W kościach szczupaka, odnalazłszy kosteczkowe narzędzia Męki Pańskiej, piły, młoteczki, ćwieki — wróżyli z nich prorocy domowi — bo nie masz proroków w swoim kraju — o narzędziach męki polskiej, gotują-

cych się z każdą wiosną, po zimie obzartej, pijanej, rozpustnej — tłustej, apoplektycznej.

Umysły młodsze, czytając gdzieś przy świecach woskowych o światach, państwach, o historii ludzkiej — słyszały w głuchych pojękach wiatru zbliżające się widmo końca okrutnej, rozmięgotanej, roztańczonej baśni pańskiej. Wiatry dęły z niepowstrzymaną siłą ze wschodu i z zachodu, krzyżowały się w Polsce przyszłymi burzami, splotem interesów obcych państw — politycznym i ekonomicznym — mrok napływał na tę ziemię, taką starczą nagle i wywiedłą, niespokojną taką, z oczyma wciąż pospieszными i nerwowymi, zrywającą się z jednego miejsca, aby na drugie biec — byle indziej, byle dalej — byle dalej od siebie, coraz dalej — choćby w nicość i w zatracenie.

Cień Piotra Wielkiego — martwy miedziany jeździec, który Wschód swój przekształcił w zachodnie porządki rosyjskie — cień ten unosił się nad Polską całą — przyginał swym ogromem małość przeciwstawianego mu świata Sasów i słabości wszelkiej.

Jęczały sosnowe bory Polski — a od wschodu kładły się cienie po niebie. Wojsko rosyjskie w futrzanych czapkach, z wysokimi samopałami na ramieniu, ochraniało ów stan chronicznego, beznadziejnego dożywiania Polski, dożywiania — wegetacji Polski uśpionej, snem ciężkim jakby zgwałconej.

Z Lotaryngii i Baru, które otrzymał w dożywocie były król polski, Stanisław Leszczyński, dochodziły rozpaczliwe nawoływania do obudzenia się w Polsce duszy. Echa te mieszały się z wiatrami — i nikt ich prawie nie słyszał.

Termometr Réaumura, wynaleziony wtedy, wskazywał wielkie oziębienie — największe chyba tragiczne oziębienie atmosfery — zamrażającą, zabijającą temperaturę ostatków polskiego państwowego życia.

Już jutro. Już jutro — już kończy się dzień. Jesień polska saskiego wieku kapie liśćmi połączanymi na ziemię. Jest w niej milczące pożegnanie, płakać zaczęły deszcze. Pójść z nią, z tą jesienią, w śmierć — pójść kędyś — nie powrócić. Tyle w niej pachnie uroku. Tyle dźwięczy gawotu rozkosznego, który zamiera w deszczowych powodziach, w rozkładanych, złotnistych polskich drogach.

Życie stało się złożonym więzieniem. Niewolnictwo po wsiach milczące — a po cóż to życie? Komu żyjemy? Sobie. Raz jeden, niepowtarzalny. Nawet w pieśniach wiejskich już ten dźwięk

zaczyna być słychać. Pod batogiem płynie pieśń z płaczliwymi refrenami, z bolesnym skowytom, zamiast zaśpiewu.

Koniom pańskim i psom — jakże jest lepiej niż pańskim ludziom. Konia biją, lecz karmią, psa biją, lecz karmią — człowieka biją, lecz nie karmią. Z czego i jak żyć? O świecie najwięcej głód dokucza, kiedy trzeba wstawać — a na świecie jeszcze noc — a ptaki także są głodne w zimie — wróblem głodnym żyć i ćwierkać — wróblami szarymi życie — bez kruszyny chleba — chyba z litości, chyba z kradzieży. Płaczą dzieci, dzieci polskich niewolników.

Długo padają liście tej jesieni. Chcą zupełnie огоłocić świat z wszelkiej żywej ozdoby. Niech będzie świat goły i drżący jak drzewa zimą — niech nic się już w takich lasach nie ukryje — niech świat ten zobaczy, jak życie jest groźne.

To było zbliżanie się jesiennej polskiej śmierci. Ginęła szlachecka Polska. Mijał świat polskich królewskich rozmiarów. Czały się widma ciemne — nowych dni, które przespał kraj snem ciężkim, niestrawności, zgagi i cichej melodii rokokowego menueta. Oto wstawały nowe plany — jak obudzić się z letargu, zanim ciała nie pochowają. Jakże ciężko byłoby w trumnie się budzić i pięściami przebijać pokrwawionymi wieko trumny, na które nasypała jest ziemia ciężka — jak bezradnie...

W powietrzu gdzieś pachniały rewolucje.

W powietrzu gdzieś pachniały rewolucje. Krew błękitna miała niedługo ustąpić miejsca krwi czerwonej.

W błękitnych kolorach, połączanych i posrebrzanych, w błękitnie nieba i fraków rokokowych, w obłokach białych i w białych perukach — coraz subtelniejszy, coraz zawrotniejszy prowadziła Europa taniec mieczów — ponad przepaściami ciemnymi, tajemniczymi a złowrogimi.

Może to martwe wody sztucznych, przepięknych sadzawek, a może oczy zmęczone końca XVIII-go wieku.

Cień Piotra — po kilku słabych cieniach — zastąpiony został przez drugi wyraźny cień rosyjski. Była to kobieta młoda jeszcze i piękna, wchodząca w wiek balzakowski, władczą i rozpustną, blondynka nosząca srebrzyste, upudrowane peruki, rumieniąca i bieląca pełne, krągłe, zdrowe i ładne swe policzki, upiękzone tu i ówdzie czarną, pachutliwą muszką — ślady zapałów krwi, z kokieterią odkrycie ukrywanych.

Księżniczka niemiecka z domu Anhalt-Zerbst, za mężem — Piotrem III — Katarzyna, po śmierci, po dokonanych przez nią współ z zausznikami i ulubieńcami zamachu na tegoż Piotra III, — Katarzyna była już carycą Rosji samowładną.

Zbiegało się jej wstąpienie na rosyjski tron z ukazaniem się jednoczesnym Rousseau'a „Umowy społecznej”.

W salonach pałacu petersburskiego carów czytywała młoda caryca, po francusku, najnowsze wydania nowoczesnej literatury francuskiej — przeniknięta racjonalizmem oświeconym swego wieku. Pomiędzy lubieżną swą i pyszną sypialnią, politycznym działaniem i aktywnością wielką w rządzeniu niezmiernym swoim państwem — poświęcała Katarzyna II wolny czas na światowe literackie wykształcenie umysłu i smaku. — Jakież białe noce

petersburskie, a wśród nich romans młodej wielkiej księżny z młodym polskim magnatem, Stanisławem Poniatowskim — w swoich odbłaskach przyniosły króla nowego Polski, z polecenia carowej i skoncentrowanych u Polski jej wojsk — przyniosły króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Bliskość z dworem rosyjskim pretendenta do tronu polskiego, a teraz króla — odbijała się od razu w pozycji nowego monarchy. Oświecony, wykształcony, gładki — o artystycznej duszy człowiek na tronie — współpracował przede wszystkim, u swych monarszych początków, z zaprzyjaźnioną z dworem rosyjskim a w Polsce najwplywowszą wówczas magnacką rodziną książąt Czartoryskich z Puław. Czartoryscy wprowadzali do Polski — opóźnione za Europą lecz na wielką w Polsce zakrojone miarę — reformy państwa, organizujące naród, coraz bardziej już sobie bezpański, nie panujący sobie — oświeceńszy więc tragiczniejszy z każdym dniem, lecz coraz słabszy w wojennej odporności. Rozszerzał się pacyfizm w całej Polsce i defetyzm, zakwitała powoli na ugorach oświata, początki i nauk i sztuk — odrodzenie, klasyczny wiek (jeszcze w ramach, w nawiasach rokoka) — protest żywotnych, postępowych sił w narodzie przeciw bezmyślnym przygodom przeszłego pokolenia.

Na Nowym Świecie w Warszawie założono korpus kadetów — jednym z młodych kadetów stanisławowskich był Tadeusz Kościuszko, uczeń zdolny w matematyce i w geometrii. Życie znalazło swe sceniczne lustro — życie owego czasu stanisławowskie, marzące coraz więcej o zachodnim klasycyzmie, przeciw pustym formułom rokoka — znalazło wreszcie swe lustro patetyczne w otworzonym w Warszawie stałym teatrze. — A było czemu odbijać się w tym lustrze deklamacyjnym i gestowym.

Obce światy zalewały Polskę — obce światy oświecone z zachodu — i zbrojne armie wschodnie. Mieszało się to wszystko w jakiś międzynarodowy gwar nieprzytomny, niepozbawiony artystycznego wdzięku, egzotycznego jarmarku, nowej wędrówki narodów wzdłuż i wszerek po całej polskiej ziemi.

Był w tym jakiś świt — zapowiedź może rozkwitających dni — ojcowie ustępowali miejsc synom — ojcowie, którzy stracili swą młodość marnotrawnie. Marnotrawni ojcowie, zamiast biblijnych synów marnotrawnych. Starzy byli zdziecinniałymi młodzieńcami złotymi, a młodych stanisławowczyków posypywała przedwczesna siwizna troski i myślenia za całe dwa pokolenia, albo i trzy wstecz.

Życie odżywało na wszystkich polach w kraju — tylko siły

wojenne stawały się podobne w Polsce do mitologicznych postaci ustawianych w ogrodzie łożenkowskim — mówiło się o nich dużo — a one były już tylko działaniem na wyobraźnię, metaforą politycznych sił realnych. Król Stanisław August Poniatowski był posłuszny w tym swej protektorce, dawnej kochance lat młodzieńczych, teraz groźnej imperatorowej, Katarzynie.

Smukły, wysoki, kształtny i ubrany po francusku; piękny, o regularnych rysach twarzy i mówiący po francusku — król Stanisław August Poniatowski, na zamku warszawskim, otoczony małowidłami i rzeźbami pięknych gołych bogiń, modelowanych z natury żywej — rozwieszonymi po ścianach, poustawianymi w kątach królewskich komnat. Sale rzeźbiście oświetlone kandelabrami u pułapów — szkło zamarzło na oknach mroźnymi kwiatami egzotycznymi, lustra błyszczą światłem i ciepłymi kolorami ludzkich strojów i ciał, posadzki błyszczą tańcem, płynącym — w łabędzych ruchach — menuetem.

W książkach czyta Stanisław August prawa nowego życia — już ma się ku końcowi wiek XVIII-ty — wieczny karnawał nie trwa wiecznie — umiejętność myślenia ścisłego nie może już pozwolić na zamykanie ślepo oczu na codzienne głucho pomruki, dobywające się z samych nizin społeczności ludzkiej.

Panowie klaszczą w dłonie, panie tańczą. Są wszyscy jak dzieci, poprzebierani — jak dziecinne pompadurowskie lalki. Bawią się w grę towarzyską, zwaną miłość. Opiewają najskrytsze wdzięki swych ulubionych zabawek, z tyłu stron powabnych kobiet. Bolesne są czasem żarty puste — z kobietami, zapominającymi na bezdrożach śmiechu o swej bezbronności — zapłakane bywają ich liliowe, subtelnie podcieniowane powieki — chrzęszczą kruche kosteczki ich białych ciał. Są one jak rasowe wyścigowe klacze, do których stosuje się wszystkie pieszczoty i wszelkie odmiany biczków. A mimo to — one panują nad światem XVIII-go *fin-de-siècle'u*.

Któż tam może wiedzieć o tych wszystkich subtelnościach umysłowych i uczuciowych, jakimi żyje król, jego dwór, wzorowany na dworze francuskich Ludwików, i całe jaśnie państwo — zamyślane lub rozbawione w sposób delikatny, kameralny — któż tam o tym będzie wiedział i rozpoznawał istotę tego zaczarowanego świata zachodniego, w jaki — podobnie do narkotycznego odurzenia — wpadała ta, o wysokich imionach i nazwiskach, Polska?

Wiadomo natomiast nie to co w tym dobre — ale co złe,

i co rzuca się jaskrawo w oczy — upada Rzeczpospolita, już jest tak jak zupełnie bezsilna, nie ma siły wojennej — a cóż oprócz niej gwarantuje jej nienaruszalność ziemską. Tego nie ma — to najwięcej daje się odczuwać tym, którzy wiedzą, po jakiej równi pochyłej toczyły się losy krajów obezwładnionych, rozbrojonych — wśród uzbrojonego po zęby otoczenia międzynarodowego. To tak samo — myśli pierwszy lepszy konfederat barski — tak samo jakby mi odebrano szablę ojcowską i powiedziano, napadłszy — broń się.

Konfederat barski święcił ojcowską szablę w klasztorze Baru na Podolu — święcenia dokonywał tajemniczy mnich ksiądz Marek. Konfederatów zbierała się liczna gromada, przekształciła się w powstańczą armię.

Na jej czele stał pułkownik Pułaski, w czarnej węgierskiej czamarze, z krzywą szablą turecką u smukłego młodzieńczego boku.

— Co robić? — pytali konfederaci, odśpiewawszy swą rewolucyjną pieśń bojową, w której zrywano z tronami a modlono się do Królowej Korony Polskiej, widniejącej na biało-amarantowych sztandarach — Matki Boskiej.

Wojska konfederackie, konne, ciągnąc za sobą wozy obozowe, — ludzie w barankowych rogatych czapkach, z ryngrafami Matki Boskiej Berdyczowskiej cudownej, bizantyńskiej, na piersi, pod koszulą, na owłosionych męskich gorących i młodych piersiach, występowały — po szlachecku — przeciw tym możnym panom, którzy uwikłali króla w politykę niepolską, obcą, bezwolną i posłuszną zagranicznym potężnym tronom.

Wybuch powstania konfederackiego przeciw Rosji i polityce prorosyjskiej, zbiegał się z wybuchem wojny rosyjsko-tureckiej. — I wtedy to rozpoczął, w tymże roku, swe podróże po Europie, Anglik James Cook — od którego są wagony Cooka.

Było to powstanie szlacheckie, staropolskie, religijno-rewolucyjne. Co z nim począć? — myśleli kierownicy polityki polskiej, ludzie obcy. Mianowano więc powstanie to — powstaniem panów, podnosząc przeciwko niemu chłopską czerń. Na kresach wschodnich, na Ukrainie był teren tych walk konfederackich, tragicznych.

Zapłonęły na Ukrainie pożary. Żelazniak i Gonta, przewodnicy kozactwa — palili polskie dwory, różni na czele chłopskich band panów i księży.

Była humanńska rzeź.

Wojska królewskie polskie, wspomagane przez wojska Katarzyny II, uśmierzały te bunty — rozbijając też wojska konfederatów barskich — nie mogły ich jednak doszczętnie wytępić — uszli konfederaci po kraju. Pułaski bronił się — aż do pierwszego podziału Polski — w górach, w górskich zamkach — taktyką romantycznych zbójników — tylko że celem tych zbójników było zdobywanie niezwykłego, szczególnego skarbu — Polski. A skarb ten tonął, coraz na głębsze szedł dno.

Katarzyna II była Rosją, Maria Teresa była Austrią, Prusami był Fryderyk II Wielki.

Stanisławowskie czasy polskie.

Już huczą podziemne nurty rewolucyjne — trony trzęsą się, choć o tym jeszcze nie wiedzą. Podmuchy rewolucyjne szły z zachodu. Literatura francuska przywiewała zapowiedź ich i zasiewała je w umysły nie ślepe — widzące świat i jego nową, budującą się kolej historyczną.

Dookoła Polski zbierały się chmury, zaciskały się ręce sojuszami i przymierzami wojenno-politycznymi.

Nad jeziorem łązienkowskim, jesienną porą błędził Stanisław August, słuchając opadania liści pożółkłych patrzył w brudną i tęskną wodę sadzawki — łabędzi na wodzie nie było tego dnia — pochowały się do swoich budek, pusty stał teatr na wyspie — król patrzył na pustą wodę, gołą taflę nieprzezroczystą stojącą wody, po której pływały tylko liście.

Chłód już zawiewał spomiędzy drzew. Niedługo zamarznie to wszystko — myślał król, podścielając swój płaszcz na ławce w parku i usiadając na niej — samotnie.

— Czy Polska jeszcze była? — myślał, przeglądając tego dnia na zamku królewskim albumy francuskich sztychów, król. — Czy Polska jeszcze jest, gdy odjęto jej tyle ziemi, gdy okrojono ją ze wszystkich stron, bezbronną?

(To był pierwszy, decydujący podział Polski — początek końca jej. Lecz król jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy).

Prusy wzięły Pomorze, Austria Galicję, Rosja Inflanty i Białoruś za Dźwiną i Dnieprem.

— Co poradę na to? co poradę? — mówił do siebie król, trzymając się ostrożnie delikatnymi białymi palcami za skronie, aby nawet w tej rozpaczynie nie rozwieruszyć swej doskonałej białej peruki. I patrzył w lustro, wiszące przed nim na ścianie.

Patrzył w lustro. Miał tyle swoich portretów robionych przez najsłynniejszych mistrzów swego czasu — ale żaden nie był tak tragicznie wymowny i tak artystycznie wymarzony, jak ten

portret, który mu odbijało w tej chwili lustro — to odbicie jego żywej postaci w tej chwili w lustrze.

Cienie błądziły po ścianach, zmierzch zapadał w zamku — kolory stroju Stanisława Augusta pełzły w oczach patrzących na nie — król patrzył na siebie samego odbitego w lustrze.

Otoczony był portretami na ścianach zawieszonymi — otoczony był nie on, tylko jego lustrzane odbicie — widział siebie na tle portretów: Katarzyny II rosyjskiej, dekolowanej głęboko, w białej peruce, dawnej swej kochanki — taka była piękna w młodości, gdy z nią romansował, teraz jeszcze są tego ślady tej odkwitającej piękności; dalej wisiał na ścianie portret Marii Teresy austriackiej i portret Fryderyka II Wielkiego pruskiego. Te dwa portrety mniej do niego mówiły niż ten pierwszy — ale pomiędzy te trzy twarze portretowe wmieszana była jego, Stanisława Augusta, żywa twarz, odbita w zamkowym ściennym lustrze.

Zaczęło się to od Piotra I Wielkiego, rosyjskiego.

— Cóż ja? — myślał, bił się z myślami błądy, delikatny, nerwowy i przewrażliwiony, żywa mimoza — król. — Cóż ja? Dlaczego to na mnie się wszystko wali? Dlaczego mnie za wszystko to winią. Czemu chcą mnie za to zgładzić ze świata...

I przypomina się królowi owa noc listopadowa, najstraszniejsza, z deszczem, gdy porwali go konfederaci na ulicy Miodowej, ich podjazd konny wioził go już za miasto, do jakiejś karczmy pod Marymontem — i jak potem odbito go, jak od śmierci pewnej uratowały przypadek i oko Opatrzności. Noc ta była ciemna. Konfederaci zbłądzili w ciemnej, pustej, nieoświetlonej Warszawie, w drodze na Bielany. Pogubili się, stracili z sobą łączność. Czyż mógł uwierzyć król, że chcieli go tylko mieć przy sobie — jak ogłaszali teraz w kraju i za granicą — że chcieli go mieć na czele swojego ruchu, jego — widomy symbol władzy polskiej. Chociaż chwilami, wbrew śledztwu rosyjskich władz, wbrew zapewnieniom ambasadora rosyjskiego, dyktatora stanu w Polsce, Repnina — wbrew temu wszystkiemu czasem wierzył, że to może nie miało być królobójstwo, tylko może ratowanie tonącego. Czemuż tedy się nie udało — czemu Bóg, w którego wolnomyślny ten król wciąż mocno wierzył — czemuż Bóg dopuścił, że jest tak, gdy mogło być inaczej...

Wtedy wojska rosyjskie, pruskie i austriackie zrobiły w Polsce spokój.

— Staś, Staś! — krzyczała teraz z klatki złotej zielona papuga, patrząc z okna królewskiego zamku na białą już, jesienną Wisłę.

A tymczasem, po pierwszym rozbiorze, Polska żywa, ta co jeszcze nie była zgangrenowana przegraną — a przeciwnie, obudzona klęską, zawróciła gwałtownie ku czynności. W ciszy martwoty w polityce oficjalnej królewsko-rządowej — odzywały się z całego kraju głosy zbrojenia się duchowego przeciw klęsce. Młodzież zbudzona, pod wpływami nowej, gotującej się do roli światowej, Francji, zajmowała się robotą — oświecaniem się i oświecaniem ginącego w jej oczach kraju.

Powstała Komisja Edukacyjna, pierwsze ministerstwo oświaty polskie i pierwsze na całym świecie ministerstwo, poświęcone wyłącznie oświacie narodowej. Zaczynały się tak, jednocześnie z goethowskimi *Sturm und Drang* — burza i napór polskie — w umysłach obudzonych.

To są czasy, gdy młodzieńcy europejscy charakteryzowali się już coraz chętniej na Werterów, kończących samobójstwem z osobistych sercowych rozpaczy. To było na Zachodzie. A na Wschodzie był bunt Pugaczowa. Goethe już mieszkał w Weimarze. Ogłoszona została niepodległość Stanów Zjednoczonych. W wojnie o niepodległość Ameryki zasłynęli Polacy wojskowi, emigranci Pułaski, konfederat barski i Kościuszko Tadeusz, wychowanek korpusu kadetów stanisławowskich, oficer królewskiej armii, w dziale inżynierii. W Warszawie grano w tych latach pierwszą operę polską. „Nędza uszczęśliwiona” Kamińskiego. Umarł Wolter, przyjaciel Katarzyny II i Fryderyka II Wielkiego — i w tym samym też umarł roku Rousseau, zwiastun rewolucji francuskiej. Umarł więc myśliciel oświeconego absolutyzmu, kończącego się, i jednocześnie umarł twórca rodzącego się rewolucjonizmu, wyłożyciel zasad późniejszych wielkiej francuskiej rewolucji. Rozbrzmiewała muzyka Mozarta. Krasicki, biskup warszawski, pisał swe polskie klasyczne satyry. Naruszewicz, biskup smoleński, wydawał swe „Dzieje narodu polskiego” — kiedy ginął widomy znak narodu, państwo. Umarła Maria Teresa. Kant wydał swą „Krytykę czystego rozumu”. Wojciech Bogusławski był w Warszawie dyrektorem Teatru Narodowego. Aż przyszedł początek polskiego sejmku czteroletniego — a w tymże roku urodzili się Byron i Schopenhauer, zwiastunowie płomieni duszy nowego wieku, które miały tak objąć pożarem — nową Polskę, rozbijającą się samobójczo o skały podwodne, jak szalony, pijany okręt w burzę.

Tak kończyły się czasy królewskie.

Wiek XVIII-ty dochodził do swego punktu zwrotnego. Na tym tle Polska — sprzęgnięta była ze wszystkim, co kształtowało

nowe oblicze świata. Stulecie rosnącego militarizmu — w oświe-
tleniu oświeconego absolutyzmu. Jakże zachować tu polską nie-
ruchomość — patrzeć w świat — myśleć, wspominać — rozum,
nowe bóstwo boże, znajdował w politycznych gabinetach euro-
pejskich coraz inną wykładnię — historia jakżeż się poukładała
na nowo.

Anglia — w sobie zmagająca się przez wieki, rozprzestrze-
niła się na świat zdobyciami swej zamkniętości długiej i zebranej
rozprężonej siły. Francuskie pałace gospodarowały w kraju winnic
i koronek ozdobnych, i myśli sprecyzowanych, ostatkami swojego
panowania. Niezmierzone wiorsty rosyjskie były straszne swoim
scalonym ogromem. Na Zachodzie powstawała burza podziemna.
Wrony zlatywały się teraz na Zachód, przeczuwając obfite plony
pobojowisk miejskich i wiejskich — leciały w kierunku Francji.

Stepy polskie ukraińskie już zostawały wspomnieniem krwa-
wym, na nich rozgrywały się resztki walk rozpaczliwych —
milczenie je ogarniało — psy wyły po wsiach do księżyca —
Wernyhora chodził wtedy po stepie, ostatni dziad lirnik polskiej
Ukrainy, białowłosy i białobrody, na białym jeździł koniu ze swą
bandurą z czerwonego drzewa.

Zmęczenie kładło się na podartą królewską Polskę — poczy-
nała czuć się niewolnicą, zamkniętą we wspaniałym złotym hare-
mie świata.

— Po co żyć — mówiono.

Coraz więcej było przechodniów polskich, jakby już bezdom-
nych, za granicą.

— Skąd idziecie? — pytano ich.

— Znikąd... — odpowiadali. — Z kraju, którego już prawie
nie ma. Jesteśmy jak te szczury, które uciekają z okrętu, mają-
cego zatonąć. Mamy już te przeczucia — topieli.

We wsiach polskich — mało co wiedzano, co się dzieje.
Tyle, że coraz więcej obcej armii w kraju, która wyžera ziemi
chleb i zarzyna zabierane bydło. Chłopi we włosach sennych
i brudnych mieli słomę, pachnęli gnojem i świętą ziemią. Szlachta
siedziała po domach, przyciszona, złamana, powolna. Podkładała
sobie kułak pod głowę do snu, ale sen coraz częściej nie przycho-
dził — w głowie czuło się narastające jakby kamienie, wszystko
w ustach i w wyobraźni kamieniało, nie można tego było niczym
rozpuścić, rozmiękczyć, nawet alkoholem — uczucie znane chorym
na mózgowie wyniszczenie.

Nad światem ziemi błyszczały gwiazdy.

Mróz już pokrywał jesienną ziemię polską. Zapanowało przedzimowe milczenie. Martwota.

A gdzieś już budziło się nowe życie, o którym dochodziły ledwo słuchy. Chyba ono — chyba ono — bo inne — mogło zmienić coś, co teraz trwało.

— Niechby gorzej, byle inaczej! — mówili patrioci, upadając pod ciężarem beznadziejnego kołowrotu, w jaki trafiwszy, Polska — oddalała się od siebie coraz dalej, nie widząc już w tym zawrocie nic oprócz zawrotu głowy.

Polska stara kończyła się milczeniem wielkim, beznadziejnym brakiem argumentów na swoje życie, na jego potrzebę i nieodzowność, na jego sens i krótkie lakoniczne „chcę” — Polska była już jak zapadająca w głęboki sen królewna — jak w bajce owej tragicznej — wszyscy zasypiali w takich postawach i sytuacjach, w jakich ich śmierć letargicznego snu kosiła...

Nie miałaz więcej nic do powiedzenia, do działania, do buntowania się?

Nie miała.

Zasypiała.

Umierała.

Wygasała, jak ogień wygasa, zapomniany, — wiatry ją silne gasiły — już ludzie w nią dmuchali coraz mniej — zabrakło jej ludzkich oddechów.

Stawała się wierszem klasycznym, który żył, lecz który już się przeżył.

Traciła swą twórczość, jedyne prawo życia.

Jeszcze żyła — roślinną wegetacją.

Pola rodziły, zbiory z nich były — ludzie na polach tych żyli.

Czarna ziemia ma w sobie ukryte moce.

Czarna ziemia ma w sobie ukryte moce. Nie widać z pałaców — kto żyje pod nimi.

Trzeba chleba — a wtedy do ziemi. Z ziemi powstaje chleb — w głodne przednówki powstają niepokoje ludzkie, pytające się do liczby mnogiej — nie człowiek, a masy człowiecze. wtedy rozmawia z ziemią, a ziemia milczy.

Od głodnego przednówka zaczęła się francuska rewolucja. Znaleźli się ludzie, o których istnieniu nikt nie wiedział, zaliczali się do liczby mnogiej — nie człowiek, a masy człowiecze.

Padły mury Bastylii w Paryżu. Tłum rozwalił je — budował na ulicach barykady, walczył z wojskiem, wojsko przeszło na stronę ludu. Upadł pałac wersalski. Ogłoszono „prawa człowieka”.

Odnaleziono, razem z elektrycznością Galwaniego, prądy galwaniczne na tronach panujących Europie — i podcięto nogi krzesel królewskich. Krzesła koronowane poczęły się chwiać pod monarchami z woli nieba. Okazali się tak samo śmiertelni i tak samo po ludzku słabi — jak człowiek. Gdzież ich ranga boska — gdy umierają tak, jak umiera nienamaszczony, przerażony swą śmiercią człowiek, ten pierwszy z brzegu.

Uciekał w ostatniej chwili król francuski, Ludwik XVI; ale złapali go. W roku jego ucieczki — był w Polsce maj historyczny, a w tym maju trzeci dzień: Trzeciego Maja.

Konstytucja trzeciego maja powstawała w Polsce, przy akompaniamencie francuskiej rewolucji. Biegła ona na spotkanie nowych światów — z rękoma bezbronnymi, z głową gorącą, z duszą wzniosłą pod niebo — niby przedwcześnie dojrzałe a bezbronne fizycznie dziecko.

Zrodził ją wielki ból, lecz i nadzieja na przyszłość.

Miała hasło:

— Wiwat król, wiwat, naród! wiwat wszystkie stany!
Rewolucja bezkrwawa polska, a gdzie są bez krwi rewolucje?
Nad Polską wył wiatr złowrogi.

Związek Polski żywej kojarzył się z rewolucyjną Francją. Związek Polski martwej — powiązał się w konfederację targowicką. Król Stanisław August Poniatowski przystąpił do związku Polski martwej. Siedział on na jednym z krzeseł europejskich, które miały już w przeczuciach rozchwiane nogi. Z Francją konwentu narodowego zaczęły wojnę przerażone trony, uzbrojone od stóp do głów — wiązały się w koalicję.

Była to pierwsza wojna interwencyjna — dla zgaszenia pożaru rewolucyjnego we Francji.

Gdy bito na granicach francuskich siły wojskowe rewolucji, która mogła naraz objąć cały świat, dzieliły pomiędzy siebie rewoltującą się Polskę — Rosja i Prusy — drugim podziałem. Zginął na szafocie Ludwik XVI. W Paryżu panowały rządy terroru rewolucyjnego — w tym roku dwa absolutyzmy świata dzieliły Polskę po raz drugi — zapobiegały wschodniej europejskiej rewolucji.

Pomiędzy Polską a Francją — jeździli kurierzy tajni. W rewolucyjnej Francji młoda Polska rewolucyjna szukała sojusznika.

Co to jest Polska? I gdzie ona teraz? Przy królu Stanisławie Augustcie, czy przy buntowniku Tadeuszu Kościuszcze?

Po drugim rozbiórze Polski wybucha powstanie kościuszkowskie. Nazywa się ono z łacińska insurekcją. Jest buntem przeciwko rozbiorowi ojczyzny. Jest początkiem polskiego szukania ludu — zamiast szlachty. Szlachta polska prowadzi tę ze stanem szlacheckim, starym, walkę. Niechaj zginie Pańszczyzna, a niechaj odrodzi się Państwo!

Polska jest biedna — biedne wsie, chłopci z kosami na sztorc, to pierwsza ich wiara w Polskę — ziemia, obietnica zwolnienia na życie wśród tej ziemi — walka z batem pańszczyźnianym i niewolą pańsko-ekonomiczną.

W nocy ciche wiosny gromadzą się powstańcy kościuszkowscy w małopolskich lasach. Śpiewają świerszcze, opuszczone już glińiane ziemiste chaty pod strzechą słomianą — chłopci są rozmarzeni w marszach i w obozach, czują swą siłę w tej chłopskiej broni, którą stanowi błyszcząca ostra kosa — już im nie wyrwą jej z ręki — już z nią można będzie dochodzić swej ludzkości

te kosa są poświęcane kościelną świętą wodą — na sztandarach jest Matka Boska i święci Pańscy — święci chłopscy, nie pańscy — z chłopami wiąże się sztandary święte, a nie z państwem. Sam naczelnik Kościuszko, generał dowodzący tym ruchem polskości, ubrał się w chłopską krakowską sukmanę i czerwoną krakowską czapkę. I przysięgał na rynku krakowskim. I mówił — naród, a naród to wiadomo co — naród, to znaczy na wsi prosty naród...

Kosynierzy modlą się. Wielu jest bosych. Kosynierzy idą do ataku na armaty, uzbrojeni w kosa zatknięte na drzewcach na sztorc. Nie widać nic prócz dymu armatniego i pokrwawionych na ziemi ciał — na polu racławickim.

Bitwa z regularną armią rosyjską jest wygrana — przez chłopów i Kościuszkę — i idą radosne wieści do Francji o zwycięstwie rewolucyjnych wojsk polskich — w Polsce.

Chłopi Kościuszki zdają się zaczynać nową Polskę — broń ich, kosa wysokie, wzrostu dwóch ludzi, sterczą między jesiennymi drzewami, ptaki w lesie już odśpiewały — odśpiewał i skowronek w polu — ludzie nowego wojska polskiego mówią o tym, co to jest prawdziwa Polska — że to już nie jest zbiór pańskich folwarków, tylko ziemia wyrobiona, wyorana, wysiana przez chłopą — że w tym rycerskim, przecie szlacheckim rzemiośle, jakie tu pełnią pod naczelnikiem „Kościuszką” — przebranych w ich chłopski strój (choć sam jest szlachcic) — że w tym rzemiośle wojny, podobnej pewno do rewolucji francuskiej, zdobywają i oni sobie prawo do tej ziemi — bo w Polsce, mówi się, ten tylko Polak, kto umie Polskę bronić z bronią w rękę a w duszy z decyzją — umrzeć lub zwyciężyć.

Chłopskie twarze — polscy sankiuloci, krewni a jacyż obcy francuskim sankiulotom — sankiuloci, bo często w łachmanach portek, bieda, słowiański naród. Pieśni ich obozowe tchną bólem wsi, tęsknotą polnych i leśnych pejzaży, zwrotki piosenek to skaczą jak górskie potoki, to rozlewają się w nizinne powolne leniwe rzeki...

Słucha ich naczelnik Kościuszko — słyszy je ze swojej kwatery we wsi Maciejowice. Noc październikowa zachodzi zza opłotków, na całą wieś się kładzie, sennie szczekają psy, zawyły, księżyc smutny wypłynął i pływa między chmurami. To tak zwyczajny obraz — który się zbliża ku niemu, wodzowi pierwszego rewolucyjnego w Polsce powstania. Jeszcze w modlitwach pobożnych odbywa się ono, wypełnione zabobonem i religijnym chłopstwem.

Kościuszkę przysłuchuje się milknącym we wsi śpiewom swego wiejskiego wojska. Już posnęło pokotem, już spało, nie spały tylko warty, krążąc po wsi...

— Taki niesłychany odzew znaleźć dopiero teraz, kiedy jest już za późno — myśli naczelnik Polski zrewoltowanej, Kościuszkę, przewracając się na skórzanym tapczanie w pałacu maciejowickim.

Nazajutrz ta sama wieś, Maciejowice, a właściwie pola za nią szerokie, leżała pobojuwiskiem, zniszczona, zbłocona, skrwawiona — złamana cała Kościuszki insurekcyjna armia, oparta duchowo na kosynierach z kosami — regularne dywizje rosyjskie rozgromiły ten cały krótki bunt. Kościuszkę, z raną głową, dostał się do rosyjskiej niewoli.

Mówią, że patrząc na pobojuwisko, powiedział wtedy:

— *Finis Poloniae.*

Chociaż potem zaprzeczał, że nie mówił tego.

Suworow prowadził akcję uśmierzania w Polsce rewolucji. Działał już bez gadania z królem i z władzami niby to jeszcze polskimi. W Warszawie, gdzie było powstanie, w łączności ścisłej z Kościuszką, prowadził je szewc Kiliński; w Wilnie pułkownik Jasiński. — Warszawę zdobył Suworow. Na broniącej się krwawo Pradze, przedmieściu Warszawy, pozwolił pohulać swym strudzoną, wypożyczoną dzikim wojskom.

W pół roku nastąpił trzeci podział Polski. Dzieliły się teraz, jak za pierwszym razem — ale teraz już ostatecznie i bez reszty, trzy potęgi ówczesne, mocarstwa: Rosja, Austria i Prusy. Zaprowadzały porządek w dotkniętym rewolucją kraju. Ten podział, jak i poprzednie — miał oznaczać dwa tylko zadania (mówiono): interwencję zbrojną przed grożącym Polsce niebezpieczeństwem rewolucji (na wzór francuskiej) — która to rewolucja w samym środku Europy, pomiędzy Wschodem i Zachodem — mogła stać się rozsądkiem rewolucyjnych zarazków i choroby, i po drugie — zadanie: pacyfikację tej części Europy w myśl wskazań i doświadczeń zbawiennych oświeconego absolutyzmu, który wieść miał narody i państwa do wspólnego zbawiennego celu.

— Piramidy też budowano niechętnie, lał się pot, świsłał bat, płynęła krew niewolników — ludzie wymarli — nie ma po nich śladu — a piramidy jak stały tak stoją — powiedział zwycięski Suworow do króla zdetronizowanego, Poniatowskiego.

Paweł I — umarła Katarzyna II — odwiedził Kościuszkę

w twierdzy Petropawłowskiej w Petersburgu, zwrócił mu jego szablę i wziął odeń słowo — wypuszczając wodza polskiego na wolność — wziął słowo, że nigdy tej szabli nie podniesie przeciw Rosji. Kościuszko słowo dał.

I popłynął do Ameryki.

Już Polski nie ma na ziemi — zaczyna wchodzić pod ziemię i częściowo unosić się w niebiosach. Gdyby była człowiekiem, można by o niej powiedzieć — umarła: to znaczy ciało poszło pod ziemię, zasypało je ziemią, odprowadzono nad nim żałobne nabożeństwo — i koniec. A dusza — dla tych co wierzą w nieśmiertelność dusz — a dusza jej poszła w niebiosach, czy w eter. I wielu myślało już, że Polska to jest jak człowiek tylko — pocieszano się — że to jest letarg a nie śmierć, to była jedyna pociecha. — Ale Polska — to więcej niż człowiek. Brak jej powoduje głód i pragnienie. Brak jej odbiera sen. Przyprawia o gorączkowe majaczenia. W oczach i w duszach się troi ludziom — patriotom — na myśl, że nie stało im już treści życia.

Czego chwycić się? Na co nadzieję mieć? Nagle urwał się wątek ciągłości. Nagle przyszło ogniwo fabularne. Gdzieś podziwiał się przedmiot opowieści. Zanim wstanie w jakimś kształcie nowym — pozostają po nim słowa, słowa. Pozostają marzenia i sny. Oderwało się wszystko od życia. Odbywać więc walki w powietrzu? Z wiatrakami wojować, jak Don Kichot? Wszystko zmieszało się, wszystko się sypie w gruz.

Pozostają jakieś dziwne książki, mówiące o życiu którego już nie ma. Mówiące o sprawach nadzwyczajnych, gdy już zwyczajnych — to znaczy najważniejszych — zabrakło, zabrakowało...

Stanisław August Poniatowski jeszcze żyje — mieszkał w Grodnie po podpisaniu abdykacji na sejmie niemym — potem przeniósł się do Petersburga — emigrant, monarcha przeszłości — gorzkie jego dnie i gorzkie noce samotne. Czyta książki, grywa na flecie, maluje pejzaże północnej stolicy rosyjskiej. Niewa zimna mu szumi.

Na świecie rodzą się pierwiosnki romantyzmu. Patetycznie popłynęły losy młodej republiki francuskiej rewolucyjnej. Na horyzoncie wschodziła, biała jeszcze, niewidoczna gołemu oku gwiazda czerwonego wodza rewolucji, generała młodego, Napoleona Bonaparte. Tam, do niego płynęła młoda emigracja polska, wojskowa, generał Dąbrowski we Włoszech tworzył z niej legiony. W Niemczech zakwitła poezja romantyczna — rozkwitała dopiero

wtedy — tomikami poezji skrzydlatych, unoszących uczucia w kraje ideałów — w błękitne sfery wzlotów, ofiar i namiętnej, burzącej świat i budującej nowy — młodości.

Dogorywały — w bezsennych nocach — majaki przeszłości. Polska — gdzież ona była? Czy w ziemi polskiej — czy pod ziemią tą, czy nad tą ziemią?

Wysuszony mózg boryka się z nowymi ideami, myśli ma męczące, pełne wyrzutów sumienia, obezwładnione ręce, ociężałe, nie umiejące się już poruszać nogi. Zastygł w fotelu polski stary świat, ubrany we frak błękitny ostatniego króla polskiego. Stanisława Augusta — ma na głowie białą perukę, na łydkach białe pończochy, w rękach książkę ozdobną ze złożonymi brzegami stronic — w książce tej maksymy i rozważania moralne, polityczne, filozoficzne, wszechświat ogarniające w błyskotliwych aforyzmach, których można się uczyć na pamięć — aby być człowiekiem tego gasnącego, poetycznego, tak wytwornego myślowo i artystycznie, międzynarodowego wieku przesycenia, sceptycyzmu wolteriańskiego, swobody myśli i niewoli czynu — wieku XVIII — jego ostatnich już lat.

Stary wiek, stary świat, stary król, stary pan, stary mózg i stare serce — stary wiek XVIII ustępował — gdy wybija zegary stuleci — miejsca młodzieńcowi niewiadomemu — wiekowi nowemu — XIX-mu, patrzącemu z zagadką w przyszłość.

Te dwa wieki spotkały się i już zegnały się z sobą, — stary z młodym — różniły się, niełatwo im było o wspólny język w chwili krótkiej ze sobą rozmowy — na przełomie stuleci — w noc sylwestrową ową, gdy mijał rok 1800, a zaczynał się — gdy północ dwanaście razy biła — rok 1801.

Rokoko skończone wspaniałym akordem klasycznym, złotym i jesiennym — ustępowało miejsca romantycznej muzyce przyszłości — która w dźwiękach dysharmonicznych, „burzą i naporem”, *Sturm und Drangem* młodości, zapowiadała swój prolog dziewiętnastowieczny.

Ale jeszcze nie skończył się wiek XVIII-ty.

Jeszcze pozytywka zaczarowana gra stanisławowską epokę ukształconego klasycyzmu.

Ból łączy się ze zwierzęcym strachem przed śmiercią. Wojny koalicyjne przeciw rewolucyjnej Francji na próżno usiłują zdusić płomień, przeobrażający ideałami swymi cały idący wiek.

Gra pozytywka — w cesarstwach i królestwach istniejących jeszcze i walczących o utrzymanie starego porządku feodalnego, — gra pozytywka o doskonałym przepędzaniu czasu, o wyrafinowanej kulturze gasnącego świata, o umiejętności picia życia peł-

nymi uczonymi haustami, o umiejętności wysysania z kwiatów miodu, z kobiet ich utajonej a im samym niewiadomej słodyczy, o błogościach czystej kontemplacji, o doskonałych wzorach egoizmu, epikureizmu — gasnącego użycia.

Ranki wstają coraz mętniejsze. W brudnych dworach polskich — po książkach zaczynają szperać myszy — słysząc ich szmery, gryzienie — mole napełniły szafy starych polskich składów dworskich z kontuszami, żupanami, deliami.

Na ścianach wiszą bezrobotne szable ojców i dziadów — jako ozdoba, razem z myśliwskimi trofeami, — szlacheckie.

Ale przyszłość nie tam leżała — gotowała się wciąż w nieugaszonym kotle patetycznej i krwawej rewolucji mieszczańskiej, francuskiej.

Gdy nie było w Polsce miejsca na własne szable i sztandary — wywędrowały one za granicę.

Gdy nie było w Polsce miejsca na własne szable i sztandary — wywędrowały one za granicę.

Legioniści, w granatowych mundurach, z różnobarwnymi wyłogami, mankietami i lampasami, w wysokich czworograniastych czapkach polskich, z szablami w blaszanych pochwach, z ułańskimi lancami o biało-amarantowych chorągiewkach.

W Polsce, w kraju — były: Rosja, Austria i Prusy (była też reszta Polski, już bezwolnej, podległej, pod cudzymi rządami) — za granicę emigrowała młodzież, oficerowie dawnej armii polskiej — zapisywali się do obcych armii — zaciągali się tłumnie na służbę ochotniczą do szeregów rewolucyjnej armii francuskiej. Byle tylko nie wypuścić z ręki broni, byle żyć w łopocie swych sztandarów — choćby na obcej ziemi, w cudzym kraju — nie rozbroić się, być jeszcze uzbrojonym póki można, być gotowym, bo może niedługo będzie trzeba. Młodzi Polacy — śpiewali — zgrupowani w legionach Dąbrowskiego — o swej nadziei powrotu do ojczyzny — o swej woli młodzieńczej wyrzucenia szablami zagubionej wolności — śpiewali o swej młodości.

W ziemi włoskiej to było. Pod Dąbrowskim. W armii włoskiej rewolucyjnego generała francuskiego, Napoleona Bonaparte. Byli na służbie republiki francuskiej, pod rozkazami dyrektoriatu paryskiego. Nosili rewolucyjne trójkolorowe francuskie kokardy na piersi, pierwsi polscy legioniści, znad Wisły.

Armia ochotnicza polska — szablami polskimi — tworzyła obce republiki pod niebem szafirowym włoskim — i wtedy zrodziła się jej pierwsza pieśń o Ojczyźnie, która nie zginęła, bo żyje w ich młodych piersiach — póki oni żyją.

Generał Dąbrowski, o którym śpiewali ochotnicy „marsz,

marsz” — siedział z nimi w ziemi włoskiej, tęskniąc z nimi do polskiej. Czytywał poezję Schillera w małej romantycznej książeczce; jego generał, Kniaziewicz, jeździł do Paryża ze zdobytymi przez legionistów polskich sztandarami nieprzyjacielskimi i składał je trybunałowi rewolucyjnemu francuskiemu, przy dźwiękach Marsylianki. Rozmawiał parę razy z generałem Bonaparte, Dąbrowski, o widokach politycznych, układających się na świecie — aby wiązać je ze sprawą odbudowania Polski, przy pomocy rewolucyjnej Francji. Napoleon chodził po swej generalskiej kwaterze w chacie włoskiej, z założonymi w tył rękołma, młody, mały, zwinny, o cienkich subtelnych a silnych rysach twarzy z profilu — mało mówił.

Mało mówił o rewolucji, więcej o wojsku. — Powiedział tylko:

— Żołnierz decydował i decyduje o istnieniu lub nieistnieniu państw. Jeśli Polska będzie miała żołnierzy, to odrodzi się. Jestem Attyla, bicz boży, będę zmieniał wyraz twarzy świata...

Dąbrowski, w obozie legionistów, przesiadywał z pochmurnym czołem. Jego gładko wygolona twarz była opalona włoskim południowym słońcem — i wszyscy legionści mieli już ogorzałe włoskie twarze, tylko oczy i włosy jasne, nadwiślańskie.

Do tej Polski, przebywającej we Włoszech, przychodziły wiadomości z kraju pod obcym panowaniem: o śmierci rosyjskiej Katarzyny II, o wstąpieniu na tron Rosji Pawła I. — Wtedy to właśnie legionści bili się w bitwach wojny włoskiej, brali piękne miasta szturmem, wchodzili do tych miast południowych, na koniach swych wychudłych, w mundurach swych poniszczonych, z trzepotem dwubarwnych polskich chorągiewek u lanc. Zawarty był pokój w Campo Formio, a oddziały polskie przydzielone do jednej z nowoutworzonych republik włoskich.

— Do Polski z ziemi włoskiej — czyż można było zmienić słowa pieśni młodzieńczej, z którą zwyciężali i umierali.

— „Jeszcze Polska nie umarła”... — tak zaczynała się pieśń legionów Dąbrowskiego.

Po włoskiej przyszła kampania egipska, w oparciu o Malte. — Wojna z Turcją pod piramidami Kairu. Sułkowski Józef, dwudziestokilkoletni, o profilu rzeźbionym kamei, o spadających na ramiona włosach, jakie nosili rewolucjoniści francuscy z Saint-Justem na czele, padł w jakąś gwiazdzistą noc bitwy, w okolicach Kairu, zasiekany szablami. Umierał w krainie Sfinksa, przed pustynią — w dzikim hałasie i krzyku bitwy z Turkami, z Arabami w białych burnusach, na pustynnych arabskich koniach.

Jego głowa z rozsypanymi włosami leżała na piasku Kairu, na ziemi egipskich faraonów, Nilu i tajemniczej bogini Izdyd.

Generał Bonaparte już był w Paryżu. — Uciekł z Egiptu. — Uciekał na małym okręcie, okolną drogą, morzem Śródziemnym do kraju rewolucji, do kraju, który stał się jego drugą po Korsyce ojczyzną.

Legiony.

Legiony Dąbrowskiego. Legioniści. Szli ciągle pod Bonapartem, w szeregach armii francuskiej, z kokardami rewolucyjnymi na piersi, przeciw wojskom koalicyjnym, portugalskim, angielskim, włoskim, austriackim, rosyjskim. Pierwszy konsul republiki francuskiej, młody generał Bonaparte, miał starego przeciw sobie wodza, znakomitego generalissimusa Suworowa, który prowadził działania wojsk koalicyjnych.

Wojska koalicyjne ustąpiły pola w bitwach pod Marengo i Hohenlinden. Rewolucyjne wojska francuskie biły kontrrewolucyjną armię koalicji. Do Luneville zjechano się zawierać pokój. Pokój ten obchodził mało legionistów („do Polski z ziemi włoskiej” — refren powtarzał się za każdą zwrotką) — obchodziła ich bardziej romantyczna poezja niemiecka — obchodziła bardziej wieść o śmierci cara Pawła I i wstąpieniu cara Aleksandra na tron — pod tym tronem jednak była część zabranej im ojczyzny. I mniej obchodził ich kodeks konsula Napoleona Bonaparte, w paragrafach rzymskiego prawa, o wspaniałych skrótach i obrazach, — więcej obchodził ich statut organizacyjny Aleksandra I dla Polski pod Rosją — ten świat co czekał ich rąk, do których wyciągał może ręce. Jakże daleko to było...

Generał Bonaparte zostaje cesarzem Napoleonem. Już przeciw niemu, a nie przeciw zrewoltowanej Francji, utworzyła się nowa koalicja mocarstw — już czekają go nowe ekspedycje wojenne. W koalicji mieszają się wojska: hiszpańskie oddziały górskich strzelców, angielscy marynarze znający jazdę morską, austriaccy robotnicy rzemiosła wojennego, pruskie milczące twarde oddziały, rosyjskie niezliczone ślepe bagnety.

Legioniści polscy, w wojskach Napoleona, biją się zawzięcie.

Idą, jako napoleońscy żołnierze, za swym wodzem naprzód, z wiarą w zmienianie świata. Wszystko teraz wygląda jak nowe — a może naprawdę jest nowe. Padają trony królewskie i cesarskie. Europa zaczyna stawać się napoleońska. Dąbrowski sobie

przypomina słowa cesarza, gdy ten był jeszcze młodym czerwonym generałem, dowódcą włoskiego frontu — słowa o nowym na świecie wyrazie twarzy, którego on stanie się przyczyną.

Cesarstwo niemieckie — padło. Jego miejsce zajmuje, kreowany przez Napoleona, Związek Reński. Bitwa pod Jeną w Prusach. Anglia doznaje blokady kontynentalnej. Bracia Napoleona — królami, Napoleon na tronach sadza braci: Ludwik Bonaparte zrobiony królem holenderskim, Józef Bonaparte królem neapolitańskim, Hieronim Bonaparte królem westfaskim. Oto bitwa pod Iławą w Prusach, oto bitwa pod Friedlandem...

I już Tylża. Pokój w Tylży. Utworzenie Księstwa Warszawskiego.

— Do Polski z ziemi włoskiej.

Księstwo Warszawskie, nieduża okrojona Polska. Ziemia rodzona, wydarta wrogowi. Mundury legionistów, mundury Polaków z armii francuskiej pokazały się na ulicach Warszawy. Idą po mieście (te mundury) — widzą ładne młode dziewczęta, słyszą nareszcie ludzi mówiących po polsku, tak zwyczajnie, ubogo wygląda i bezbarwnie ten rodzinny kraj w porównaniu z egzotycznym południowym powietrzem, niebem i ziemią, i pomnikami rzymskiego świata — których się natykali legionieści na tułaczce. Idą po ulicach Warszawy i słyszą — o Towarzystwie Przyjaciół Nauk, którego dawniej nie było, które powstało w roku, gdy oni bili się na polach zagranicznych.

Ale wojna nie skończyła się, nikt szabli nie odpasuje, wypadki europejskie mkną zawrotnie, gorączka udziela się wszystkim. Zmiany na tronach napoleońskiego imperium. Wojska polskie ochotnicze — znów w dalekiej krainie — z wojskami Napoleona — to tylko część ich pokazała się na ulicach Warszawy — tu tworzy armię Księstwa naczelny dowódca polski, książę Józef Poniatowski, bratanek ostatniego króla, ciemnowłosa wysoki, piękny mężczyzna, ukazujący się często na swym wronym koniu na placu Saskim, podczas przeglądów tworzącej się z niczego armii polskiej, — wszystkie oczy za księciem biegną. Książę jest milczący, małomówny, zamknięty teraz w sobie, zmieniony nie do poznania dawny amant stanisławowskiego królewskiego życia — surowy, wymagający dowódca, pracujący od rana do nocy oficer — myśli jego są całe przy wojsku. Siłę zbrojną przygotowywał.

A polskie legiony nadwiślańskie — walczyły teraz w Hiszpanii: szarża pod Somo-Sierą, zdobycie Saragossy...

Ukazał się „Faust” Goethego.

I wybuchła nowa wojna z Austrią.

Aspern, Esslingen, Wagram — bitwy krwawe. Jedna wybuchła za drugą i gasła w pobojowiskach, we wspomnieniach, w legendzie opowiadania.

Aż przyszedł — o roku ów! — 1812 rok.

— Wojna z Rosją! — mówiono w Europie napoleońskiej.

— Wojna z antychrystem Napoleonem! — żegnano się krzyżem w Rosji.

— Wojna polska... — marzono w Polsce.

Padały deszcze, Napoleon jechał bryczką do Rosji.

Na czele armii polskiej, idącej na Rosję, stał książę Józef Poniatowski. Dowodził korpusem. — Wielka armia Napoleona liczyła pół miliona ludzi. Był to ostatni akt wielkiego dramatu Europy.

Wielka armia posuwała się brawurowymi bitwami naprzód. Armie rosyjskie, pod wodzą generała barona Barclay de Tolly, cofały się — rosyjską, słowiańską strategią, w głąb swego niezmierzonego kraju. Niszczyły za sobą okolicę, niszczyły zbiory i zapasy, prowianturę, zatrzuwały studnie.

Była wielka bitwa dopiero pod samą Moskwą, pod wsią Borodino. Wojskami rosyjskimi dowodził już teraz staruszek generał Kutuzow, w biało-czerwonym kaszkiecie, w białym długim kitlu, z kozacką przewieszoną przez pierś szablą.

Napoleon w szarym surducie, z posępną twarzą, nalaną i opuchniętą chorobliwie, bladą, jakby bez kropli krwi, siedział na trójkątnym polowym stołku i przyglądał się z góry bitwie. W dymach, w strzałach, w kotłowaniu się ręcznych masowych ataków i szarż kawaleryjskich — przyłożywszy do oczu polową lornetkę — rozpoznawał cesarz ruchy i szanse poszczególnych stadiów bitwy.

Na wieczór bitwa wygasła.

Nie była przez Francuzów wygrana, chociaż armie rosyjskie cofnęły się — straty były wielkie z obu stron. Droga do Moskwy stała otworem, ale była — pustynna.

I Moskwa była pustynią.

Pustynię tę nagle objęły czerwone płomienie. Napoleon, z okien Kremlu moskiewskiego, ogromnego zamczyska carów, otoczonego wysokim murem chińskim, przyglądał się pożarowi Moskwy.

Zima szła. Rosyjskie mrozy, śniegi, wilki. Głód. Rozgrabiona przez wojska wielkiej armii Moskwa i jej okolice — wyglądały jak biała baśń o śmierci z chłodu i głodu.

Zaczął się odwrót wielkiej armii. Wozy, armaty, trupy końskie, stada wilków, śniegi, zaspy białe nieprzebyte, czterdziestostopniowy mróz, śmierć biała, tyfus głodowy, napady ustawiczne band kozackich, głód, chłód, strach, panika, utrata wiary. — Napoleon jechał z Rosji przezprężnymi, galopującymi końmi, na saniach wielkorosyjskich, w eskorcie polskich szwoleżerów. Wracał przez Wilno.

To był początek końca epopei napoleońskiej.

Wszystko teraz zamroczyło się przed oczami. Ale mało kto jeszcze wierzył, że to koniec. Napoleon ze swą armią, zniszczoną i rozbitą, zgłodzoną i wynędzniałą, szedł na dno. Wielka armia już nie była wielką armią — wielka wojna koalicyjna, nowa, szła na Francję. Cesarz cofał się, a z nim ustępowały ustroje, przez niego wprowadzone — tak padało i Księstwo Warszawskie. Różnojęzyczni Austriacy, ciężcy Prusacy, biali Szwedzi, Anglicy flegmatyczni z fajkami w zębach, czarnoocy Włosi, romantycznie rozegzaltowani Niemcy, dziko rozbudzeni Rosjanie, biegli za nim i jechali nieumęczonymi marszami. Odgryzał się cesarz w ostatnich podczas swego odwrotu bitwach.

Polska armia ochotnicza była przy nim do końca. Powiedział:

— Losy wojny są zmienne. Żołnierz musi być wierny. Wódz pamięta o swych żołnierzach.

Pod Lipskiem płynęła Elstera. Była tam najkrwawsza bitwa w odrocie wielkiej armii. Na czele Polaków był książę Józef Poniatowski. Ranny, spał konia ostrogami — leciał w kierunku rzeki. Była jesień. Ciemna płynęła Elstera. Bitwa już była przegrana. Koń księcia wspiał się dęba nad brzegiem spienionej rzeki, książę skierował go ostro cugłami na most — koń na most zerwany wspiał się, książę szarpnął go cugłami w bok — i przymusił do skoku w spienioną rzekę, w październikowy prąd.

Książę utonął w Elsterze. Była jesień. Zanurzał się książę na zimne dno i padł na nie, jak na ciche łożo, razem z koniem, duszącym się pod wodą. Nad księciem Józefem, polskim marszałkiem Francji, i nad jego pokrytym pianą wronym koniem, płynęła rzeka — śmiertelna, ostatnia fala.

Dwa portrety: książę Józef i Kościuszko.

Kościuszko siedzi w Szwajcarii. — Powrócił z Ameryki. — Jeździ wózkiem zaprzężonym w jednego konika. Dojeżdża do Solury, wysiada — tu mieszka. Daje żebrakom jałmużnę. Nie

on. o tym już myśli — o czym innym jego myśli myślą — o żebrakach myśli jego siwy francuski ciężki konik i zatrzymuje się, gdzie należy, przed gromadkami żebraków. Koń ten Kościuszkę prowadzi — a nie on konia — jak dawniej prowadził w bitwach, po Ameryce, po Polsce, i znowu po ziemiach Ameryki — on, przyjaciel wielkiego Waszyngtona — taki niewielki teraz, w tym domku, pod nastrojem szwajcarskiego miasteczka.

Jak nie chciał słyszeć o Napoleonie zwycięskim, tak nie chce słuchać o Napoleonie pokonanym. Dość go słuchał taki Dąbrowski i jemu się wystugiwał polską krwią — już widać, jak nadaremno. Nie przemawia już nawet do Kościuszki gwałtowna wymowa francuskiej rewolucji, taka krwawa, terrorystyczna — a potem i jawnie dyktatorska.

On Polskę chłopską rozpoczął — postępową a bogobojną, umiarkowaną a nowe rzucającą mosty ku przyszłości.

— Utopia — myśli Kościuszko — a koń jego zatrzymał się przed kościołkiem górskim szwajcarskim, przed gromadą szwajcarskich żebraków.

Tu taka cisza w Szwajcarii, tam taki hałas — w Europie.

W Paryżu koalicja dyktowała Napoleonowi warunki. Cesarz abdykował, rozumiał. Jechał morzem, jako księżę wyspy Elby na morzu Śródziemnym. To było jego imperium teraz. Na jego miejscu sadzano Ludwika XVIII, króla, Burbona, była to figurka, z nakręconą przez koalicję maszynerią.

Wypadki płyną z błyskawiczną szybkością. Jest Wiedeń. W Wiedniu odbywa się — kongres wiedeński — monarchowie Europy radzą nad podziałem Europy, piją piwo wiedeńskie i tańczą upojne wiedeńskie walce.

Wtedy nagle wraca Napoleon z wyspy Elby. Działania jego są bystre. Porzucił swą samotną wyspę — wraca znowu zwyciężyć Europę. Ale to już legenda się. Jeszcze wybuchły bitwy pod Ligny, pod Waterloo. Grzmoty angielskich armat zagłuszyły entuzjazm owych „stu dni” napoleońskich. Zwyciężony — znów płynął morzem — już na inną wyspę teraz, zwaną wyspą św. Heleny, do domku, zamienionego na więzienie.

Dookoła był ocean Atlantycki.

Angielskie stráže na wyspie, angielskie okręty na oceanie — strzegły ostatnich sześciu lat życia wielkiego Napoleona, który nagle uczynił się małym, otyłym człowiekiem, noszącym wielki słomiany, jakby swój rodzony korsykański kapelusz — chodząc opierając się na lasce i zapadał w zamyślane osłupienia.

Na ocean Atlantycki patrząc, ciągle bredził o jakimś oceanie życia:

— Ocean, ocean... — powtarzał.

Polska armia ochotnicza była znów bez ojczyzny — bez przytułku teraz na całym świecie. Z ziemi włoskiej do polskiej — a z ziemi polskiej znów, lecz dokąd, dokąd?

— Napoleon, Napoleon... — powtarzali legionieści.

W Polsce, w kraju — kongresem wiedeńskim utworzono Królestwo Kongresowe polskie, autonomiczne, pod carem Aleksandrem I.

Gwiazda jedna, prowadząca do Polski, zagasła.

Wielu wracało pod bezgwiezdne polskie niebo. A niebo szło ku ciemnym narodowym nocom.

A niebo szło ku ciemnym narodowym nocom.

Noce w Warszawie, ciemne, narodowe napełniały się wiejącym z Zachodu romantyzmem, wiejącym niby wiatr, silny, mocny, rozszerzający płuca. Po stolicy dawnego Księstwa Warszawskiego, a teraz Królestwa Kongresowego (po tańczącym, decydującym kongresie europejskim w Wiedniu), rozbrzmiewały, razem z jakąś wiosną słowików i młodego pokolenia — głosy niemieckich poetów, budzącego się ludowego, balladowego nacjonalizmu — i w jedną z takich to nocy wiosennych napisał młody Brodziński swój poetycki manifest — nie swój, lecz wszystkich ich młodych — „O klasyczności i romantyczności”. Już klasycyzm postanisławowski wydawał się im suchy jak pustynia, nie prowadzący dokąds, — dokąd — młodości o to mniejsza, byle w ruchu być, byle nie stać na jednym miejscu, iść przed siebie, przed siebie lecieć, jak wiatr, z wiatrem lecieć samemu w dale, w świat nieznan, ciekawy, wciąż na nowo i na nowo odkrywany. Ale dzień należał jeszcze do klasyków, do ludzi postarzałych w swej umiejętności, rozumie i doświadczeniu, w doskonałym zakalcu swoich dawnych, młodzieńczych kiedyś — tak samo jak u tych młodych — światoburczych drożdży. Ale noce już należały całkiem do romantycznej młodości.

Odzywały jakieś dawne głosy i echa, teraz bardziej niż kiedy indziej dosłyszalne, młodzi szukali swych źródeł, swych w historii usprawiedliwień — szli za szkołą niemiecką, balladową i romantyczną, — szukali odpowiedników germańskiego odrodzenia — znajdowali znów swoją słowiańszczyznę. Ta została, ta była w nich, żyła, chociaż o tym już Polska dawno zapomniała — odezwała się w romantyzmie dopiero jej słowiańskość, już szukano jej gdzieś po Świteziach, po balladach ludowych — bo lud

jeden słowiański pozostał. Oto książka pojawiła się „O słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej” Czarnockiego.

W kowieńską noc romantyczną, postudencką, pofilarecką, urodziła się „Oda do młodości”. Młody człowiek, o ciemnych baczkach, z gorącymi oczami i gwałtownymi wybuchami serca, Adam Mickiewicz, dał nią hasło — z niego brało się potem nowe życie, w przeciągu całego idącego pokolenia Polski.

Tu zaczyna się romantyzm polski. Z śmiercią samotną Napoleona na wyspie więziennej, św. Heleny, łączy się on: z premierą „Wolnego strzelca” Webera, z powstaniem greckim, w którym bierze udział kulawy wieszcz idącego wieku, lord Byron. Byroniczne dziesiątki lat — a z nimi idą mickiewiczowskie „Dziady” — pieśń o zarazie w Granadzie — „Ballady i romanse”: Słuchaj dziewczeczko, ona nie słucha... Mędrca szkiełko i oko — a czucie... Bo czucie — śpiewają młodzi — za poetą Adamem Mickiewiczem — więcej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko!...

Grecja, w powstaniu przeciw Turcji, zdobywa niepodległość. Powstanie to wiąże się z Byronem, Byron wiąże się z polskimi poetami, polscy poeci owych dni i lat przygotowują powstanie. Jakie powstanie! Mało wiedzą o tym. Powstanie, czyli bunt, bunt młodych. Nie trzeba oglądać się na starych. Wiek wiosenny jest wówczas najlepszym świadectwem dojrzałości do czynu. Powstanie polskie!

Na wschodzie leżała Rosja, wielka, niezmierzona, wschodnia choć już zachodem pozołcona z wierzchu, stara Rosja, wieczna Rosja, trzymająca się zwartą masą, nieokreśloną bliżej, nieznaną nikomu, ale wielką, niezmiernie ogromną. Na tronie jej zmienili się carowie. Umarł Aleksander I, wstąpił na tron Mikołaj I. Ale może Aleksander nie umarł, może żyje — legenda krąży uparcie — może prawda, że w trumnie była tylko lalka, a sam car poszedł na pustelnię sybirską i gdzieś tam chodzi po niej dziadem sybirskim, wędrownym, wieszczym, bożym? A w Rosji — nie wszystko jest tą starą Rosją — też rodzą się młodzi, romantyczni ludzie, też są wiosny, i pełne natchnienia wiosenne noce. W Petersburgu wybucha powstanie, w zimie, w grudniu, powstanie studentów i młodych ideologów młodej Rosji, — dekabrystów. Rozbici, wieszani, zsyłani na Sybir — uczichają; pieśniami, w dźwięku kajdanów, napęłniają sybirskie stepy. Słońce wschodzi i zachodzi — w więzieniach ciemne cele, — w więzieniu wileńskim ciemne i wilgotne cele polskich studentów, filaretów i filomatów, na jednej ze ścian więziennych pisze młody

więzień, średniego wzrostu, z baczkami, o gorących oczach, o wychudłych zgorączkowanych policzkach — pisze węglem na ścianie: „*Obiit Gustavus, natus est Conradus*”.

Wtedy to, w celi Konrada urodziła się iskra rewolucji romantycznej polskiej — na ulicach Wilna słysząc plusk po błocie kopyt kozackich koni, — a potem przychodziły wieści o wojnie tureckiej, o wojskach rosyjskich ciągnących na daleki południowy front. — To była Rosja.

Na świecie wiały już nowe wiatry rewolucyjne. Przyszedł w Paryżu gorący miesiąc lipiec. Wybuchła lipcowa rewolucja. Znow na ulicach paryskich pokazały się barykady, uzbrojony lud strzelał do wojsk rządowych — zmieniono króla. Belgia uzyskała niepodległość. A Polska? Polska?

Po lipcu tym był sierpień, był wrzesień, był październik, przyszedł listopad. Listopad kończył się — już było mu pod koniec. Spadało dużo z drzew liści. W Alejach Ujazdowskich leżały te liście całymi chmurami. W listopadzie polskim — rozegrały się wybuchy krwawe.

Na placu Saskim odbywały się długo musztry, guziki armii kongresowej polskiej błyszcząły jak samowary — wielki ksiązę Konstanty, rudy atleta o twarzy mopsa — miał ruchy porywcze i bił po twarzy oficerów i podchorążych, potem ci odbierali sobie życie, w koszarach pułku wołyńców siedział zamknięty major Łukasieński, duchowy wódz powstańczej młodzieży wojskowej — w szkole podchorążych, w łazienkowskim parku, koło pałacu, trwał głucho wojskowe milczenie, inspektorem szkoły był podporucznik Wysocki. W całym kraju było głucho milczenie — cywilne. Po kawiarniach warszawskich, w ciemnych izbach suterren i na poddaszach, młodzi ludzie, studenci i literaci, mówili o poezji, o ludzie, o rewolucji, o „Polsce w kajdany zakutej”, o zemście — „z Bogiem, a choćby mimo Boga”. To byli wolnomularze narodowi. Pisał artykuły płomienne, w potajemnych pismach, Maurycy Mochnacki. Grał improwizacje rewolucyjno-patriotyczne Fryderyk Chopin, zakochany w diwie opery warszawskiej.

Był wieczór. Potem przyszła noc. Ten wieczór zaczął się pożarem na Solcu. Padał deszcz. Siano w szopie nie chciało się palić. Zamiast kilku płomieni, w różnych częściach Warszawy, zapłonął tylko jeden, ten na Solcu. Potem szkoła podchorążych, wezwana przez Wysockiego, ruszyła przez łazienkowski park i od Alej Ujazdowskich — na Belweder, — jesień szumiła

w drzewach, ziemia była od deszczu mokra — deszcz padał, niebo było chmurne, bez światła niebieskich — liście szumiały — jezioro koło Pomarańczarni stało ciche, jakby ze szkła, w nim odbijał się dawny pałacyk byłego króla Poniatowskiego, — podchorążowie szli do Belwederu.

Tu były rowy, potem szło się pod górę, między drzewami, w krzakach — deszcz padał coraz gęściej, liście szumiały coraz przenikliwiej, serca były coraz głośniejsze — dalej były budki wartowników belwederskich — deszcz lał, wiatr świstał, wartownicy stali w budkach, chuchając w baszłyki — w budkach poumierali, przekłuci bagnetem, jeden, drugi, trzeci i jeszcze paru — stał pałacyk — cisza była dookoła niego, w oknach nie było światła, oprócz w paru sypialniach, wielkiej księżny Joanny, żony Konstantego.

Napad podchorążych na Belweder, zaczęty i skończony romantycznie — siedł tu literat romantyk Goszczyński, był wśród spiskowców Nabelak — odeszli, odstrzelili się, księcia Konstantego nie znaleźli, zabito paru generałów w pałacyku, nadeszły wojska rządowe — podchorążowie wycofali się na linię Alej Ujazdowskich.

W nocy były bitwy w mieście. Zaczęły się od Alej — powstańcze pułki polskie manewrowały po pustych ulicach Warszawy — okna domów ludzie zamykali na okiennice — było zimno, padał deszcz, pachniała jesień — na Starym Mieście odbyło się kilka samosądów, wieszano podejrzanych o szpiegostwo na latarniach Starego Miasta — bitwy w mieście trwały do rana, nad ranem wojska rządowe, wierne wielkiemu księciu, wycofały się za miasto, Konstanty uciekał opłotkami — za park Łazienkowski, przez podwarszawskie wsie — karetą na saniach wiozła przerażoną wielką księżną Joannę.

Miasto było w rękach powstańców.

Powstańcze rządy — wojna na froncie, urywana ale zawzięta w bitwach — w mieście walka stronnictw — biali brali górę.

— Kto dyktatorem został? — pytał prosty naród.

— Chłopski! — odpowiedziano. Na podwarszawskim polu był ten obiór, elekcja, niby królewska. Chłopski w szarym płaszczu, z napoleońskimi gestami, dawny napoleoński oficer, prowadzić wojny nie chciał, i chciał pokoju.

Zima szła, biała już była Warszawa w śniegu, nadchodziła wiosna, coraz krwawsze na froncie były bitwy — było błoto —

wiosenne, lepkie, armaty grzęzły, konie zrywały nogi, brakowało amunicji i prowiantu, aprowizacja armii nie dowoziła do frontu pożywienia i odzieży — szły pod Warszawą krwawe bitwy — w lasach — po lasach chowały się wojska, potem napadały na siebie, — dowództwo polskie nie dawało rozkazów, żołnierz czekał, bił się i umierał, nie wiedząc często dlaczego nie dojechał konny rozkaz, mający go pokierować inaczej; biły się wojska polskie zbuntowane przeciw carowi — biły się z coraz potężniejszą armią rosyjską, z przybywającymi jej wciąż świeżymi posiłkami; pod Grochowem (w lutym) i pod Ostrołęką (w maju) — gasły ostatnie placówki — Warszawa padła.

Był wrzesień.

W lasach była jesień, już wędnąca. Na polach i w lasach umundurowane trupy, koła wozów i armat porzucone, ślady wojny — zgaszony był płomień romantycznej rewolucji — wojna przegrana, mimo że armia mogła walczyć, i mogła zwyciężać, i mogła opierać się i oprzeć się wreszcie — wodzowie kreślili rozpaczliwie karty wojenne — i przekreślali wszystkie śmielsze plany operacyjne — bali się i byli zapeszeni sami w sobie. Walczyli bez wiary, bez nadziei. Przegrywali powoli miłość tej świeżej, mocno zaczętej narodowej wojny.

Rozpacz jechała za granicę, ta rozpacz, która rozpaczać musiała — bo to jej było fatum, posłannictwo, robota życiowa do spełnienia. Ta codzienna, prawdziwa rozpacz chwil pozostawała w kraju, na miejscu, albo w podróży na wschód, do więzień i na sybirskie zesłanie. Rozpacz ciała, — a rozpacz duszy wędrowała coraz dalej na zachód. Ci, co jechali na wschód kibitkami, obracali swe twarze na zachód, a ci co na zachód pojechali smutnymi emigranckimi dyliżansami — ci patrzyli ciągle na wschód. Bo tam w środku, między zachodem i wschodem, leżała ziemia, z której wyjechali, najpewniej już na zawsze i na wieki.

Kordian, w Szwajcarii, rzuca się z Mont-Blanc, w przepaście. Pan Tadeusz nie może zapomnieć mazurka Dąbrowskiego i owego napoleońskiego roku. Irydion, na gruzach Rzymu, w kręgu Kapitolu, szuka zemsty. I już poczyna na świecie stukać telegraf Morsego.

W kolegium francuskim zaczęły się wykłady Mickiewicza, o literaturze słowiańskiej. Na wykładach panuje wielkie ożywienie, egzotyczny temat i egzotyczny mówca, natchniony, zapalony, tajemniczy towiańczyk, z mistycznej sekty brata litewskiego, Towiańskiego. Polski już nie ma na mapie świata, a tutaj odży-

wają jej cienie, które się zdają słuchaczom większe od tego, czym była zginiona rzeczywistość. Zbierają się tu obcy i swoi, swoi emigranci, utytułowana lub szaraczkowa emigracja polska na paryskim bruku. A Mickiewicz mówi o wspólnej macierzy słowiańskiej. W mieszkaniu ma chłód, nieopalone zimne ściany domu, żona chora, półobłąkana, małe dzieci, które ciągle chciałyby coś zjeść. Mickiewicz na wszystko ma za mało czasu, ogień wewnętrzny go trawi, jest w ciągłym podnieceniu, język mu przysycha w ustach, musi dużo łykać wody podczas wykładów. Na wykłady przychodzą najznakomitsi ludzie, był Michelet i inni, wielkie nazwiska owego czasu, mijają gorączkowe miesiące — sekta towiańczyków rozrasta się. Już przystąpił do niej i Słowacki. Życie zamroczone jest tysiącem myślowych zagadnień, które trzeba rozcinać natchnieniem, łaską z nieba, jak mieczem.

Tak — mijają lata — bujnej poezji — bujnego kształtu wielkiej poezji romantycznej polskiej — przy małych bidermajerowskich biurczkach jakieś duchy tajemnicze wypukują poetom wieszczę słowa, zwroty i znaki prorocze — to już nie jest poezja — tylko wieszczzenie — tylko jakoby siadanie, na podobieństwo wrózek wtajemniczonych, nad trójnogami orakulów — i wróżenie — z ognia — z wewnętrznych ognia swych — przyszłości świata i Polski. Włosy poetów polskich na emigracji polistopadowej, romantycznego okresu, są jakby snopami elektrycznych przewodów, wybuchają wciąż krótkimi spięciami z Bogiem i naturą — wywołują ogniste pożary — Bóg ich włóczy za włosy — a oni włóczą za włosy naród, zasłuchany w nich — wśród tych co ich słuchają, do których ich głos dochodzi.

Poezja — wielki romantyzm polski — pisali to ludzie, pozbawieni swej ziemi na całe życie, stwarzający sobie jej tragiczny a najpiękniejszy namiastek, marzenie — wypracowywali ją w godzinach samotnego natchnienia i tęsknoty, egzaltowali ją, jak sen, jak marzenie, jak śmierć.

Wiatr już coraz mniej donosił do nich głosów ziemi ich prawdziwej — już coraz więcej byli od niej oddaleni — coraz więcej jej obcy — ona od nich odchodziła i oni od niej — tworzyła się przepaść, której nawet amnestia polityczna nie mogła już mostem zastąpić — amnestia nie dotyczyła tych, co stworzyli z ojczyzny swej marzenie — była ziemia więc polska, jakby ciało, a dusza jej była od niej oderwana. A dusza bez ciała jest księżycowym astralem, błakającym się po ścieżkach ziemskich, a dotknąć ziemi nie może.

Romantyczny wiek.

I Sybir!

Meteor był i zgaś — napoleoński. Wybuchła oda do młodości, mickiewiczowska. Spadła noc listopadowa — pożarem czerwonym — i zagaśła w bitwach jesiennych pod Warszawą. Wygnańcy stworzyli sen o Polsce — Polskę snu, wyobraźni, w czerwonych skąpaną obłokach i w niebieskim skrzydlatym anielstwie, a sen ten popiołem był na odradzającą się w zgłiszczach polską ziemię w cudzym zaprzęgu.

Romantyczny wiek biegł po swej linii — wciąż dalej i dalej.

Już huczał podmorski telegraf. Świat mieszczański zagarniał w swój zakres ziemię Europy, jej cały ogromny zachód i środek; złoty środek przechodził w prawo życia, złoto we wszystkich postaciach czyniło swe ekspedycje w myśli i uczucia ludzkie — zwycięskie, zdobywcze, młode w swym braku historii, zawsze takie. Życie wyglądało tak jak balzakowska „Ludzka komedia” — w panujących mieszczańskich sferach Europy. Karol Marks i Engels ogłosili swój pierwszy manifest komunistyczny. Juliusz Słowacki pisał „Króla Ducha”. — Oto był obraz epoki tych lat — zbliżający się ku przełomowi nowemu: mieszczaństwo triumfujące, socjalizm rodzący się, mistycyzm spalający się w myśli o Polsce — bez Polski.

A wtedy to upadł w Paryżu mieszczański król Ludwik Filip — który stworzył styl mebli swojego imienia, nie wiedząc o tym. Słowacki chodził po ulicach Paryża w tym miesiącu lutym, w lutową rewolucję, chodził między barykadami bijących się ludzi francuskich. — I to była wiosna narodów — iskra rewolucyjna przebiegła całą Europę — zanosilo się na wielkie zdarzenia i zmiany polityczne. Włochy wyzwoliły się od Austrii, uciekł z Rzymu papież Pius IX — Włochy były młode — „Młode Włochy” Mazziniego, czerwone; w Austrii — po wojnie włoskiej — zniesiono pańszczyznę — ustąpił wieczny kanclerz Metternich, wstąpił na tron Franciszek Józef — w Pradze szumiał gwałtownie kongres wszechsłowiański — na Węgrzech szalało powstanie zbrojne przeciw Austrii, generał polski Bem walczył za Węgry, potem prowadził całą powstańczą armię węgierską — w Prusach były ruchy rewolucyjne, skończone nadaniem konstytucji — w Polsce, w Polsce pod Austrią, była najprzód rzeź panów i księży, dokonana przez chłopstwo galicyjskie za pieniądze austriackie, z krwawym Szelą, bohaterem rewolucji chłopskiej (z tego potem wiersz powstał „Z dymem pożarów”) — a pod Prusami było zaczęte i nagle urwane powstanie wielkopolskie, pod czerwonym wodzem Mierosławskim — a w Polsce pod Rosją była cisza, szubienice czasami, Sybir stale. I polepszał się dobrobyt polskich

miast. I często zapomniano o tym, że nie była to Polska — tylko sposób bytowania na trzech częściach polskiej ziemi.

Życie przechodzi do zmian, do nieznanego świata, gdzie splątane są wizje z rzeczywistą codziennością. Noce — chwytają za włosy i budzą — jak w rabinowe noce Słowackiego — nie śpijcie, zbudźcie się, ocknijcie! Ale dnie, te idą codziennym trybem, są jak tryby maszynowe, a maszyn już w Polsce coraz więcej, jeszcze proste, niezłożone, ale już się sprzęgają z robotnikiem, już biorą jego myśl w swe kleszcze, w swą logikę — mają rewolucyjny zgrzyt — nagle urastają do postaci bajecznych olbrzymów — w wyobraźni człowieka związanego z pługiem, cepem i grabiami, z koniem, krową i niebem, z ziemią, gnojem i pieśnią wieczornych wieczornic słowiańskich...

...Zmieniają się w olbrzymy, które mówią człowiekowi o tym, że sam kierownikiem życia, a nie zaświat — a nie władza, a nie pan — nieświadomie bakonowskie nawiązują się z maszynami związki — czym jest swoboda człowieka, a czym jest jego niewola...

— Pierwszym krokiem do wolności jest świadomość, że autorytety nie istnieją w niczym...

— Dokąd to idzie?

— Nie wiemy...

— Dokąd prowadzi?

— Nie wiemy!...

Czujemy to po nocach bezsennych, naczytani wielkiej poezji romantycznej, stęsknieni za swobodą wyobraźni, za możliwością wcielania jej i takim sposobem próbowania, sprawdzania jej wytrzymałości — ku czemu idziemy, nie wiemy — idziemy w przyszłość zmian — ale nas jeszcze zawrócą. Wiosna narodów, jakąż burza, jakież groźne uspokojenie!

Wiosna narodów, jakaż burza, jakież groźne uspokojenie.

Nad Wisłą wiosny nie było, płynęła zwykłymi swymi wiosennymi lodami do morza Bałtyckiego, zalewała ziemię dawnej Polski. I nic się tu prawie nie zmieniało — gdy na świecie przeszły dreszcze rewolucyjne — i znów odradzała się, jak zawsze po rewolucjach, kontrrewolucja — uciszanie się temperamentów. — Rewolucyjna Francja wchodziła teraz w okres drugiego cesarstwa — Napoleon III, dobry mówca, z napoleońską hiszpańską bródką, stał się cesarzem Francji. Paryż drugiego cesarstwa kapie od złota, od połączanych mebli, od jasno oświetlonych salonów z powabnymi kotyliczami — snują się obszerne krynoliny pań po błyszczących posadzkach polityki. W tych balach politycznych Paryża — wtedy — na morzu Czarnym tonie flota turecka, zatopiona przez flotę rosyjską. I toczy się wojna krymska — Turcji, Austrii, Anglii i Francji z Rosją. To wojna jest o cieśniny — o to, że ciasno jest na morzu Czarnym — że okręty wszystkich mocarstw chcą płynąć pod Złotym Rogiem, pod Konstantynopolem.

Obleżony jest Sewastopol na półwyspie Krymskim. Umiera car Mikołaj I. Na tron rosyjski wstępuje młody car Aleksander II, z rudymi bokobrodami, wysoki przystojny, dobronudszny mężczyzna petersburskiego chowu. Sewastopol broni się — walka w twierdzy trwa. Wśród inżynierskich oficerów rosyjskich krzą się kapitan Romuald Traugutt, wysmukły błądy człowiek w ciemnych okularach — umacnia jeden z fortów sewastopolskich.

Wojna krymska kończy się pokojem paryskim. Rosja przegrywa tę wojnę.

Świat Europy — państw europejskich — rozszerza morzami

swoje horyzonty. To czas zamorskich podbojów, polityki wielkiej kolonialnej. Okręty płyną po morzach, po oceanach, a wszystkie są uzbrojone od stóp do głów — z towarami eksportowymi wiozą przymus podkarabinowy podbijanym kolorowym ziemiom. W krzywych uliczkach miast hinduskich wybucha powstanie przeciwiangielskie — bunt sipajów krwawy, pełen gwałtów i straszego okrucieństwa. Wśród chińskich pagód świętych, w najstarszej ziemi świata — widać czerwono-granatowe mundury armii francuskiej, walczące z chińskimi wojskami. W tych walkach, wciąż nowych, białych z kolorowymi ludźmi — wśród nich — wśród całego zdobywczego okrucieństwa i mądrej przewagi Europy — ukazuje się dzieło Darwina o pochodzeniu gatunków. O walce mówiło — i mówi, o spychaniu słabszych przez silniejszych, o wiecznej walce w naturze — jak to działa się i po koloniach.

Upalne dni przynoszą i do Europy wojnę. Francja i Sardynia prowadzą wojnę z Austrią, włoską wojnę — to lata upalne, pod lazurowym niebem — lata bitw pod Magentą i Solferino. W Rosji car Aleksander II wydaje manifest o usamowolnieniu chłopów. Garibaldi we Włoszech, w czerwonej koszuli, z wielką złocistą brodą, na białym koniu, prowadzi powstanie rewolucyjne narodowe — triumfalnie zajeżdża do Sycylii — i zajmuje ją — cytryny kwitną — lazurowe morze Śródziemne szumi — słysząc po nocach wystrzały ostatnie zwycięskie — powstańców i tęskne młode barkarole. Włochy — rewolucja — narodowe odrodzenie, — Włochy jednoczą się w królestwo włoskie — rozpęd italski rozszerza się echem po świecie, dopływa z południa coraz dalej na północ — już czerwone koszule są zrozumiałą wymową dla nadwiślańskich, smutnych nieb — i wciąż te dwa, nieustające wątki wiążą się, wiążą, rozwijają — wołania ludzkie o wolność i ludzka broń wiodąca do niewoli. Jest jakaś zwierzęca, darwinowska siła w tym ciągłym kontraście — romantyczne zgubienie się w dziewiczych puszczech nieskończonych możliwości panowania ludzi nad ludźmi.

W Warszawie — o zmierzchach zapełniają się kościoły tłumami — to są już sześćdziesiąte lata ubiegłego wieku — tłumy są coraz czarniejsze, żałobniejsze, potem żałoba przechodzi w modę narodową — już cała Warszawa jest czarna, w czerni — i w ciemnościach. Świat gdzieś się budzi — czerwone koszule garibaldi-czyków odbijają się w Polsce kolorem czarnym, chociaż oznaczają jedno i to samo — i żałobę i bunt do wolności.

Spod włoskiego nieba na chmurne niebo Polski płyną jakieś pieśni — niby to religijne a rewolucyjne — ziemia osłania się

nimi jak czarnym płaszczem, — i mgły płyną dalej, coraz wyżej.

A tymczasem w gorących wiatrach Francja kolonizuje Kocchinę i Kambodzę, w Ameryce szaleje wojna domowa — na nieskończonych dzikich ziemiach, bandyci królują po miastach i fermach złotodajnych — Meksyk cały w pożarach i w wojnie — człowiek o płaskiej silnej twarzy, Bismarck, zostaje prezesem ministrów w Prusach — wiatry, zmiany meteorologiczne pogody na świecie — szumią wiatry — zima zbliża się, już pokazały się na polskiej ziemi zawieje i zadymki...

...Noc — pochmurna — przychodzi pochmurna jakaś noc — wiatr wieje po szarej ziemi polskiej, huczy w lasach, wyje razem z wilkami — jest styczeń, mróz zamraża oddech, śniegu mało — człowiek jeden, drugi, dziesiąty — dziesiątkami, setkami — w tysiące mnożą się ci przechodnie, ci podróżni, wędrowcy czy wygnańcy — w lasach polskich znaleźli się — palą się ich ogniska — noc ta zimna styczniowa — wiatr huczy — zapłonęły w całym kraju pożary w tę noc — garnizony wojsk rosyjskich rozbrojone tu i ówdzie, wiatr wyje — powstanie — powstanie — oto po ziemi wiją się zeszłoroczne liście, pod nogami szumią, błota zamarzają — szron na drzewach — to zaczęło się styczniowe powstanie.

Wtedy to, tegoż roku, zniesione zostało niewolnictwo murzynów w Ameryce.

Powstanie polskie styczniowe zaczęło się od pieśni religijnych — po ulicach Warszawy szło jeszcze nieuzbrojone wtedy, ze sztandarami i chorągwiami, szło procesjami narodowymi, manifestacją w rosyjskiej Warszawie — kozacy w wysokich futrzanych czapkach cerkiewnych, obwiązani rudymi basztykami, w rudych szynelach, na małych zwinnych koniach wpadali w tłumy procesyjne, czarne, rozśpiewane — i rozpędzali tę romantyczną — mistyczną rozśpiewaną Polskę nahażkami, lub płazowaniem szablą. Tłumy zachowywały się prowokująco, szły pod zamek królewski, w którym mieszkał generał-gubernator, wtedy do nich zaczęto strzelać — padło pierwszych pięciu zabitych — zaczęły się krwawe w Warszawie rozruchy — pomiędzy Warszawą a Petersburgiem jechali kurier za kurierem, po rozkazy lub z raportami o sytuacji w Królestwie Polskim Kongresowym — w kraju przywiślańskim.

Warszawa już była powstańcza. Młodzież wodziła w niej rej. Młodzież trzeba było nauczyć rozumu — niechaj uczy się a nie politykuje. W połowie stycznia naznaczono branke do

wojska — były listy proskrypcyjne, na nich wymienieni byli ci z młodych, którzy najwięcej buntowali, najczynniejsi byli przy patriotycznych rozruchach — od wojska, od poboru uciekali młodzi i kryli się po lasach, tworzyli całe partie, potem oddziały — wtedy przyszedł rozkaz — od tajnych władz rewolucyjnych polskich w Warszawie, kryjących się gdzieś po poddaszach i suterenach — o wybuchu powstania — manifest do narodu. Podpisany był na manifestcie, na odezwie wzywającej do walki — bezimienny Centralny Komitet Narodowy — gdzieś w konspiracyjnym mieszkanku kryjący się — w konspiracyjnych drukarniach drukujący swe rozkazy, rozporządzenia i ulotki propagandowe.

I wybuchło powstanie styczniowe.

Człowiek otyły, o mądrym wypukłym czole, o dumnych wargach, margrabia Wielopolski, urzędował w Brühlowskim pałacu, koło Saskiego ogrodu — naczelnik rządu cywilnego dla Królestwa. Przeprowadzał swe oświatowe i ekonomiczne reformy — a tutaj mu burzono jego pracę partyzantką leśną, nie prowadzącą do niczego. W białych ścianach swego pałacu próbował szukać rozpaczliwych środków na uspokojenie kraju, na jego samobójczy ruch rewolucyjny — drzewa w ogrodzie Saskim stały już bez liści, widać je było z okien pałacu Brühlowskiego — widział je Wielopolski — i widział na sadzawce pływające sieroce liście.

Rewolucja zmieniała się w wojnę partyzancką po lasach. Brakowało dowództwa jednolitego, a przede wszystkim broni i amunicji, i odzieży i jedzenia — mrozy coraz silniejsze brały, przyszła wiosna a z nią przednówkowy głód po wsiach — kraj był na pół obudzony, a na pół pogrążony we śnie lub w rozmyślnym przyglądaniu się wynikom walki.

Rok przeszło buntowała się ta stara ziemia swym młodym, romantycznym pokoleniem, które czytało z romantycznych kart mistycznej wielkiej poezji narodowej — o ofierze, o bujnej młodości, o niezagasłej a wielkiej swej ojczyźnie. Aż zagasło następnej zimy to powstanie zbrojne — objawwszy cały obszar dawnych ziem królewskich, znajdujących się teraz pod Rosją — Królestwo, Litwę i Ruś — zagasło, a jeśli się tliło jeszcze gdzieś po lasach, to już jako resztki band powstańczych — wyłowione — wyginęło w końcu.

Ożywiły się sybirskie drogi, prowadzące przez całą Rosję skazańców na kajdanach — budowano wysokie szubienice i już ich nie rozbierano, czekając na wciąż nowe egzekucje.

Zmrok zapadał. Zmrok zapadł — a oczekiwana pomoc Francji nie nadeszła — a Włochy nie ruszyły się — a rewolucyjna młoda

Rosja nie wyszła spoza swych lampek tajemniczych, płonących w spiskowych lokalach Petersburga i Moskwy.

A świat miał nowe kłopoty. Już w pobliżu terenu buntu polskiego rozpoczęła się nowa wojna — wojna o Szlezwik i Holsztyn. Na konwencji genewskiej, w roku upadku powstania polskiego, utworzono Czerwony Krzyż. W pismach, w polityce zagranicznej coraz goręcej kipiło — i cóż komu myśleć o jednej sprawie, jak Polacy o jednej myśleli, o swej własnej — każdy myślał o swoich sprawach.

Siadaj, gadaj, polityka tych lat — rozmawiano ze sobą — jak idzie?

Wiadomości ze świata są:

Zamordowanie prezydenta Lincolna w Ameryce. Co to? nowa wojna? Zaczęła się nowa wojna? Włochy i Prusy rozpoczęły wojnę z Austrią. Doniesienia: odbyła się bitwa pod Custozzą. Znowu: odbyła się bitwa pod Lissą. Już zawierają pokój. Znow nowa wojna? Bitwa, taka głośna, pod Sadową. Znow pokój.

Włochy wyrosły na szóste mocarstwo Europy. Garibaldi — bóstwo wieku — napadł na posiadłości papieskie. Wiadomości z Austrii: ogłoszono konstytucję — jest grudzień. Austria układa się z Węgrami. Z ruchu wydawniczego — ukazała się książka Karola Marksa: „Kapitał”. — Wiadomości rosną, narastają. Już nie można o nich nie myśleć, nie mówić — przenikają do każdego domu, do każdego kraju, do każdej prawie części świata — zmienia się wiek.

— W Watykanie odbywa się sobór. Otworzono pierwszą kolej „Pacific” do San Francisco. Jest premiera pierwszej sztuki społecznej Ibsena „Związek młodości”. I otwarto Sueski kanał.

I jeszcze mijają rok.

Papież stracił już świecką władzę — przestał błogosławić z swojego ganku — *urbi et orbi*, miastu wiecznemu i światu. — I wtedy to, w tymże roku wybucha największy poryw wojenny, zmieniający drugą połowę wieku XIX-go — wojna francusko-pruska.

Napoleon III — cesarstwo drugie francuskie — w bitwach tragicznych, bezsilnych upada — na jego gruzach powstaje nowe cesarstwo — niemieckie.

I to wszystko w bitwie pod Sedanem — bródka hiszpańska Napoleona III przestaje być ochroną wyzwalających się narodów — jest biedną nędzną bródką zwykłego śmiertelnika, który z żoną

swą, piękną zawsze cesarzową Eugenią, emigruje, nędzni cesarscy emigranci pod opieką angielskiej królowej Wiktorii, do Londynu. Paryż oblężony już upadł dawno. Najpotężniejsza twierdza francuska, klucz do Francji, Metz, kapitulowała. Już we Francji znów republika.

...Zaczynają się wtedy wykopaliska starożytnej Troi.

We Francji, w Paryżu, rewolucja komunistyczna.

Bismarck kanclerzem cesarstwa niemieckiego.

Na scenach Europy premiera włoskiej opery Verdiego „Aida”. „Aida” — w podziemiach egipskich — w niewoli egipskiej — Radames śpiewa: — „Aida, Aida!”. Niewolnica Aida — o Polsko — śpiewają w duszy ci młodzi, którzy zawsze byli w Polsce Radamesami w marzeniach; — korzenie drzew, i traw i chwastów żyją na tej ziemi — wszystkimi porami roku, jak było i będzie zawsze. Rozum mówi — cierpliwości, młoda krew woła — niecierpliwości, więcej niecierpliwości!

Już posnęły powstańcze mogiły w lasach, już je nawet otoczyła konserwująca zawsze groby cześć ludzka — ale z młodym mówi się o szaleństwie ojców — ale młody zawsze gotów umierać młodo.

Tymczasem trzeba pracować. Organicznie. Pozytywistycznie. Gospodarka krajowa wymaga skupienia najlepszych elementów przy sobie. — Oswobadzać się — przyjdzie czas — tymczasem, tak jak jest, niech będzie, trzeba nabierać sił — takich sił, które teraz o wszystkim decydują — gospodarczych, pieniężnych, handlowo-przemysłowych. Przy stołach nauki zasiadać, pod piecami mniej mówić o wiecznych polskich powstaniach — nie bać się nie tylko śmierci ale i życia — co czasem bywa trudniejsze w Polsce.

A jednak — pustka jest w tym wszystkim. Choć tak trzeba.

Rosja, ciągle Rosja. Ta najważniejsza teraz sprawa. Z nią się łączą wszystkie nadzieje i rozpacz. Sprawa polska, a wszystko na świecie.

Aneksja Chiwy i Buchar przez Rosję — a sprawa polska. Ułożenie konstytucji republikańskiej we Francji — a sprawa polskiej autonomii dla Królestwa. Przemarsz Afryki przez Stanleya — a regionalne poszukiwania kolbergowskie po Polsce. Odkopywanie Pompei — a szukanie początków Polski historycznych, jej wielkości minionej, jej błędów i klęsk i upadków — w krakowskiej szkole historycznej stańczykowskiej — od imienia mądrego błazna królewskiego i najsmutniejszego człowieka dawnej Polski.

I znowu te ciągle skojarzenia świata, wypadków świata z nadziejami Polski.

Oto premiera w Bayreucie wagnerowskich „Nibelungów” już z Wagnera pocznie się Wyspiański. Już wybucha nowa wojna rosyjsko-turecka, padła twierdza Plewna — co dla Polski z tego może przyjść? Oto Czarnogóra, Rumunia i Serbia stają się niezawisłymi, nawet Bułgaria księstwem — a Polska, a Polska niczym? Anglia prowadzi dziką wojnę z dzikimi Zulusami — przypominają się ekspedycje karne rosyjskie na powstańców, tak niedawnych styczniowych, zdziczałych, tragicznych, włączających się bandami rozpaczliwymi po lasach polskich. Pokazują dzieciom ich mogiłki — patrzcie, to Polska, to Polska...

Czymże ona! Umarła, gdy w mogiłkach. A jeśli umarła, to po co ją budzić, po co ją ze snu wiecznego niepokoić. I tak już nie wstanie. Umarła...

Młodzi podają sobie ręce.
— Jeszcze nie umarła!...

— Jakżeż nie umarła — odpowiadają im ludzie patrzący na świat trzeźwymi oczyma. — Jakżeż nie umarła. A czy wiecie, że stanęło właśnie nowe przymierze austriacko-niemieckie...

...Czekajcie, czekajcie. Może teraz coś zmieni się: Zginął car stary, Aleksander II, jest nowy car, Aleksander III. Każdy nowy car — to jakaś świta nadzieja — w polskiej sprawie. Ale nie świta — wciąż głębiej zachodzi noc. I coraz ciemniej. I coraz beznadziejniej.

Opowiadać. Opowiadać o przeszłości. O tym, jak było dawniej. Bo musiało być w każdym razie inaczej. Jaka była ta Polska — opowiadana:

Z numeru na numer, w odcinkach gazetowych, ukazuje się *Trylogia* Sienkiewicza.

Coraz ciemniej na świecie — już Włochy przystąpiły do przymierza austriacko-niemieckiego. Wszystko co łączy Europę, jest dla Polski tragiczną koleją. *Status quo* — najstraszniejsze hasło wciąż brzmi. Równowaga sił, zbrojeń, równowaga europejska — najgorsze dla Polski *status quo ante* — ten stan co trwał, co trwa — ten stan niewoli uciszzonej.

W cesarstwie niemieckim — Wilhelm II, z wąsami do góry, pomadowanymi, trzymanymi na noc na maszynkach — a Polska.

W Paryżu stała wieża Eifel — a Polska, a Polska — kogoż to jeszcze obchodzi? Wszyscy mówią teraz o „Panamie”, o ogromnym finansowym skandalu XIX-go wieku, przy budowie kanału panamskiego — a nikt w pismach zagranicznych nawet nigdy nie wspomni o polskim skandalu, o niewoli potrójnej, już wiekowej.

I znowu nowy car rosyjski — Mikołaj II. Cichy młody człowiek, o rudawej miękkiej brodzie i wąsach długich kręconych na boki, ubrany w skromny mundur pułkownika piechoty, w wysokich lakierowanych butach, w ciemnozielonej furacze noszonej na prawy bakier, — może to w Polsce, może to dla Polski, może coś z tego o Polsce...

Lecz nic...

Słoń i sprawa polska.

Pierwsze promienie Röntgena.

Pierwszy film braci Lumière w małym kinie, na śmiesznym ekranie w mieście Lyonie.

— Co? — Madagaskar zajęty (tam polscy misjonarze).

— Co? już padł Port-Artur w Mandżurii? (tam tyłu w rosyjskiej armii Polaków, wśród żołnierzy i oficerów).

W Polsce gospodaruje się tak jak w kolonialnych Chinach — wielkie mocarstwa bagnetem załatwiają swój import do Chin — regulują bagnetem tę ziemię i tych ludzi żółtych, skośnookich — żółta Azja, żółte niebezpieczeństwo — niechaj ono nam będzie sprzymierzeńcem — bodaj ono — niech sam czart.

...I już brzmi gdzieś w powietrznych falach, jak marzenie, jak pieśń i niby bajka — pierwszy telegraf bez drutu Marcconiego — rozedrgawszy dziewicze radiowe fale wszechświatów, śródplanetarnych połączeń...

Opowiadać, pisać, tworzyć, działać. Wyjść z wsiowych opłotków polskich, w szeroki świat europejski — w „Życie” Przybyszewskiego. Posyłać swoich ludzi na słuchaczy tam, do Hagi, gdzie odbywa się właśnie pierwszy międzynarodowy kongres pokojowy. Anarchista włoski zamordował włoskiego króla — mordować królów — razem z anarchistami całego świata. Budzić się — minęły sprawy ciszy, zamkniętego życia w domkach małych, w małych cnotach codziennych, w małej duszy małego mieszczaństwa. Budzić się, budzić:

Premiera „Wesela” Wyspiańskiego.

Wybuchła wojna japońsko-rosyjska. Na wzgórzach Mandżu-

rii — teraz po całej Rosji, we wszystkich restauracjach, na wszystkich kurortach — grają ten walc — na wzgórkach, na „sopkach Mandżurii”. Młodzi chłopcy, rekruci z Polski, giną w Japonii za Rosję. Piłsudski, jak sojusznik Japonii — jakby Polska już była — szuka rozmów z władzami japońskimi. On jest jednym z motorów rewolucji — dywersji pozafrontowej w Rosji — w Polsce, w Królestwie Polskim, chociaż tam siedzą rosyjscy żandarmi i smutne rosyjskie żołdackie a wesołe oficerskie garnizony.

I dywersja udaje się. Wybuch rewolucja — i przychodzi w nagrodę konstytucja — bomby 1905 roku na ulicach miast dopominają się i o Polskę — ale mówi Piłsudski — nie upominają się one, tylko mówią, że ona jest — i więcej nic, i więcej tymczasem nie trzeba.

— Jest? A gdzież ona? Coraz mniej o niej słychać, gdyby nie tych parę bomb po Łodzi i Warszawie? Gdzież ona teraz będzie mogła być — już nowe na nią zawarte przeciwprzymierze, francusko-rosyjskie... Coraz mocniej zaciskają się kleszcze... Coraz ciemniej i beznadziejniej.

Jakieś tam, mało kogo obchodzące wojny — o Trypolis włosko-turecka; wojna bałkańska...

I znów cisza.

Przed burzą takie zacisze.

Pozostała — w pamięci — ostatnia zwrotka litanii narodowej z mickiewiczowskich Ksiąg pielgrzymstwa:

— O wojnę powszechną ludów błagamy Cię Panie!

Jeszcze jest cisza. Mówią, że odżywają znowu i zielenią się mogiłki powstańców 63 roku. Ale to pewno tylko tak mówią.

... Opowiem wam coś... Wiem, co to fabryka. Z robotnikami jestem zżyty. I wierzę w rewolucję nie jako polityk, tylko jako romantyk. Jest taki port i kurort nad morzem Północnym, nazywa się Ostenda. Tam jeżdżą bogaci Polacy, na ostrygi, pies ich trącił. I tam nad brzegiem morza jest taki aksamitny wilgotny piasek. Ja tam chodziłem z laską. Parszywy naokoło był świat, ale morze i pogoda były cudne. Ręk swoich jakoś nie mogłem odmyć w czystym morzu od tych drukarskich znaków *Robotnika* (liche tam mamy maszyny), od korekt nocnych. Chodzę więc nad tym czystym morzem i dumam. Pomyślałby kto,

że to durny chodzi po brzegu samotnik, który coś łaską wypracowuje na mokrym piasku. W tym była taka nauka: Jesteście młodzi i zdrowi, to najważniejsze. Kocham was a będę bił, gdy będzie trzeba. Wtedy nad morzem, na piasku, wyrysowałem sobie plan działania. Bądźcie spokojni. Wszystko obliczone. Tam na piasku rysowałem sobie was i krzyżyki nad wami. Na tych krzyżykach mądrze ustawiłem karty fałszowane całej Europy — i potrafię je pofałszować w słowniku historii. Miła ojczyzna nasza — to ta ziemia, nie ludzie; wy nie ludzie zaś, a ta ziemia dla mnie, i dlatego mam dla was uczucie pługa, krającego ziemię; wy dla mnie święty gnój tej ziemi, smarkaci strzelcy wąsatego już strzelca.

Miła ojczyzna nasza — to ta ziemia, nie ludzie; wy nie ludzie zaś, a ta ziemia dla mnie, i dlatego mam dla was uczucie pługa, kraczącego ziemię; wy dla mnie święty gnój tej ziemi, smarkaci strzelcy wąsatego już strzelca...

Tak mówił, po cywilnemu jeszcze ubrany Piłsudski, w Krakowie, do garstki młodych ludzi, cywilnych jeszcze, gdzieś na Błoniach, na spacerze po błocie, wiosną jakąś — przed wielką wojną światową. Kraków był austriacki, oficerowie w wysokich czapkach z c.k. bączkami szlifowali błoto na ulicach AB, CD itd. — po rynku krakowskim — a trębacz z wieży kościoła Mariackiego odrąbał swe hejnały z nienaruszoną tradycją.

Kiedyś, na emigracji, pisząc Księgi pielgrzymstwa narodu polskiego, Adam Mickiewicz napisał:

— O wojnę powszechną ludów błagamy Cię Panie...

Tak kończyła się litania emigrancka polska. I odtąd patrioci tak się modlili — o zachwianie doskonałej równowagi mocarstw europejskich, uzbrojonych w wielkie militarysty, konwencje, pakt i przymierza zaczepno-odporne wojenne — o wielką wojnę narodów i państw modlono się w Polsce żywej, to znaczy w tej, która chciała być Polską prawdziwą, polskim państwem — żeby już skończyć raz z tymi żydowsko-biblijnymi wierzbami babilońskimi, z tymi płaczami niewoli żydowskiej, wybranego narodu jakiegoś, zapłakanego nad rzekami babilońskimi. Już dosyć — tym żywym — było tego izraelsko-mistyczno-ugodowego płakania nad rzekami — i tego niewolnictwa, usposabiającego do wysokich wzlotów fantazji poetyckiej (bólem pisać, krwią i łzami!), nawet do gospodarczego dobrobytu w ramach jednostkowych, i do przyzwyczajania się do dobrego życia, kiedy wystarczy czuć a nie

potrzeba za siebie samego myśleć. Opiekuństwo, najzacniejsze nawet, wyłazi w końcu bokiem.

Świat wyglądał wtedy tak, przed wielką wojną światową:

Cesarstwo rosyjskie — car Mikołaj II.

Cesarstwo niemieckie — cesarz Wilhelm II.

Cesarstwo austriackie — cesarz Franciszek Józef I.

Królestwo Wielkiej Brytanii — król Jerzy V.

Republika francuska.

Królestwo włoskie — król Wiktor Emanuel III.

Było lato 1914 roku.

Wybuchła wojna światowa.

Najprzód Austria wypowiedziała wojnę Serbii, niezadowolona z noty serbskiej w odpowiedzi na zamordowanie w Sarajewie następcy tronu austriackiego, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

W obronie słowiańskiej Serbii zmobilizowała się Rosja cara Mikołaja II Aleksandrowicza Romanowa.

W związku wojennym znajdujące się z Austrią Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji i Francji.

W porozumieniu wojennym z Francją znajdującą się Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom. Do trójporozumienia przyłączyła się również Japonia, wypowiedziała wojnę Niemcom.

Do trójjwiązku wojennego z Niemcami i Austrią należące Włochy złamały swą umowę i przystąpiły potem do trójporozumienia rosyjsko-francusko-angielskiego, wypowiadając wojnę Austrii.

Do związku wojennego z Niemcami i Austrią przyłączyła się Turcja.

Było lato. Miesiąc sierpień 1914 roku.

Niezliczone armie rosyjskie szły w Karpaty i biły Austriaków, brały ich tysiącami do niewoli, przez miasta rosyjskie pędzono stada wziętych do niewoli austriackich żołnierzy, w kolorowych, niewojennych jakby a od parady mundurach, już od pierwszych bitw — schorowanych, wycieńczonych i głodnych, mówiących różnójzycznie, wszystkimi językami świata, wśród których przeważały języki słowiańskie.

Rosjanie zajmowali Galicję, jako odwieczny rosyjski kraj.

I byli dawni strzelcy Piłsudskiego. Piłsudski uformował z nich legion polski, by było w wojnie tej wojsko polskie czynne. Po czyjej stronie? Po niczyjej — po własnej, polskiej

stronie. Raczej przeciw komu — przeciw Rosji najprzód. A potem przeciw wszystkiemu, co nie jest Polską.

Sztandary polskie, bagnety i szable brały udział w wielkiej wojnie światowej XX-go wieku — po swojej własnej niepodległej stronie.

W tej kaszy, warzącej się w wielkim kotle europejskim, sam czart by nie poorientował się w przeróżnych orientacjach z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę — od jednej bitwy do drugiej — gdy przerwany jakiś telefon na froncie mógł rzucać na szalę niepodległość lub podległość Polski — jako hasło do najbliższego ataku z bagnetami na druty kolczaste i okopy któregoś wroga.

Rosja biła Austrię, a Niemcy biły Rosję.

Niemcy biły Rosję, a Francja odpierała Niemcy. Padła Belgia neutralna, sforsowana przez wojska niemieckie, bombardowana katedra gotycka w Reims porysowała się cała zniszczeniem. Odbyła się pierwsza bitwa nad Marną: francusko-niemiecka.

To wszystko był rok 1914, pierwszy rok wojny światowej.

W 1915 roku, w drugim roku wojny sytuacja wyglądała w Europie wojennej tak:

Wojska rosyjskie pośpiesznie ustępowały z Galicji, Królestwa Polskiego i Litwy, a z nimi jechały na wozach nieskończone rodziny chłopskich uchodźców polskich, gdzieś w głąbiny Rosji, na tułaczkę i na nędzę, straszone okrucieństwami wojsk ofensywnych Wilhelma II.

Front rosyjsko-niemiecki ustalił się: Białoruś - Wołyń.

Włochy przystąpiły do wojny — opuszczały swoich sojuszników, Niemcy i Austrię — stawały po stronie trójporozumienia rosyjsko-francusko-angielskiego, wypowiedziały wojnę Austrii. Nad rzeką Isonzo, na froncie włosko-austriackim zaczęły się ostre bitwy.

Bułgaria przystąpiła do wojny światowej, stając po stronie Niemiec i Austrii.

Zaczynał się trzeci rok światowej wojny, 1916.

Jest to rok obrony Verdun przez Francuzów i bitwy krwawe straszliwie nad Sommą we Francji.

Rumunia wstępuje do wojny, po stronie wojsk ententy.

Jest to rok proklamowania przez cesarza niemieckiego Wilhelma II Hohenzolerna i cesarza austriackiego Franciszka Józefa I Habsburga — niepodległości Polski.

I tegoż roku, 1916, umarł, zdawało się nieśmiertelny, starzec,

Franciszek Józef I, cesarz austro-węgierski, — i dłuższy czas ukrywano w Austrii jego zgon. Na tron austro-węgierski wstąpił Karol I Habsburg.

Już czwarty szedł, 1917, rok wojny światowej.

Dawniej, na początku wojny mówiono — to potrwa parę tygodni na pewno. Potem — no, może parę miesięcy. Dalej, — najwyżej rok. Już zaczynał się teraz rok wojny czwarty.

W tym roku, 1917, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, w odpowiedzi na walkę łodzi podwodnych niemieckich na oceanie Atlantyckim, wypowiedziały wojnę Niemcom i wstąpiły do wojny światowej.

Na wiosnę 1917 wybuchła w Rosji rewolucja, pod hasłem zawarcia z Niemcami pokoju odrębnego, separatywnego, nie licząc się z Francją i Anglią. Car Mikołaj II, mieszkający w salonowym pociągu i jeżdżący wzdłuż sztabów frontów, któregoś ranka musiał przyjąć delegację rewolucyjną konstytucjonistów demokratycznych (tzw. kadetów) z księciem Lwowem na czele i podpisać akt abdykacji, zrzeczenia się tronu dla siebie i dla swego syna, małego carewicza Aleksego, następcy tronu Romanowów. Usiłował wzbraniać się, ale powiedziano mu teraz dopiero o istocie sytuacji w kraju. W całym kraju szalała już rewolucja, wojska całymi pułkami i dywizjami wracały z frontów do domu — zdziżczale uzbrojone żołdactwo. Aresztowanego cara przewieziono do Petersburga, który już teraz, od początku wojny z Niemcami, nazywał się Piotrogradem, po słowiańsku.

To był dopiero początek rewolucji rosyjskiej — dyktatorem został mienszewik (minimalista rewolucyjny) adwokat Kiereński, świetny mówca, który ubrany w zielonkawy półwojskowy frencz objeżdżał front wojsk i płomiennymi mowami usiłował powstrzymać je od masowej dezercji i odmawiania władzom wojskowym posłuszeństwa.

Na jesieni wzięli górę maksymaliści rewolucyjni w Rosji, bolszewicy. W zaplombowanym wagonie przyjechał, przy pomocy wywiadu niemieckiego, Lenin do Piotrogradu i objął naczelną władzę nad rewolucyjnymi żywiołami. Lenin i komisarz wojny Trocki wprowadzili terroryzm krwawy i tym opanowali sytuację — dla siebie — utrzymali kraj ogromny w całości.

W Rosji już panowali bolszewicy.

I w tymże roku umarł we Francji August Rodin, rzeźbiarz.

Zaczynał się już piąty rok wojny, 1918.

Niemcy biły Rosję bolszewicką, tworzyły Ukrainę.

Niemcy biły bolszewicką Rosję, a Francja biła Niemców nad Marną, a Włochy biły Austriaków nad Piawą we Włoszech.

Z bolszewicką Rosją zawarły Niemcy i Austria wreszcie pokój oddzielny w Brześciu Litewskim — wojna rosyjsko-niemiecko-austriacka była skończona.

W rezultacie klęsk Niemców nad Marną i klęsk Austriaków nad Piawą, — w rezultacie przegranej wojny — abdykował Wilhelm II niemiecki i Karol I austriacki — Niemcy stały się republiką, Austria stała się republiką.

W tymże roku, 1918, Rada Regencyjna w Warszawie wydała manifest, ustępując i przekazując władzę w ręce brygadiera Józefa Piłsudskiego, wypuszczonego z twierdzy, z więzienia w Magdeburgu. Polska stała się w tym roku niepodległą znów — po stu dwudziestu trzech latach podległości: Rosji, Niemcom, Austrii.

W tym piątym roku wojny światowej, 1918, myśłano, że już ta wojna nigdy się nie skończy.

W tymże roku skończyła się wojna światowa.

W następnym roku, 1919, już nie było wojny na zachodzie.

Jest to rok traktatu wersalskiego.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Wilson, przywiózł swoje „14 punktów” — do Paryża, do sali w Wersalu. W tejże sali, 1871, gotowano inny pokój, frankfurcki — po zwycięstwie niemieckim nad Francją — teraz w tych lustrach wersalskich odbijało się zwycięstwo przede wszystkim Francji nad Niemcami — (wtedy cesarstwo francuskie upadło a powstało cesarstwo niemieckie — teraz cesarstwo niemieckie upadało przed republiką francuską).

Przedstawiciele państw wojujących podpisywali złotymi piórami traktat wersalski, napisany cały niezmiernym morzem krwi, nie atramentu.

Traktatem wersalskim Polska uzyskiwała dostęp do morza Bałtyckiego, Pomorze. Miasto Gdańsk uznane zostało za wolne miasto — w sferze polskiej — pod opieką Ligi Narodów, utworzonej w konsekwencji zawartego traktatu pokojowego.

W ziemi zostały niezliczone mogiły żołnierskie.

Wielkie armie walczących ze sobą narodów poszły pod ziemię.

Pod ziemią utworzyły się wielkie armie poległych.

Po ziemi chodziły nowe armie inwalidów wojennych.

W ziemi pomieszały się kości wrogów, w tzw. braterskich mogiłach.

Kto wie, — kto w nich leży i spoczywa.

Po całym świecie powstały symboliczne mogiły Nieznanego Żołnierza.

Brano na chybił-trafił łopaty i kopano w mogiłach żołnierskich tam, gdzie najkrwawsze były bitwy tej wielkiej, największej wojny światowej; potem wybranych z różnych pól żołnierzy — trupów losowano — potem im wznoszono łuki triumfalne, — zapalone znicze na tych mogiłach płoną dziś po całym świecie. Nie gasnące znicze, nieustająca warta honorowa wojska, nie wiedzające, coraz nowe świeże wieńce kwiatowe.

Nieustające wspomnienie.

Nieustające wspomnienie.

Z wojny światowej 1914-1918, z przemian rewolucji rosyjskiej 1917 — wyszła Polska niepodległa.

Z listopadem związał się ten historyczny akt. Bo historyczny fakt już istniał przedtem, i tym razem jak zawsze w historii polskiej — związany z polskim wojskiem: polska organizacja wojskowa Piłsudskiego.

Na nieustalonych jeszcze granicach państwa nowego, polskiego (granice były na wszystkie strony frontami wojennymi, jeśli nie płonącymi, to jeszcze wciąż dymiącymi) leżał biały śnieg, zmieszany z błotem. To były jakieś pola wielkie, mocne, białe w śniegu, albo lasy zimne, białe, oblane tajemniczym księżycem, a usiane odpadkami kończącej się wojny światowej, której połowa rozegrała się na ziemiach polskich. Polska była wschodnim stałym frontem działań wojennych w wojnie światowej 1914-1918 roku, — na jej ziemiach walczyły potężne mocarstwa świata, zmagające się z sobą krwawo i rozpaczliwie.

Woda w studniach pozamarzała, czasem padał deszcz zmieniający się w locie z nieba na ziemię w kulki lodowe, podobne do ołowianych kul, do których już tak przyzwyczaili się wszyscy przez te lata wojenne.

Mówiono teraz — zaczynano mówić: czasy przedwojenne, dawne dobre czasy, jakieś dalekie, oddalone, legendarne, kiedy wszystkiego było pod dostatkiem, chleba i opału, tłuszczów i nabiału, spokoju i trwałej, brzęczącej monety. Zdawało się, że może już kończą się wojenne czasy, i zaczną się jakieś powojenne — to znaczy: powrót do czasów przedwojennych. Jakżeż inaczej można było sobie wyobrazić przyszłość, jeśli nie porównaniami

do przeszłości? Ale większość ludzi, ta co z wojną związana była ściślej, nie wierzyła już w nastanie czasów pokojowych. Żyło się na wulkanie, a przecież jeszcze tyle w nim gotowało się lawy podziemnej, z dnia na dzień, z nocy na noc, — wojny i rewolucji, nieustających złowrogich podziemnych pojęków.

„Listopad dla Polaków niebezpieczna pora” — napisał Wyspiański w „Nocy Listopadowej”.

Pod tym hasłem — niewiary we własne siły, w zapewnieniu tej jesiennej, listopadowej daty — zaczynała się organizować organizacja nowa polska, państwowa. Odzwyczaili się Polacy od takich organizacji. Tak długo przecież organizowali już tylko instytucje oświatowo-kulturalne, społeczno-gospodarcze i dobroczynno-opiekuńcze, a tu trzeba było robić przede wszystkim instytucję wojskową, wielkie biuro werbunkowe, podatkowe, biuro niebываłego przymusu — siebie trzeba było samemu przymuszać do tego, czego robić nikomu się nie chce.

Padał po Warszawie śnieg. Życie nowe wahało się pomiędzy wybuchami, coraz nowymi entuzjazmu polskiego, a polskiej nerwowości codziennej i narodowej apatii.

Pejzaż ówczesnej, odradzającej się Polski — pobojowisko, rumowisko wielkiej wojny, zniszczony dobytek i zniszczona wiara w wartość odbudowywania się — po co? by znów taka burza światowa zrównała wszystko z ziemią?

Płoną na frontach ogniska nowych, zbieranych z całego świata, różnych, rozmaicie poprzebieranych wojsk polskich. Wszystkich armii mundurów, obcych armii, w których Polacy, jedni przeciw drugim, podzieleni frontami walczyli — mundury te ubierają młode, tworzące się wojsko polskie. Z kadr legionowych tworzą się poborem i ochotnikami nowe jednostki bojowe — ale nie mają w co się ubrać, nie ma ich czym karmić, nie ma w co uzbroić — z początku. Niesamowity charakter ma ta zbieranina wojskowa odrodzonego państwa polskiego — ochotnicy młodzi napływają do tego wojska masowo — a nie ma gdzie ich mieścić, czasem nie wiadomo co z nimi robić — i jak tu gasić ten pierwszy ogień zapału młodości, który nie wyobraża sobie teraz lepszej służby ojczyźnie wolnej jak z bronią w ręku. I tu racja stanu — pierwsza i najważniejsza — siła zbrojna Polski — Polska zbrojna, — zbiega się od razu z powszechną wolą narodu (potem to powoli zacznie stygnąć), z wolą narodu polskiego do służby w wojsku polskim. Grają tu rolę decydującą legendy powstań narodowych, narodowej zbrojnej partyzantki, poezje wielkiego romantyzmu z czasów emigracji polskiej, widma bohaterskie, ofiarne znaki nieśmiertelności „Rozebranej Ojczyz-

ny” — jak tu nie móc wyzyskać tego pierwszego, płomiennego entuzjazmu powszechnego — nie dać mu się wyszumieć, odbić stracone lata, stracony przeszło wiek niewolny — a nie ma sposobu skutecznie tego jakby się chciało — nie ma po temu technicznych środków i praktycznych możliwości.

Pola polskie stoją w błocie i w śniegu. To pierwsza polska niepodległa zima — 1918 roku, po stu dwudziestu trzech zimach niewoli, związanych wyobraźnią z zimami sybirskimi. I czuć jakiś sybirski chłód tej zimy w Polsce — jakaś Polska z tego się wyłania, ale jakby inna jakaś od tej, o której się śniło i marzyło przez wszystkie noce niewolne. Czyż tak powinna wyglądać? Czyż tak wyglądają w rzeczywistości cuda, o których potem czytamy i uczymy się, przejęci uwielbieniem i trwogą przed niezwykłością owych zjawisk, z nieba zsyłanych?

Mówi się o wskrzeszeniu Łazarza, — a dekoracje tego wskrzeszenia?

Ileż smutku jest w tych radosnych chwilach, ileż zawodu gorzkiego, jaki sprawia zawsze rzeczywistość, długo przedtem śniona. Zawaliło się coś w ludziach polskich duchem — jakaś legenda zamierała — bogowie stawali się ludźmi — ofiarnicy zwykłymi ludźmi z krwi i ciała — sama sprawa polska, tak kołysana podniebnie, zaczynała chodzić po świecie na czworakach, ale już o siłach własnych. Musiała od tego zacząć — niby dziecko.

W Belwederze siedział naczelnik takiego państwa, jakby zaczynającego się od nowa, komendant dawny legionów, Józef Piłsudski. Silny mężczyzna średniego wieku, trochę w ramionach pochylony, o ciemnych, na dół zwisających wschodnim zwyczajem wąsach. Widział taką właśnie Polskę — a wiedział, on może jeden, że tak zawsze było, czy bywało. On jeden rozumiał sens historii wszelkiej, jej z bliska przyziemność i małość, a jej z daleka podniebność i wielkość. Mówił dlatego brutalnie zawsze, kiedy chciał coś powiedzieć najistotniejszego w tych sprawach historii Polski w ogóle, a współczesnej w szczególności — był brutalny tam, gdzie go stać było na największe czułości staroświeckich, szlacheckich, dworskich, narodowo-patriotycznych przyzwyczajęń i poetycznych wykołysań duszy.

Polska pachniała wtedy całą jodoformem, grasował w niej tyfus i wszelkie powojenne epidemie, z głodu i chłodu biorące swe źródło, — a przede wszystkim z rozluźnienia się nerwów ludzkich, zbyt długo trzymanych w naprężeniu. Po Polsce działały punkty kwarantanny, jak dla zadżumionych — dla tych co

przybywali zwłaszcza ze wschodu — Polaków — z owego wschodu, który nie tylko chorobami zaraźliwymi, wszami i brudem niesamowitym nędzy i tułactwa — ale jeszcze innym groził zarazkiem — rewolucyjnej anarchii wschodniej. Tam na wschodzie, w Rosji ta rewolucyjna anarchia powstrzymywana była terroryzmem obcych żywiołów nowych w ogromnej Rosji — metodami odwiecznymi w Rosji — od czasów normańskich Waregów a potem tatarskiego jarzma — i idącej z nich tradycji carskiej. Tutaj, do Polski niesiona ta anarchia rewolucyjna — była już zawieszoną pozostałością nałogu — nie siłą twórczą, jak tam, tylko siłą oporu i rozkładu tylko.

Polska była wtedy jednym wielkim barakiem tymczasowego zamieszkania, zdobywania żywnościowych kartek, choroby, entuzjazmu, i ciągłego pokrzywdzenia ludzkiego.

W tym wszystkim rodziła się na nowo Polska. Nieoczekiwana. Musiała wszystko zapominać, żeby przypomnieć sobie, czym powinna być — czym była, zanim stała się już tylko poetyczną i żalobną legendą. Była siedliskiem (w legendzie) nieustającej rewolucji, teraz musiała wejść w okres zdecydowanej kontrrewolucji przeciwko samej sobie, przeciwko swym najwyższym ideałom.

Pracował nade wszystko sztab wojskowy polski i siła zbrojna Polski wypełniała się nowymi mięśniami. Gimnastykowała swe ciało, rozmarzone i rozleniwione, lub przywykłe do cudzego bata i cudzej, mądrej komendy.

Na niegasnących frontach polskich, gdzieś w lasach białych i w polach białych, co jakiś czas — mimo zaciśnięcia i pozornej beczynności wojennej, odezwie się nagle salwa karabinowa, z maszynowych karabinów, kulomiotów, zatrzeszczy, zatrzeszczy i ustanie. Noce tak idą za nocami. Gdzieś w te bezsenne noce pracują nowe polskie rządzące mózgi — nad tym wszystkim, co niewidzialnie, prawie z niczego się tworzy. Jeden z tych mózgów nie może spać po nocach, pali niezliczone ilości papierosów z długimi ustnikami, chodzi po pokoju, z rękami silnymi w kieszeniach siwego strzeleckiego munduru, i coś myśli albo coś dyktuje. Stukają maszyny do pisania. Padają rozkazy, rozporządzenia rozklejane są nocą po murach stolicy i po innych miastach polskich, już należących do Polski, do jej rządu, do jej państwa i panowania.

Wielki folwark — ten co tu rządzi jest jego właścicielem, a mówi że jest tylko ekonomem. Nie chce korony właściciela

ziemskiego tej ziemi — dziedziczką tu jest sama Polska, a on tylko jej ekonomem.

— „U naszego gospodarza serce jak na dłoni” — to Polska, to ta platońska idea, to ta nieśmiertelna, chociaż już podobno nie tylko nieśmiertelna — nie — powiadają — po prostu żywa.

— „A od tego ekonoma niech nas Pan Bóg broni” — to Piłsudski, to ten który ją, ideę platońską, na ziemię brutalnie sprowadza, i każe ludzkim, to znaczy — chwilami jak się zdaje — nieludzkim sposobem żyć — żeby Polska była człowiekiem, w pełni tego słowa znaczeniu, a nie bóstwem — w tym znaczeniu jest bezbożnik — każe na ziemi żyć Polsce.

Życie wchodzi w swoje ziemskie koleje. Ziemia jest ziemią, ludzie ludźmi, państwo — państwem, poddaństwo — poddaństwem. I feudalizm nowy się tworzy, i nowa niewola, i nowi panowie. Z początku nikt tego nie może zrozumieć. Dopóki słabe są jeszcze tego wszystkiego przejawy — silniejsze są przeciw temu bunt. Dopiero siła dowodzi, że jest prawo. Teraz mniej trzeba myśleć o prawie, a więcej o sile. Trzeba zrównoważyć choć trochę szale istnienia ludzkiego na ziemi, które w Polsce przekreśliły się i stały dziwnym sposobem — niby równowaga wieży w Pizie. Szala idei tak ciążyła, idei bezcielesnej — tak mało ważyła jej siła fizyczna, cielesna. Brutalne jest to równanie szal. Nowy zrodzony z rzeczywistości polski świat — przypomina jakby czasy włoskiego odrodzenia — białe charaktery ciemnieją, czarne rozjaśniają się, są coraz więcej na widowni.

A nad Polską — płynęło jej przeznaczenie, jej legenda, zawsze niezmienna, zawsze ta sama, — tylko ktoś ją widzi — ona jest mgłą, ta legenda, — mówi się nawet „mgła legendy” — ta mgła, a mgły są skrzydlate i podobne do dusz, płynęła dalej nad Polską — patrzyły w nią oczy tego, kto siedział w Belwederze, i podchodził czasem w bezsenne noce, do okna — kiedy nikt go nie mógł widzieć — i patrzył w tę mgłę, w tę mleczną niby drogę.

W astrologię już nikt nie wierzy, jak nikt nie wierzy w dusze światów — wierzą w nią już tylko wtajemniczeni, ci co wiedzą o jej nieustającej obecności, o jej nie zawodzących prognostykach — ukazuje ona im owe szczegóły — szczegóły, które dla innych są wielkimi ogólnikami bez treści lub wielkimi niewiadomymi. Człowiek żyje samymi szczegółami, ów „szary człowiek” — jak teraz się mówiło; a dla wielkich tego świata (bo tacy byli zawsze i są zawsze) — szczegółami życia jest właśnie historia wszelkiego życia, jego ład, niby planetarny, prawa rządzące tym wszystkim, zawsze jednakowe.

Dawniej wielcy tego świata wmawiali w tłum rządzonych, że są bogami albo od bogów pochodzą sami i ich władza, teraz wielcy tego świata wyrzekają się wstydliwie a podstępnie swych boskich iskier — i wmawiają w tłumy przez siebie rządzonych, że są ludźmi zwykłymi, najzwyczajniejszymi, najbardziej szarymi — najpodobniejszymi właśnie do tłumy, i że ich władza wcale nie od bogów pochodzi, jak i oni sami, — tylko z tłumy, spośród owego tłumy, w zgodzie z wolą tłumy tego, jako jego, i tylko jego wyrazicieli.

Kłamali tamto — a teraz to kłamią. Inne są drogi, a inne są ścieżki — w życiu.

Zmęczona Polska. Z entuzjazmu pierwszego przechodzi w urzędującą przedwojennymi, po dawnych mocarstwach odziedziczonymi, metodami.

Rosyjscy Polacy (spod dawnej Rosji) mają szeroką naturę, to najbujniejszy element — na nich leży oprawa „czynownictwa” rosyjskiego.

Austriacy Polacy (spod dawnej Austrii) najłatwiej posługują się językiem polskim, nauczyli się metod rządzenia monarchii habsburskiej, są najobrotniejsi i najruchliwsi — „amcą” po austriacku.

Niemieccy Polacy (spod dawnych Niemiec) najlepiej są zagospodarowani, najlepiej wyćwiczeni w słuchaniu silnej władzy — separują się, odosobniają się w swej germańskiego autoramentu wyższości wyrobienia gospodarczo-narodowego.

Najmłodsza Polska broni Lwowa. Studenci, uczniowie szkół średnich, dziewczęta w mundurkach szkolnych walczą na barykadach lwowskich.

Zdobywają każdy róg ulicy, każdy zaułek. Trzeszczą karabiny maszynowe, ze strony polskiej i ze strony ukraińskiej. Lwów cały w ogniu i w grzechocie strzałów.

Tyraliery chodzą lwowskimi ulicami, przyklekają pod murami i w bramach, kładą się na bruku ulic — strzelają, znów biegną naprzód — w małych młodych rękach ciężka broń karabinowa.

Jeszcze granice Polski nie są ustalone. Polska walczy o swe kresy wschodnie i zachodnie.

Gwiazdy spadają na ziemię.

Zbierała się polska ziemia.

Potem przyszedł traktat wersalski.

Były zaślubiny Polski z morzem. Błękitne mundury haller-

czyków stały nad morzem Bałtyckim. Generał Haller wjechał w morze koniem, rzucił do wody, daleko w fale pierścioneł Polski.

Wsie polskie. Miasta. Jak wyglądały? Pobjowisko. Odbudowujące się rumowisko powojenne.

Wojsko. Wojsko polskie. Jego skład. Pułki. W każdym z pułków inna komenda, inne — rosyjskie, austriackie, niemieckie — potem francuskie prawidła musztry i boju. Nieprzygotowane, niewyćwiczone wojsko, rekrut, szło na fronty — na rzeź prawie, nie umiejąc czasem trzymać karabinu. To teraz zmieniało się z dnia na dzień. Wojsko zmieniało się. Z partyzanckiej, różnolitej armii, z band prawie, zaczynało być armią regularną.

To stanowiło teraz o wszystkim. O sprawiedliwości międzynarodowej — o nieprzedawnionych prawach Polski do samoistnego bytu — o konieczności oddechu morskiego — o wszystkim, o wszystkim — to właśnie, rodzące się z niczego, z ludzi i narzędzi, z jednego dowództwa i z jednego patriotyzmu — wojsko.

Już zachodnie granice Polski ustalały się. Śląsk miał odbyć plebiscyt. Tylko wschodnie granice były całkiem nieustalone — zależne od stanu działania wojennego. Na wschód teraz patrzyły oczy Europy, sądząc z tego, czym Polska ma być — czym chce — a czym być może?

Polska stała w lasach i w polach nadgranicznych, na wschodzie. Wojny tam nie było regularnej, ale był wciąż stan wojennego pogotowia, napadów obustronnych, prób forsowania, gdzie się uda, frontu — przez bolszewików albo przez Polaków.

Rosja bolszewicka stała wciąż jeszcze w wojnie domowej — Rosja czerwona z armiami białej Rosji, carskiej, oficerskiej, z tzw. rosyjską armią ochotniczą — walki czerwonych z białymi trwały tam wciąż jeszcze i walki ukraińskie, republikańskie petlrowskie — z czerwoną komunistyczną Rosją moskiewsko-petersburską.

Zwyciężała północna Rosja Ruś południową — czerwona północna — białą południową, lub południową błękitno-żółtą ukraińską.

Polska zwrócona była cała na ten wschód. Burza zbliżała się od wschodu. Stamtąd szła czerwona pożoga.

W Rosji bolszewickiej uważano Polskę za ostatnią twierdzę reakcji zachodnioeuropejskiej, za przedmurze wschodnie ententy, za pas śródgraniczny — faktycznie neutralny co do swoich sił — między rewolucyjnym Wschodem a kontrrewolucyjnym Zachodem.

A Polska zawsze była między Wschodem a Zachodem — ziemia łącząca morze Bałtyckie z morzem Czarnym — w swym historycznym przeznaczeniu.

I taką, samą w sobie, w swym historycznym przeznaczeniu geograficzno-duchowym, musiała być.

— Ku czemu Polska szła?

Ku swemu zawodowi rycerskiemu (zawsze była, od swych początków — Lachy — zakonem rycerskim, duchowym zakonem miecza i ducha) — pod mieczem — duchowa przystań.

Było elektryczne oczekiwanie burzy od wschodu.

Było elektryczne oczekiwanie burzy od wschodu.

I ta burza zaczęła się. Polska poszła naprzeciw tej burzy. Szła pod straszliwy wiatr, pod wiatr czerwony, kontynentalny, wschodni — od wschodu wiejący na zachód — nie czekała aż ta burza zwali się na nią, z młodymi piersiami żołnierskimi naprzód wypreżonymi poszła jej na spotkanie. Wzięła inicjatywę ofensywną w stosunku do zbliżającej się burzy wschodniej.

Wiatry wiosenne Litwy i Rusi wiały w oczy maszerującym młodym pułkom i dywizjom polskim — wojskami tymi dowodził Piłsudski. Polacy prowadzili natarcie, armia czerwona, swą odwieczną rosyjsko-mongolską taktyką strategiczną cofała się przed natarciem w głąb kraju — wiosna szła, coraz bliższa.

Był kwiecień 1920 roku.

Na wozach jechała polska piechota i piechotę maszerowała, kawaleria na wychudłych zmęczonych jechała koniach — posuwały się wojska polskie na Białoruś i Ukrainę, dążąc do osiągnięcia linii wschodniej dawnego mocarstwa polskiego, naznaczonej historią jagiellońską, a przedtem jeszcze piastowską, Bolesława Chrobrego Piasta — do osiągnięcia linii granicznej Dniepru.

Szła wiosna 1920 roku, zwycięska, przypominająca marsz Chrobrego na Kijów. Wojska polskie, z pomocą wojsk sprzymierzonych ukraińskich atamana Petlury, zajmowały Ukrainę po Dniepr. Wzięty Kijów. Rosyjskie armie czerwone wyszły z Kijowa.

Ta wiosna — ukraińska — w Polsce prowadziła do odzyskania granic polskiego działania dziejowego, sprzed pierwszego rozbioru, z roku 1772. Ukraina niepodległa, związana federacją z Polską — ścisłym związkiem wojennym i ekonomiczno-kultu-

ralnym — była w planie polityki polskiej naczelnego wodza wojsk polskich, Józefa Piłsudskiego.

Ukraina płonęła teraz wojną — Polskę widziała znowu na swych ziemiach.

Toczyły się nieskończone pociągi polskie po Ukrainie, pełne wojska — a wojska polskie zdobywały opinię niezwycięzonych. Mówiono w zajmowanych miastach — że to wojsko jest jeszcze groźniejsze i sprawniejsze od wojsk niemieckich, które tu, dwa lata temu, przyszły na pomoc hetmanowi Skoropadskiemu.

W Kijowie odbył się, przez główne ulice miasta, zaraz po jego zajęciu, przemarsz zwycięskich wojsk polskich — wśród tłumów publiczności na ulicach i dachach domów, na balkonach i w oknach, wśród rzucanych przez kobiety kwiatów pułkom polskim.

Był to maj. Majowe dni. Maj ukraiński już kwitł, już pachniał — już noce majowe wiosenne odurzały Polaków na wschodzie, jak za czasów Chrobrego i Śmiałego.

Okolice mijane, w drodze do tego Kijowa o złotych kopułach cerkwi, — Dniepr nareszcie.

Wojna z bolszewikami.

Piłsudski wracał z Kijowa, po wzięciu Kijowa, do Warszawy.

Drogą Chrobrego — poszedł i zwyciężył.

W kwiatach jechał z dworca do Belwederu.

Na froncie północnym czerwone armie rosyjskie oskrzydlały polski południowy front ukraiński.

Trzeba było Polakom opuszczać Kijów.

Wszystko teraz waliło się na Polskę. Już jej armia nie była uważana za najsilniejszą na wschodzie. Armie czerwone rosyjskie przeszły masowo do kontrofensywy.

— Losy wojny są zmienne.

Teraz Polska cofała się, następowała Rosja.

Już mówiono o niezwyciężoności niezliczonych wojsk komunistycznej Rosji, która zarzuci Polskę czapkami. Mówiono, że rewolucja komunistyczna zdobędzie lada dzień wielki teren polski — zdobędzie więc i cały Zachód, po tym pomoście, stanowiącym przejście od wschodu do zachodu.

Defetyzm. Panika na tyłach.

Koniec Polski? Tak krótko trwała? To prawdziwe sezonowe państwo — jak to od razu przepowiedzieli Niemcy?

Już wojską czerwoną, całym rozpędem kierowane na północne

oskrzydlenie Polski — oskrzydlały pozycje frontu polskiego — zachodziły z dwóch stron Warszawę.

Na południowo-wschodnim froncie polskim, wysuniętym jeszcze na wschód, działała niemal wyłącznie taktyką Dzyngischana chmura konnicy czerwonej Budiennego — tam na tym polskim froncie były już ciągle wiadomości, że Warszawa upadła, że już jest zajęta przez bolszewików.

Co dalej? Co robić dalej? Dokąd się wycofywać? Znow emigrować albo iść w niewolę?

Toczyły się tymczasem bitwy pod Warszawą.

Kozackie czerwone podjazdy już na przedmieściu Warszawy, na Pradze.

Historyczne drogi wojen — Suworow na Pradze przypomina się, walki Olszyny Grochowa, Ostrołęki z 1831 roku.

Warszawa lada dzień padnie.

Z Warszawy uciekają ludzie. Ewakuują się niektóre urzędy. W Filharmonii wiece. Armia ochotnicza posyła coraz nowe zastępy studenterii, uczniów, cywilów, młodych chłopów i robotników — na podwarszawski front.

Sztabowcy francuscy, z generałem Weygandem na czele, śledzą pilnie sytuację — uważają ją za rozpaczliwą dla dowództwa polskiego. Naczelnym wodzem jest wciąż Piłsudski.

Koalicyjny rząd Obrony Narodowej — z premierem, chłopem Witosem na czele, i wicepremierem socjalistą Daszyńskim — naczelne dowództwo pod Piłsudskim.

... Józef Piłsudski przejmuje we własne ręce inicjatywę obrony. Lekarze specjaliści wojenni, Francuzi, rozkładają ręce — już dłużej nie będą mogli leczyć chorego pacjenta — armii polskiej i w ogóle, tym samym, Polski. Gdy odstępują lekarze — w beznadziejnym wszystkim jest stanie — choćby to był znachor — Piłsudski — jeśli nie odstępuje walki ze śmiercią — niech jeszcze bierze ją na swoją odpowiedzialność.

Sine nocte. Sierpniowe sine nocte, usiane miriadami gwiazd, które spadają z nieba na ziemię. A z ziemi do nieba lecą gwiazdy rakiet i pocisków artyleryjskich — pod Warszawą.

W siną noc. Sina noc. Samochód Piłsudskiego, długi, niski, cichy, mknie szosami polskimi w niewiadomym kierunku.

Noc. Sina noc. Śpiące niby, a jednak bezsenne polskie wsie. Do samochodu zrzucają się wiejskie psy i ujadają zażarcie, jakby

to nie była wojna, tylko przejażdżka miejskiego samochodu po wsi śpiącej.

Pod Radzyminem toczyła się krwawa, ofiarna bitwa, z pomocą armii ochotniczej, z pomocą najmłodszej młodzieży. Przez skwarne, sierpniowe dni 1920 roku — do dnia Wniebowzięcia Matki Boskiej.

I był tego dnia, pod Radzyminem — cud nad Wisłą.

Matka Boska Częstochowska ukazać się miała w chmurach nad rzeką Wisłą — i prowadzić do ataku Polaków, i kule miała zwracać wojskom czerwonym bolszewickim rosyjskim. I bitwa krwawa, trwająca przez cały dzień, ku sienie nocy sierpniowej — w krwawym pobojuwisku, w stosach trupów i rannych — przynosiła wojenny cud — atak na Warszawę był odparty, wojska bolszewickie cofały się w panicznym — nie wiadomo z czego biorącym się, pośpiechu — do odwrotu. Rzucaly wozy, armaty i broń, i w panice uciekały. Te same wojska, z najwyborowszych złożone pułków — pułki kronsztadzkich i petersburskich marynarzy czerwonych, czerwona gwardia moskiewska, niezliczone chmury czerwonego kozactwa — wszystko to uciekało spod Warszawy, w odwrot, na wschód, na wschód — lasami, szosami, na przełaj polami, często zrzucalo broń i mundury i kryło się po wsiach polskich, tłumami szło do niewoli polskiej, prowadzone potem przez oddziały akademików polskich i małych skautów po ulicach Warszawy.

Sina noc. W siną noc sierpniową 1920 roku — samochód długi i niski naczelnego dowództwa polskiego, którym jechał Piłsudski jeszcze przed ową nocą cudu nad Wisłą, — ten cud miał sprawić, schowany, jak wszyscy sprawcy cudów, za kurtyną, za kulisami, w cieniu, w cieniu owej sierpniowej nocy, kiedy spadały gwiazdy na pobojuwiska, na ziemię polską, na polską jesień ową... — (Piłsudski).

... Pił herbatę w jakiejś chacie. Przed nim leżała mapa działań wojennych. Chorągiewki coraz to zmieniały swe pozycje na tej mapie — za każdym nowym telefonem, lub piśmiennym, konnym i ekspresowym, kurierskim doniesieniem z frontów. Armia wypadowa Piłsudskiego, pod jego osobistym dowództwem, okrążała już niezliczone kolumny wojsk czerwonych i oskrzydlała je błyskawicznymi ruchami. Wróg, widocznie, nie orientował się jeszcze w sytuacji, — niezliczone armie bolszewickie wybierały się na tę, albo najdalej na noc następną do Warszawy, gdzie miały już obiecane pohulanie po tej straszliwej, tak nużącej, bez

chwili wypoczynku ofensywie. Już żołnierstwo bolszewickie (w marzeniach) zdejmowało pasy z ładunkami, rzucało precz karabiny i ściągało swe ciężkie choć dziurawe buty z nóg, obwiązanych onuczami, żeby upić się, najeść, nagwałcić i wreszcie i wreszcie chwilę słodką zasnąć w tym pięknym wesołym polskim mieście.

Wróg jeszcze nie orientował się, widocznie, w sytuacji nowej na froncie, spowodowanej ruchem oskrzydłującym armii wypadowej Piłsudskiego.

Gdy zorientował się, już było mu za późno bronić się; wróg był oskrzydłony, armie czerwone bijące się pod Warszawą były już odcięte, okrążone przez armie polskie — i wtedy zaczęła się paniczna ucieczka, odwrót — w noc siną sierpniową — bolszewików.

Tu nastąpił przełom i przechylenie się szali zwycięstwa na stronę polską. Moment psychologiczny. Ruch strategiczny. Przejście Polaków od rozpaczliwej defensywy do szalonej znów ofensywy.

Warszawa była uratowana.

Polska była uratowana.

W ową siną noc sierpniową, w przeddzień cudu nad Wisłą — stało się to, decydujące zdarzenie w wojnie polsko-bolszewickiej.

Wojska polskie pędziły teraz bolszewików przed sobą.

Między Polską a bolszewikami stanęło zawieszenie broni.

Jeszcze raz Polska rusza się na północo-wschód, ku swej historii dawnej, nieprzedawnionej. Jeszcze pokój ryski nie jest potwierdzony podpisami złotych piór. Szable polskie — z generałem Żeligowskim na czele — zajmują wtedy Wilno i ziemię wileńską.

Jesień, zima, wiosna — w marcu, 1921, na Sejmie uchwalono marcową konstytucję polską.

Ryga. Szumi morze Bałtyckie. W Rydze zjazd przedstawicieli Polski i Rosji bolszewickiej.

Targi.

Rozmowy.

W marcu 1921, — pokój podpisany. Ustalone granice wschodnie Polski.

I po wojnie polsko-bolszewickiej — wypadł plebiscyt na Górnym Śląsku.

Powstanie górnośląskie.

Polska odzyskiwała część Górnego Śląska z czarnym węglem.

A potem, w 1922 — następuje wcielenie ziemi wileńskiej do Polski.

Już niby zagasła wojna na wschodzie, tylko jeszcze wciąż te, na pograniczu, w lasach, w puszczech bandy bezimienne, wciąż strzelanina — wciąż pogotowie wojenne. Idą noty za notami polsko-rosyjskie.

Jeszcze nie ustaliło się to, co zostało na papierze potwierdzone. Historię pisze się na papierze i w życiu. Czasem jedna, czasem druga przoduje o głowę. Tutaj papier pokoju ryskiego był wcześniej niż od pokojowego życia obu krajów.

Jeszcze wciąż wybuchają jakieś wybuchy wojenne.

Jeszcze bagnety wyłącznie decyduje o wszystkim.

Potem dopiero przyjdzie czas na papierowe noty.

Było *treuga Dei* — pokój boży niby na czas tej całej, pierwszej wojny Polski niepodległej, wojny, która otwierała pierwszy akt odrodzonego państwa polskiego — było niby *treuga Dei* w Polsce, w partiach zwalczających się politycznych, w społeczeństwie, scalonym spod trzech zaborów.

Zrównało się jakby wszystko.

Zrobił się zupełny chaos z tego zwycięstwa nieoczekiwanego. Każdy poczuwał się do zasługi w tym co się stało. Zapominał o swoich myślach i czynach z chwil rozpaczy, jeszcze sprzed jakiegoś — tak już zdaje się dawnego — roku.

Robiło się w kraju duszno, stawał się kołowrót.

W grudniu 1922 roku — były wybory prezydenta państwa. Piłsudski odmówił kandydatury na prezydenta. Wybrany został uczony, znany w Szwajcarii, Gabriel Narutowicz, człowiek bliski Piłsudskiemu, pochodzący również z Litwy, jak Piłsudski.

Narutowicz padł zamordowany — na pierwszym oficjalnym występie, na otwarciu wystawy obrazów w „Zachęcie”. A przedtem, wybranego i jadącego z Łazienek a udającego się do Sejmu (przysięgać) elekta, obrzucono grudkami śniegu i błota w Alejach Ujazdowskich, ustawiano barykady ławek z alej przed jego powozem, żeby nie mógł przejechać do Sejmu.

Był wielki pogrzeb zamordowanego prezydenta.

Na prezydenta wybrany został Stanisław Wojciechowski, twórca ruchu spółdzielczego w Polsce.

Piłsudski pojechał pod Warszawę do Sulejówka, do swojej małej białej wille z ogrodem, gdzie było dużo kwiatów.

Partie. Walki partyj. Zmieniały się rządy. Były targi. *Pacta conventa*. Powstawały wciąż nowe i upadały rządy.

Piłsudski spisywał w Sulejówku swe historyczne wspomnienia.

Piłsudski spisywał w Sulejówku swe historyczne wspomnienia.
I myślał.

Nie lubił gestów. Czytał dużo książek i prasy zagranicznej — miał teraz na to znowu czas. — Nie lubił gestów teatralnych i nie znosił teatru. Raz gdy chciano go zainteresować bliżej sprawami teatru, powiedział, że bardzo dobrze — tylko żeby z tym zwrócono się do jego córeczek, Wandy i Jagódki. — Nie lubił gestów i w przewrocie faszystowskim widział wiele tego, co nazywał zwykłe operą włoską. Nie lubił opery włoskiej, chociaż dzieckiem od niej zaczynał swe szlacheckie, dworskie wychowanie, jak wszyscy z końca XIX-go stulecia, *fin-de-siècle*'iści.

Myślał.

Przed paroma laty odbył się marsz na Rzym Mussoliniego, czarne koszule faszystowskie opanowały dziś całą Italię i stworzyły, głową i wolą Mussoliniego, silny rząd. Trwały.

Teraz tylko o rządzie Piłsudski myślał

— Co to jest rząd? To wszystko, co wyraża potrzeba chwili na całym świecie u tych, którzy chcą żyć wolni.

Jakaś kołysanka z dzieciństwa:

*„Spał zajączek w zbożu spał,
Zbudził go daleki strzał,
Wyszedł strzelec bronią błyska,
Wygnał śpiocha z legowiska,
Hej! zajączek żwawo mknie;
Nie płacz synku nie...”*

... Tak mu kiedyś śpiewała matka. Ta matka, o której właśnie napisał, że to ona nauczyła go kochać Polskę. Ona i Słowacki swym „Beniowskim”. A potem uczył się Polski sam, w myślach, w okopach, w życiu. Najprzód kochał, a potem poznał. Tak jak życie — najprzód je kochał, a potem poznał je. Bo Polska, to teraz było jego życie — codzienne. Jego codzienny dzień i noc conocna. Robota i rozkład godzin dnia.

Na niebie zaświecało się już coraz więcej zimowych gwiazd. To już nie była jedna betleemska, tylko gwiazd niezliczona ilość. Jak w nich się poorientować. Każda z nich miała jakieś imię, jakieś życie, jakieś przeznaczenie. Oznaczały one epoki, ludzi, narody i państwa, wojny i klęski, choroby i mory, potopy i wulkany, zwycięstwa ziemskie i niebieskie — wszystko.

W tę cichą noc wigilijną jakby coś się w człowieku przeżyło.

A potem przyszedł nowy rok. Witano Nowy Rok, 1926. Wypełniano kieliszek z winem w Sulejówku, gdy zegarek na kominku staroświecki wydzwonił dwanaście razy — północ nowego roku.

Horoskopy tego roku jakie.

... Z tego czasu są wszystkie z rządem związane myśli Piłsudskiego — i w odczycie o 63 roku, gdzie się mówi o Rządzie Narodowym, jako o jedynym prawdziwie wielkim magnesie tego powstania, o największym jego bohaterze — o rządzie dusz mickiewiczowskim myśli były, związane jak zawsze u Piłsudskiego z Wilnem — o silnym rządzie, o przeciwstawieniu ciągłym rządowi do nierządu — że Polska nierządem stoi, a właściwie pada...

Biurko duże i proste, niegustowne. Mieszczkańsko-szlacheckie urządzenie mieszkania w willi w Sulejówku. Z okna widać ogródek z kwiatami i kilkunastu owocowymi drzewami — widać zmieniające się pory roku — i wpływający niebem czas.

Trzeba umieć z gwiazd czytać.

Jest jakieś Boże Narodzenie w Sulejówku. Śnieg skrzy się w ogrodzie, za oknami willi. Panuje wielka w przyrodzie cisza. Mazowiecka to ziemia.

Tęsknoty osobiste idą na Litwę.

Można teraz szukać pierwszej gwiazdy wigilijnej na niebie, zanim zasiędzie się do wieczerzy.

Mówią — ta gwiazda to była dobra nowina. Mędrcom Wschodu trzej jechali za jej światłem, za nią kierując się astrologicznie po niebie — jadąc po ziemi.

Trzeba znać swój horoskop.

Trzeba wiedzieć, co człowiekowi przeznaczone. Czy jego gwiazda zaszła, czy jeszcze świeci. A jeśli świeci na niebie, to musi i na ziemi jeszcze robić swoje. Taki już jestem zmęczony.

Księżyc płynął w ten nowy rok, w tę sylwestrową noc, wysoko nad Sulejówkiem pod Warszawą.

Cyfra Piłsudskiego była 13.

To była zima. A po niej przyszła wiosna.

Maj przyszedł. A z majem wypadki majowe — jak mówiono.

Mówił Piłsudski:

— Imponderabilia...

I cóż to słowo znaczyło? Dosłownie — rzeczy nieważkie. Nieważkie rzeczy, a najważniejsze? dla których przelewa się bratnią krew na ulicach Warszawy — i to taką wiosną, która woła o miłość a nie o śmierć tych młodych polskich żołnierzy, rozbitych tragicznie na dwa walczące ze sobą fronty, obozy, okopy, barykady na ulicach Warszawy.

Piłsudskiego zamach stanu, rewolucja majowa — w oknach sklepów potem wystawione zdjęcia ofiar, zabitych żołnierzy w wypadkach majowych, w walkach ulicznych w Warszawie.

14 maja 1926 roku padł Belweder, Piłsudski zwyciężył wojska rządowe prezydenta Wojciechowskiego i premiera Witosa.

Piłsudczycy, rewolucja piłsudczyków zajmowała władzę w Polsce.

I zajęła.

— O co poszło i o co chodziło?

Pytano się. Nie rozumiano. Zachodzono w głowę. Zawsze człowiek szuka trudniejszego wytłumaczenia rzeczy prostych. Bo wszystko jest bardzo proste i razem bardzo złożone — w świecie.

Zamach majowy Piłsudskiego otrzymał sankcję sterroryzowanego sejmu i senatu. Odbyły się wybory nowego prezydenta. Było lato, letni dzień upalny, w kawiarniach pito lemoniadę z lodem i oczekiwano na dodatki nadzwyczajne. Ukazały się dodatki nadzwyczajne. Na prezydenta wybrany był Piłsudski, jak oczekiwano — dyktator Polski — i wyboru nie przyjął — tego oczywiście nie oczekiwano.

Na prezydenta wybrany został w drugim głosowaniu kandydat dyktatora Marszałka Piłsudskiego, jego pierwszy mąż zaufania, profesor Ignacy Mościcki, inżynier.

O co szło?

O politykę.

Ale nie polityka, tylko armia zdecydowała o zamachu majowym. Armia zaczynała stawać się terenem walk partyjnych politycznych, co groziło rozbiciem jedności wojennej polskiej i jej sił zbrojnych. To skłoniło Piłsudskiego do przelewu krwi w Warszawie, do obalenia rządu i prezydenta, do złamania konstytucji marcowej, do wypowiedzenia posłuszeństwa konstytucyjnemu prezydentowi Rzeczypospolitej.

— Za wiele nieprawości zebrało się w Polsce — powiedział Piłsudski.

Lecz myślał wtedy o największym celu swego życia, o Polsce zbrojnej, o armii polskiej.

Nowa władza używała wyrazu „uzdawianie” — sanacja. Przeważała ją z tego sanacją. Wszystko teraz „uzdawiano”, „sanowano” — w oparciu o fizyczną siłę, decyzję i autorytet osobisty postaci Piłsudskiego.

Etapy tu były takie:

Rewolucję majową wspomagała Polska Partia Socjalistyczna i lewica ludowców.

W konstytucji zmieniono parę paragrafów, rozszerzając władzę prezydenta i jego decyzji w sprawie powoływań i odwoływań rządu, gabinetów ministrów — zwoływania i rozwiązywania sejmu i senatu.

Sejm i senat — wbrew oczekiwaniom reżimu faszystowskiego w Polsce — zostały zachowane, tylko skrępowane do formy raczej niż do treści.

Odbływały się nowe wybory do sejmu i senatu — wbrew oczekiwaniom — podług starej, a nie faszystowskiej, jak przypuszczano — ordynacji wyborczej. Do obu ciał ustawodawczych weszło ugrupowanie pod nazwą Bloku Bezpartyjnego, złożone z wszystkich warstw społecznych i ekonomicznych — na czele listy stał Józef Piłsudski.

To nazwisko zdecydowało.

Bezpartyjny Blok współpracy z rządem otrzymał w drugich wyborach, w obu ciałach ustawodawczych poważną większość mandatów — stał się na tym terenie czynnikiem decydującym.

W przymierzu ścisłym z Francją, wojskowym i politycznym, z wielką lojalnością dla Ligi Narodów w Genewie, prowadziła Polska robotę ostrożną na zewnątrz i cichą, a w kraju ostrą i głośną przeważnie — robiła to nowa władza, co by każda władza robić w Polsce musiała, tylko że to już były rzeczy niechwiejne, z jednego źródła, z Belwederu czekające decydującej, rozstrzygającej komendy — że trwałość ustaliła się rządów, a przez to państwowej władzy.

I zmieniało się też oblicze tego ruchu piłsudczyków — powoli. Wpływy lewicowe, dawne, przepadały. Z opozycją prawicową szła ciągła walka, nie o hasła, nie o światopogląd — o monopol raczej imienia: obóz wielkiej i jednej Polski.

Na zachodzie — w Niemczech uzyskał zwycięstwo młody ruch nacjonalistyczny — hitleryzm, narodowi socjaliści niemieccy.

Zawarła Polska z Rosją sowiecką pakt o nieagresji.

Zawarła Polska z Niemcami hitlerowskimi pakt o nieagresji.

Jest w końcu Alej Ujazdowskich biały pałacyk, tajemniczy Belweder. W tym pałacyku mieszka tajemniczy starzec, Józef Piłsudski.

Co rok odbywają się zjazdy legionistów.

Rydz-Śmigły, inspektor armii, tajemniczy w cieniu człowieka wojny. Cisza koło niego. On jest otoczony poezją.

Teraz jest pokój.

Naprzeciw siebie.

... Starzec rozpiął na piersiach siwą strzelecką kurtkę, kroju polowego a teraz symbolu politycznego, i przysunął się do okna, oparł łokieć o okienną futrynę i patrzył przed siebie. Było przed nim szkło okna belwederskiego, a za szkłem nieistnienie liczonego przez ludzi na dnie i noc, na tygodnie i miesiące, na lata i wieki czasu. Niebo wysoko było sine, wieczorne, pobielone to tu, to tam białymi, jakby jakimiś pożegnalnymi chustkami obłoków. Jakby jakieś wielkie sine lustro, o kształcie wklęsłego klosza z lampy — lustro zadmuchane jakimiś oddechami obłokami.

Przypominał sobie jego rękę, zawsze taką młodszą w swej sile.

Tutaj — jeden — on — białość.

— Jak oto bywa żelazo, spalone czerwienią do białości.

Imię! Ta noc wyjścia z Krakowa po Polskę, sierpniowa droga, czerwień w głowie, ciemności rodzących się boleśnie jakichś światów, jakieś chaty mijane chłopskie, nie świty wtedy a zmierzchy od razu jakiejś nowej ludowej Polski, oddechy pierwszej tej wojennej gnijącej, rozkosznej a tajemniczej jeszcze, powstańczej jesieni pierwszej. I odeszło.

Bitwy słońcem i ogniem opalały. Człowiek chodzący pod rękę ze śmiercią ciągle, spacerujący z nią, jakby z swym cieniem — znajduje w niej nie chłód jej, a przecie jej najgłębiej ukryte

ciepło: rozpala ona go. Jest przecie jak Bóg wszechobecna.
„Cóżżeś ty za pani?”.

Już będzie koniec.

— Nie ma przecie o czym mówić. Właściwie mówić nie ma o czym. Wszystko już zostało powiedziane. Właściwie wszystko już powiedziane zostało — między nami. Mało mówić, trzeba mówić mało. Nieoczekiwane jest przecie dawno oczekiwane. W nocy widać najlepiej dzień. Nie mówić, nie mówić ani słowa. Patrzeć, oczami raz jeszcze popatrzeć jemu w oczy. W oczy popatrzeć: Wszystko to.

... Polska — ten dom. Wtedy w pośpiechu, jeszcze bezdomni, mieszkańcy przedhistorycznych ziemianek, okopów, strzeleckich rowów, żelazno-drucianych, kolczastych ostrokołów. Ludzie, wiatr, śmierć jedna nikomu nie podległa. Ojczyzna wojny.

I ta ciągnęła jeszcze wojna o Ojczyznę.

Lata płyną. Ptaki odlatują jesienią z Polski, a na wiosnę znów przylatują. Ziemia zamiera na zimę, a z wiosną znów się odradza. Jest znowu, zielona, kwiatowa — ku owocom.

Są łązy, jest ojczyzna, jest tęsknota, budują się nowe domy i miasta.

Polska buduje wielki port.

Gdynia jest już wielkim portem morskim, wygląda jak młode nowoczesne amerykańskie miasto.

Dorastają dzieci polskie. Słowiki śpiewają, kiedy im przychodzi na śpiewanie pora. Wojska polskie są wielkie, silne, młode, — armia jest już jedną z najsilniejszych w świecie. Ludzie mówią w Europie o rozbrojeniu wciąż, a wciąż się zbroją. Uzbrojenie i siła wojenna państw stanowi o życiu i klasie życia każdego narodu.

Są obce strony i jest swoja strona. Wszyscy są sobie braćmi w Europie i wszyscy sobie wilkami.

Karabin maszynowy.

Aeroplany, flota wojenna powietrzna.

Marynarka wojenna.

Wojna gazowa.

Kwiaty na łąkach polskich kwitną. Trawa jest bujna. Szumi las, huczy las. Na falach radiowych świata wiszą nasłuchiwanie ludzkie — skąd płynie, przyplynie burza. Kiedy coś w aparacie radiowym się psuje — zdaje się ludziom gdzieś na wsi, na odludziach — że to już może coś się zaczęło w przyrodzie i w ludz-

kości — jakieś oczekiwanie niespokojne — może to burze międzyplanetarne, ten zgrzyt radiowych fal — a może zamieszanie wojenne w powietrzu, które aż ciąży ołowiem na piersiach — w tym dziwnym oczekiwaniu.

Historię piszą wieki, a robią lata.

Światła elektryczne zalewają Europę — inny już ma ona dzisiaj strój, niż jeszcze niedawno miała, i na inny jest nastrojona ton, niż przed paroma laty.

Dalekie drogi świata.

Srogie są losy ludzkie.

Żebyż ziemia była gościnną dla tych, co na niej tak krótko popasają. Bawimy wszak na niej przejazdem.

Życie — otoczone strachami — wymaga broni.

Słyszać coraz nowe głosy, od początku do końca świata, zmieniające oblicze jego.

Polska. Bez nazwy. Jak nazwać ją? Nam żyjącym z nią teraz razem. Już nie jest dla nas ona nabożeństwem odświętnym, tylko dniem powszednim. Ci, co modlą się dawnym zwyczajem, mówią: „chleba naszego powszedniego daj nam Panie”. Polska takim jest dziś powszednim chlebem. Ci, co nie modlą się — nowym zwyczajem — mówią: życia codziennego dajmy sobie i drugim, żeby było prawdziwym, pełnym życiem ludzkim. Polska nowa jest tym życiem pełnym dla nas.

A pogoda? Mówimy o pogodzie. Komunikaty meteorologiczne o stanie pogody w Polsce — i wiadomości z całego świata, jedzone z gazet. I myśli czytane z książek, które są czymś więcej niż przemijającą gawędą i spędzeniem czyli wypędzaniem z siebie czasu. I poezja, której nic nie zabije, — zabija ona tylko czasem sama siebie — samobójczyni, a nigdy zabita.

Na niebie gwiazdy. Z nich czytać.

Na niebie gwiazdy. Z nich czytać.

Rok jest właśnie ten teraz, rok śmierci Józefa Piłsudskiego, 1935. Jakiś dziwny, pełen tajemnic jeszcze rok. Zawisło w jakiejś wielkiej próżni życie w Polsce — i waha się, jak waha się w powietrzu lotna ważka-jednodniówka, podnoszona i rzućcana na wsze strony nawet najniższym wiatrowym powiewem.

Są teraz bowiem jeszcze tak zwane „minuty milczenia”.

Urodziliśmy się jeszcze w podległej Polsce. Żyjemy w niepodległej. Wielka droga wynikła nagle. Widać ją, widać — jak płynie daleko, daleko, w pejzażu bardzo, bardzo różnaita, w ostatecznym swym kresie przecie niewidoczna. Tylko słupy, wskaźniki tej drogi, można dojrzeć, gdy nie ma wielkiej w powietrzu mgły — zwłaszcza w pewnych chwilach historycznych, w mgnieniach raczej historycznych, te słupy wyraźniej w swej całej doskonałości, w perspektywie.

Polska, Polska! — nie można za często używać tego imienia, ale nie można — i za rzadko...

Teraz o tym, co jest ostatnią niejako stronicą wieków polskich, tu opowiadanych, i lat, i miesięcy i dni:

12 maja 1935 roku, o godzinie 20, minut 45, umarł w Belwederze Marszałek Józef Piłsudski, skończył swój czas życia, przeszedł do cieniów; jest teraz cieniem, jednym z największych cieniów polskiego losu.

Urodził się na Litwie.

Najpiękniejsze słowo polskie — to matka.

Po ostatnim powstaniu zbrojnym Polski, styczniowym, urodził się Piłsudski, i potem całe jego życie było powstaniem. Urodził się po klęsce, zmarł po zwycięstwie.

Pochodził z kresowej, północno-wschodniej, polskiej rodziny szlacheckiej (*gente Lithuanus, natione Polonus*), — we dworze zaczął się uczyć Polski (krew szlachecka), potem ujął wojskowo sprawę polską.

Są fotografie małego Piłsudskiego, gdy był uczniem gimnazjum rosyjskiego w Wilnie, potem fotografie studenta uniwersytetu rosyjskiego w Charkowie (medyk), wreszcie fotografie politycznie niebezpiecznego młodego Polaka. W kartotece policji rosyjskiej carskiej na przełomie wieków XIX-go i XX-go, istnieje rubryka poświęcona byłemu katorżnikowi sybirskiemu, Józefowi, synowi Józefa, Piłsudskiemu, którego włosy są ciemne, oczy ciemnoszare, wzrost wysoki, nos orli, usta zawzięte — znaków szczególnych żadnych...

Potem był: towarzysz Piłsudski, zwany Ziuk, obywatel Józef Piłsudski — wreszcie ostatni przydomek Komendant, i na końcu oficjalnie: Pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski.

— Siwy, srebrzysty, o profilu Giewontu, w kolorycie skóry i munduru — niby zdjęty z krzyża obrazów fantasmagorycznych Jacka Malczewskiego — leżał Piłsudski w białym Belwederze, w łonie zielonym łaźniarkowskiego, słowiczego o tej porze parku, a po parku tym snuły się jakby z Jacka Malczewskiego panteistyczne tłumy nimf chłopskich i faunów słowiańskich — baśniowy przekrój jakiejś tajemniczej a teraz objawiającej się w nowym wyrazie Polski całej.

— Pieśń jakaś nieistniejąca, a wszystkim prawie słyszalna, płynęła przez przyrodę kraju.

Ciemności były przedtem, potem przyszedł świt. Bajki o śmierci Piłsudski nigdy nie chciał opowiedzieć. Lecz pośród bajek światowych jest i ta bajka, ta baśń — o całunie... O całunie, czyli o tej zasłonie, która ostatnia umarłego już całuje.

Słowiki w Polsce przez całą tę noc śpiewały, jak im dyktowały ich sprawy osobiste.

Wiosna wiała przez powietrze. Kilka, parę majowych nocy. Chodziła jakaś majowa odwieczna drzemota koło odwiecznego płota, i przeszła mimo — nie, zatrzymała się u belwederskiego, okratowanego płota żelaznego. I zmorzyła snem.

Kołysanka.

— Nie śpię, słuchajcie, nie zasnąłem — słyszę was, widzę, oglądam. Jeśli to jednak sen, to prawda, że ciężki sen. Ciężki, jakież ciężki sen. Coraz bliżej jestem wiecznych źródeł. Im dalej w las, tym więcej drzew — tym łatwiej się zabłąkać. Przecież te drzewa wcale nie są znaczone. Nie istnieje tu żadne doświadczenie. Wszystko trzeba samemu od początku.

Mówimy o wszystkim jak pytie. Nie można przecie inaczej. Na ziemi — inaczej nie można mówić o sprawach, które przekraczają granice tej ziemi. Tyle, tyle kwiatów. Takie bujne jeszcze drzewa lasów. Jak pięknie. Najegzotyczniejszy pejzaż z dotychczas widzianych na świecie, a za życia. — Józef Piłsudski, kto to był, kto to był?

— Surowa twarz. Oczy z przepaściami.
Pieśń o nim jeszcze nie powstała...
Polska jego, prawdziwa — powstaje.

Ostatnich kilka nut:

— Szelest karty odwracającej się w zbiorowym wydaniu Historii.

I to jeszcze dantejskie:

— *Incipit vita nuova.*

Tytuł tej książki:

... *Było tak.*

SPIS ROZDZIAŁÓW

<i>Było tak...</i>	7
<i>Przygody księcia Popiela</i>	8
<i>Gniezno było pogańskie, teraz chrześcijańskie</i>	11
<i>Przyszedeł rok 1000, w którym oczekiwano końca świata</i>	15
<i>Odżyła siła w puszczach ukryta</i>	21
<i>Były to czasy wypraw krzyżowych...</i>	30
<i>Piast przedostatni, będzie jeszcze ostatni</i>	39
<i>I dzień wstawał słoneczny na pogrzeb w kwiatach Kazi- mierza Wielkiego — rapsodyczny</i>	48
<i>Nad Polską ogromnym państwem...</i>	56
<i>Świat wchodził w nowy dzień</i>	62
<i>Przez puszcę mazowiecką...</i>	69
<i>Jak skończyła się Polska piastowska, tak kończyła się jagiellońska</i>	78
<i>Tu przechodzimy powoli do baroku</i>	86
<i>Stępy leżały niezmierzone, czarnomorskie</i>	95
<i>Mówiono — nieszczęście idzie za Polską</i>	103
<i>Zaczynały się źródła rokoka</i>	112
<i>W powietrzu gdzieś pachniały rewolucje</i>	121
	195

<i>Czarna ziemia ma w sobie ukryte moce</i>	130
<i>Gdy nie było w Polsce miejsca na własne szable i sztandary — wywędrowały one za granicę</i>	137
<i>A niebo szło ku ciemnym narodowym nocom</i>	145
<i>Wiosna narodów, jakaż burza, jakież groźne uspokojenie</i>	153
<i>Miła ojczyzna nasza — to ta ziemia, nie ludzie...</i>	163
<i>Nieustające wspomnienie</i>	169
<i>Było elektryczne oczekiwanie burzy od wschodu</i>	177
<i>Piłsudski spisywał w Sulejówku swe historyczne wspomnienia. I myślał</i>	184
<i>Na niebie gwiazdy. Z nich czytać</i>	191

**ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 9 OCTOBRE 1978
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)**

**Dépôt légal : 4^e trim. 1978
Imprimé en France.**

der St. Lukas Kt.,
Münch.

